Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 35 (1288) ROK XXV 3 GRUDNIA 1982 ROKU 20 ZŁ

The Beatles

W środku miasta niczym w kotle

JACEK BINKOWSKI

Pytania o warunki, w jakich przyszło nam żyć, a co się z tym wiąże — o środowisko naturalne człowieka, zawsze należały do gatunku frapujących. Nic w tym dziwnego, każdy z nas chciałby wiedzieć, czy warunki w jakich żyje mogą stanowić dlań zagrożenie, dowiedzieć się, w jaki sposób można zaradzić ewentualnym katastrofom ekologicznym.

CZY ŁÓDŹ JEST MIASTEM ZAGROŻONYM!

Dyrektor Jan Diehl z Wydziału Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej UMŁ:

— *Jeżeli chodzi o nasze miasto, jak na razie, nie ma obaw... Możemy spokojnie tutaj mieszkać. Jesteśmy, co prawda, na trzecim miejscu po Śląsku i Trójmieście, niemniej jednak to trzecie miejsce bardzo odbiega od pozostałych, mających szczególne „osiągnięcia" w tym zakresie. Największym w tej chwili problemem, bardziej dla miasta niż ludności, jest problem ścieków i odpadków. Tutaj grozi nawet katastrofa ekologiczna, jeżeli w porę nie rozwiążemy tych spraw.*

Najbardziej upośledzoną dzielnicą, jeżeli chodzi o ochronę środowiska, jest Śródmieście. W Śródmieściu jest największy hałas, największe zapylenie, najmniej zieleni...

Piotrkowska. Ulica, na której był zapewne każdy. Piotrkowska to ciąg handlowy Łodzi, na Piotrkowskiej jest najwięcej sklepów, kawiarni, restauracji, na Piotrkowskiej jest zawsze najwięcej ludzi. Piotrkowska, czyli epicentrum Śródmieścia — zagrożonej dzielnicy.

W Śródmieściu mieszka ponad 110 tys. ludzi, kilkakrotnie więcej niż na Bałutach. Biorąc pod uwagę nikomy obszar tej dzielnicy (683 ha), gęstość zaludnienia przekracza 15 tys. na km kw. Duża to liczba skoro wiadomo, że średnia gęstość zaludnienia w Łodzi wynosi nieco ponad trzy tysiące.

W Śródmieściu znajduje się jedna czwarta punktów sprzedaży detalicznej i połowa zakładów gastronomicznych. Nic więc dziwnego, że w godzinach tak zwanego szczytu ciężko iść Piotrkowską. W tłumie ludzi, w pogoni za artykułami pierwszej potrzeby myślimy o tej dzielnicy jako o centrum handlowym Łodzi, o dzielnicy, gdzie można coś kupić, coś zjeść i ewentualnie posiedzieć w jakimś lepszym lokalu.

Nie słyszymy hałasu, nie czujemy spalin i unoszącego się pyłu. Zapominamy, że w Śródmieściu ponad 100 tys. ludzi mieszka i żyje. Tak na co dzień, kiedy pustoszeje Piotrkowska.

Opracowany przez zespół specjalistów z Biura Programowania i Projektowania Rozwoju Łodzi — Raport o stanie środowiska w województwie miejskim łódzkim mówi o złym wpływie Śródmieścia na środowisko naturalne miasta. W tej dzielnicy opad pyłu przekracza dopusz-

4

Foto: M. Zajdler

Hobby naiwnych

EUGENIUSZ IWANICKI

Jakie hobby jest dziś najkosztowniejsze? Na to retoryczne pytanie odpowiedź jest jedna: posiadanie samochodu. Na całym świecie samochód (no, z małymi wyjątkami) jest rzeczą użyteczną na równi z lodówką, pralką automatyczną, telewizorem, słowem spełnia rolę sprzętu nieodzownego dla prowadzenia domu i zajęć zawodowych. U nas wygląda to nieco inaczej. Przy taniej komunikacji miejskiej, własny wehikuł stanowi dowód wyższego standardu jego posiadacza, jest udokumentowaniem aspiracji właściciela i jego zamożności.

Pociąg do własnego pojazdu jest olbrzymi. Żadne wzrosty cen, ani obniżenie jakości produkowanych samochodów, dziś nikogo nie odstraszają. Nabywca w radosnym amoku nie zastanawia się, czy przejedzie tysiąc, czy dziesięć tysięcy kilometrów bez reperacji, nie bierze pod uwagę faktu, że wraz z ustaniem okresu gwarancyjnego, może skończyć się dlań jazda w ogóle.

Hobbista nie kalkuluje. Cena Fiata 126p w „Polmozbycie" sięga prawie ćwierć miliona złotych, zaś na giełdzie osiągnęła ostatnio 800 tysięcy. Fachowcy twierdzą, że nie jest to jednak ostateczny pułap i należy się spodziewać, że lada dzień „maluch" będzie kosztować milion! Bzdura? Ewidentna, ale nie dla hobbisty. Ten kupi wszystko, co się rusza na czterech kółkach i jest napędzane silnikiem. Potem przez całe życie będzie inwestować w naprawy, będzie zamartwiać się, gdzie kupić części lub skorodowany element nadwozia wymienić na nowy. Piszę o tym wszystkim, „bom smutny i sam pełen winy" jak mówił poeta. Należę do takich hobbistów, choć naprawdę nie zarabiam bajońskich sum, ani nie korzystam z dotacji zamożnych krewnych z zagranicy. Zwyczajnie mam Fiata 126p i wszystkie nadwyżki pieniężne (a często i sumę przeznaczoną na bieżące wydatki) lokuję w tym supermustangu naszego przemysłu motoryzacyjnego. Nie wspomnę tu o jakże częstych włamaniach do mojego „cuda" (ostatnie, dwa tygodnie temu), ale chciałbym kilka słów poświęcić jego naprawie. Tych napraw miałem sporo i nikomu nie życzę. Każda przekracza z reguły tysiąc złotych, choć były też takie, które kosztowały kilka tysięcy.

Z reguły korzystam z usług jednej i tej samej stacji polmozbytowskiej, mieszczącej się na ulicy Pokładowej. Jakoś przyzwyczaiłem się do pracujących tam ludzi, do życzliwego brodacza z Biura Obsługi Klienta, który oprócz uśmiechu ma dla mnie współczucie, że jestem takim pechowcem i co kilka tygodni zjawiam się, by coś tam usunąć, coś naprawić, coś wyregulować. Przyzwyczaiłem się do mechaników, którzy wkładają całą swoją wiedzę i doświadczenie w reanimację mojego trzyletniego fiata. To dzięki

12

MONIKA WARNEŃSKA

Opowieść o skórze tygrysiej

— Najtrudniej było pracować z Bułgarami — oświadczył Luong, jeden z „weteranów", zatrudnionych od wielu lat w hanoiskim komitecie współpracy kulturalnej z zagranicą.

— Z Bułgarami? Czyżby?! Są oni przecież z natury skromni, prości, mało wymagający. — Nie pomyliłeś się przypadkiem, „kapitanie"? — spytałam. — A może masz na myśli całkiem innych cudzoziemców?

Luong podczas pierwszej wojny indochińskiej dosłużył się rangi porucznika. Tak przynajmniej mówił sam o sobie. Złośliwi, do których należał tłumacz Khoang, powiadali, że wyszedł z wojska jako zaledwie sierżant. Komenderował jednak naszą czteroosobową grupką tak energicznie i rozmawiał tak stanowczo z przedstawicielami władz terenowych, że nazywaliśmy go „kapitanem".

— Dobrze wiem, co mówię! — obstawał przy swoim. — Takich wymagań, jak bułgarscy filmowcy, nie miała żadna inna zagraniczna delegacja!

— To mnie pociesza — zauważyłam. — Wciąż przecież mówisz, że ja mam pomysły trudne do spełnienia!

— O, tak! Z tobą nigdy nic nie wiadomo. Ale nawet ty nie wpadłaś na to, co wymyślili Bułgarzy.

— Mianowicie?

Luong ociągał się z odpowiedzią. Khoang zadał mu parę pytań po wietnamsku. Roześmiał się, usłyszawszy odpowiedź. Musiało to być coś zabawnego, szofer bowiem zachichotał również za kierownicą.

— Na krótko przed eskalacją Bułgarzy chcieli nakręcić film o pięknie przyrody Wietnamu — objaśnił Khoang. — Zaplanowali sobie w tym filmie sekwencję z małpami. Tymczasem były kłopoty z zawiezieniem ich w miejsca, gdzie małp jest mnóstwo. Takie miejsca są albo daleko w dżungli, albo znacznie bliżej, ale na bezludnych wysepkach w zatoce Ha Long, gdzie dostęp jest dość trudny. Bułgarzy mieli mało czasu, a zależało im na możliwie szybkim nakręceniu scen z małpami. Szefowie naszego komitetu polecili Luongowi spełniać wszelkie życzenia gości. Nie miał innego wyboru, jak wypożyczyć małpy z hanoiskiego ZOO i wypuścić je, aby tamci mogli utrwalić na taśmie małpie igraszki. Kazano mu pokwitować ilość małp i musiał się z nich potem dokładnie rozliczyć, czyli wyłapać wszystkie, żeby trafiły z powrotem do klatek.

Roześmiałam się i ja również.

— Ci Bułgarzy chcieli także sfilmować tygrysa „na łonie natury" — ciągnął Khoang, wymieniwszy z Luongiem kilka dalszych zdań.

— Czy też go wypożyczono w tym celu z ZOO?

— Nie. To byłoby zbyt ryzykowne i nikt by się na to nie zgodził. Ale „kapitan" wykołatał z jakiegoś muzeum skórę tygrysa wraz z głową.

— Dlaczego nie wypchanego tygrysa?

— Wypchany jest nieruchomy. A im chodziło o to, żeby upozorować sceny żywego tygrysa. Skóra była podobno piękna.

— Najładniejsza skóra to przecież nie żywe zwierzę?

— Nasz „kapitan" razem z innym tłumaczem, Thanhem — pamiętasz go? Siwy, niemłody...

Przytaknęłam.

— Razem z Thanhem, obaj owinięci tą skórą, ustawszy odpowiednio łeb tygrysa, musieli naśladować jego ruchy wśród wysokich traw i zarośli. To wcale nie było łatwe. Tygrys ma krok lekki, sprężysty, a zarazem

8

TAK SĄDZĘ

Młodym być

Wielu ludzi dorosłych, dojrzałych chciałoby ponownie być młodymi. Marzenie, które nigdy nie będzie spełnione. Złośliwi mówią, że ludzie dojrzali podporządkowują się młodzieżowej modzie właśnie w wyniku tej tęsknoty za minioną młodością. Jeśli młodość nie wróci, to próbują ją zatrzymać choćby zewnętrznym wyglądem. Inni bronią tego stylu ubierania się, podkreślając nie bez słuszności, że jest on wygodny, niekrępujący. Ale, co by się nie mówiło, nie ulega wątpliwości, że już minęły te czasy, kiedy syn naśladował ojca i całował go w rękę.

Ludzie dojrzali, tęskniący za minioną młodością, najczęściej nie zastanawiają się, co to znaczy dzisiaj być młodym. Edmund Lewandowski na niedawnym posiedzeniu Obywatelskiego Klubu Konsultacyjnego przy prezydencie miasta Łodzi przypomniał zebranym, że społeczeństwo nasze składa się z czterech pokoleń Najstarszego, które pamięta jeszcze czasy rozbiorów; pokolenia „kolumbów", które pierwsze swoje doświadczenia otrzymało jeszcze przed wojną, a dojrzewało w czasach walki z okupantem; pokolenie czterdziestolatków, albo inaczej pokolenie ZMP, dojrzewające już po wojnie i wreszcie pokolenie „małej stabilizacji", ludzie w wieku od lat 20 do 35. Od siebie mogę dodać, że rośnie kolejne pokolenie „czasów kryzysu".

Cóż więc to znaczy mieć dziś od 20 do 35 lat i należeć do młodzieży? Przede wszystkim trzeba przygotować się na krytykę i ciągłe osądzanie. Ludzie zdają sobie sprawę, często być może podświadomie, że przyszłość ich w wieku później jesieni zależeć będzie od tych, których dziś nazywamy młodzieżą. Zdajemy sobie sprawę, że i przyszłość kraju od nich zależy. Dlatego dojrzali ludzie bardzo chcieliby, aby dzisiejsza młodzież miała te cechy, jakie oni mieli niegdyś. A że przeszłość zawsze się jakoś idealizuje, więc wielu ludziom wydaje się, że „jak my byliśmy młodzi, to wszystko było inaczej". Jest to miłe złudzenie, bo wówczas starsi też na nas psy wieszali i uważali, że prawdziwie porządna młodzież to była tylko wówczas, kiedy oni byli młodzi.

Edmund Lewandowski na wspomnianym posiedzeniu Obywatelskiego Klubu Konsultacyjnego przypisał młodym następujące cechy: postawa charakteryzująca się większą skłonnością brania od społeczeństwa niż dawania jemu, skłonności do irracjonalizmu, bezideowości, naśladowania wzorów drobnomieszczańskiego stylu życia, religijność bardziej emocjonalno-obyczajowa niż refleksyjna. Na plus zaliczył to, że młodzież jest dziś bardziej demokratyczna niż pokolenia starsze i bardziej od niego praktyczna. Również poglądy polityczne młodych — co wynika z badań socjologicznych — wykazują wielkie zróżnicowanie, niezdecydowanie, a często brak konsekwencji. Być młodym wedle tej charakterystyki to ani nic miłego, ani pochlebnego, ani godnego uwagi. Można się też poważnie zatroskać o przyszłość kraju, kiedy rządy w nim wezmą w swoje ręce dzisiejsi młodzi. Tylko, że oni jeszcze o tym nie myślą. To nie ich zmartwienie.

Dla nich sprawą zasadniczą jest kwestia życiowego startu. Proszę się postawić w sytuacji młodego człowieka, a tym samym odpowiedzieć sobie na pytanie, co to znaczy młodym być? A znaczy to, że ma się dwadzieścia kilka lat, na mieszkanie trzeba poczekać około 10 lat, najpierw trzeba zebrać pieniądze na spółdzielczy wkład, to też musi potrwać trochę czasu, a tu dziewczyny jak łanie, żenić się chce i trzeba, a to też kosztuje, mieszkać nie ma gdzie, na awans trzeba poczekać, a przez długi czas wychowywało się w warunkach, kiedy każda zachcianka była do spełnienia. Wszyscy na młodych chuchali, młodym schlebiali, nieba chcieli im przychylić. Teraz jest kryzys i wszystko się porwało. Trudno zorientować się, co robić i jak robić? I na dodatek wszyscy się młodych czepiają.

Młodzi nie mają więc łatwego życia. A najgorsze jest to, że zawinili dorośli, ale szybko zapomnieli o tym, że dzisiejsza młodzież jest ukształtowana na ich wzór i podobieństwo. To myśmy ich tak chowali, hołubili, dawali im to, czego nam w młodości nie dostawało, myśleć za nich nawet chcieliśmy. I teraz mamy skutki tego, ale jakbyśmy o tym chcieli zapomnieć i całą winę zwalić na naszych wychowanków, że stali się tacy, a nie inni.

Młodym trzeba pomóc. Robi się to w różny sposób. Między innymi poprzez „kredyty MM" Wywołują one krytyczne uwagi i sprzeciwy. To prawda. Sądzę więc, że kredyty te trzeba zreformować. Proponuje się, aby ludzie otrzymujący nowe mieszkanie — a młodzi przede wszystkim — otrzymywali pożyczkę na zagospodarowanie tego mieszkania. Kryzys trwający również w budownictwie spowodował, że nowych mieszkań mamy ciągle mało. Ale i pokrycie potrzeb rynku w towary niezbędne dla ludzi otrzymujących mieszkanie jest dziś żadne, z upływem czasu powinno się zmieniać. Otrzymujący kredyt nie będzie musiał kupować kolorowego telewizora, bo jest, zamiast niezbędnej mu pralki, bo jej nie ma. Dziś, aby kredyt nie stracił ważności, kupuje się co się da i często podejmuje handel zamienny, bo inni dostali coś innego. Kredytowanie otrzymujących mieszkanie zmieni te praktyki. Jeśli taka decyzja będzie podjęta.

Młodym być — jak z tego widać — nie jest łatwo. Dyskutować o młodych również.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Przegląd prasy

LIST DO REDAKCJI „TU I TERAZ"

przedrukowały gazety codzienne, czuję się więc zwolniony z obowiązku cytowania tego tekstu. A jest to tekst wstrząsający, budzący sprzeciw i gniew. Ale też zmuszający do zastanowienia. Tekstu tego nie pozostawił bez komentarza Kazimierz Koźniewski — naczelny redaktor „TU i TERAZ" (nr 26 z 24 listopada 1982 roku). W swoim „Ociosywaniu mgły" napisał, że list wzbudził w zespole dwojakie uczucie. Jedni byli przeciwni jego publikacji — żeby nie drażnić, bo ich zdaniem sprawa wygasa. Jak wiadomo, rozważana jest możliwość odwołania stanu wojennego przez Sejm PRL 13 lub 14 grudnia 1982 roku. Skoro więc nie będzie stanu wojennego — rozumowali oni — to nie będzie powodów do bojkotowania Telewizji Polskiej i sprawa zniknie. Po co więc drukować ten list?

Inni natomiast byli za jego drukiem. Rozumieli oni, że niektóre publikacje mogą budzić silne emocje, a list nie podpisanego aktora do „Tu i Teraz" do takich należy, ale równie groźnym, a może nawet groźniejszym w skutkach może być przemilczanie takich spraw, konfliktów, nastrojów i reakcji. I dlatego uważali, że list powinien być drukowany. Redaktor Kazimierz Koźniewski przychylił się do tej drugiej opinii i list wydrukował. Rzeczywiście wzbudził tym szereg emocji. Wywołał też oburzenie. Ktoś zapytał publicznie — sam to słyszałem jak to może tak być, że trzydziestu decyduje o losie reszty? Ano nie tylko może, a jest.

Kazimierz Koźniewski w „Ociosywaniu mgły" podnosi dwa argumenty. Pierwszy — *„Bojkot aktorów wyrządza dotkliwą krzywdę polskiej kulturze... tej masowej, pospolitej, którą przyswajają sobie ogromne masy ludzi siedzących jedynie przed telewizorami"*. Ale ten argument — dawno już podnoszony, pozostaje całkowicie nieskuteczny. Nie przemawia on do wyobraźni i poczucia odpowiedzialności ludzi, którzy kulturę tworzą i dobrze rozumieją czym jest ich milczenie.

Drugim argumentem, na który powołuje się w komentarzu Kazimierz Koźniewski, jest dwuznaczność moralna takiej postawy. Z jednej strony bowiem za państwowe pieniądze aktorzy grają w teatrach, reżyserzy mozolnie tworzą nowe przedstawienia, a z drugiej strony — odmawiają gry w teatrze telewizji, występów w radio, które również jest państwowe i finansowane z tego samego skarbu państwowego. Zdaniem Kazimierza Koźniewskiego prawdziwy protest polityczny polegałby na całkowitej odmowie uprawiania zawodu, rezygnacji z niego. Ale Kazimierz Koźniewski myli się. To nie miałoby sensu. Organizatorzy bojkotu dobrze wiedzą, że grając w teatrze nie skazują się na śmierć zawodową, a nie ukazując się w telewizji i nie występując w radio są nieobecni w społecznym odbiorze kultury. I wiedzą, że jest to nader celne uderzenie, bo o ogromnej skali odbioru. Wiedzą o tym wszyscy, jak wszyscy przedtem oglądali teatr, programy rozrywkowe, filmy telewizyjne.

Kazimierz Koźniewski ma bez wątpienia rację, kiedy pisze, że człowiek powinien nie tylko mieć prawo do swoich przekonań, ale również świadomość, że za to prawo trzeba nieraz drogo zapłacić. Autor listu do redakcji „Tu i Teraz" płaci już za to prawo. Przede wszystkim nie podpisał listu imieniem i nazwiskiem, bo boi się skutków tego w swoim środowisku. Płacą i inni, którzy mają lub mieli odwagę inaczej myśleć i mieli odwagę przyznać się do tego. Taka postawa powinna być w cenie. Tymczasem w niektórych środowiskach w cenie jest stadność — wszyscy muszą myśleć i postępować tak, jak myślą i robią liderzy. Odmieńcy, ludzie inaczej postępujący będą srodze prześladowani. I to ma mieć cokolwiek wspólnego z postępem? I to ma mieć cokolwiek wspólnego z tak chwaloną i słynną u nas tolerancją? No tak, ale gdyby liderzy godzili się z odmiennością postaw części środowiska, to wtedy ich protest pozostałby tylko gestem pięknoduchów, nie miałby żadnego sensu. Takie są mechanizmy każdej walki politycznej. Warto sobie o tym od czasu do czasu przypominać.

Jest w tym wszystkim jeszcze jedno — kwalifikacja autentyzmu poczynań ludzkich. Dramat naszych czasów polega między innymi i na tym, że u nas nie odróżnia się autentycznych posunięć władzy od posunięć spektakularnych, fasadowych, bo i takie się przecież zdarzają. Krakowskie „ZDANIE" (nr 8 z listopada 1982 r.) przynosi

ROZMOWĘ Z MAJOREM WIESŁAWEM GÓRNICKIM

który twierdzi, że się już raz na zawsze pożegnał z zawodem dziennikarskim i obecnie jest urzędnikiem państwowym, tyle tylko, że chwilowo w mundurze, a następnie dzieli się poglądami na sprawę autentyzmu i fasadowości:

„U nas przyjął się zwyczaj, że to, co jest autentyczne i to, co jest fasadowe, określają wyłącznie konkretne grupy. Zawsze są rozgrymaszone, a często trochę megalomańskie. Istnieje w tym względzie całkowita dowolność. Ich umiejętność myślenia politycznego jest niekiedy żenująca".

Tymczasem — powiada dalej mjr Wiesław Górnicki — *„przepowiadanie przyszłości na zasadzie wróżenia z fusów w Polsce się skończyło. Zaczyna się myśleć wariantowo"*. Ale, aby tak było ludzie sprawujący władzę muszą być dobrze poinformowani. Myślenia nie można bowiem opierać na symbolach, ale trzeba opierać na faktach. A już Józef Piłsudski zarzucał Polakom, że bardziej myślą symbolami niż faktami. Czy dziś ludzie będący u władzy mają dostateczną ilość faktów, aby mogli na nich oprzeć myślenie wariantowe? Mjr Wiesław Górnicki odpowiada, że tak:

„Żaden polski „establishment" nigdy nie był tak dokładnie poinformowany jak obecnie. Istnieje kilka zupełnie niezależnych od siebie kanałów informacji. (...) Mogę więc szczerze powiedzieć, że ów ciężki niedostatek informacji, który zaważył na mnóstwie fałszywych decyzji, jest moim zdaniem przekreślony raz na zawsze".

Dobra podstawa dla podejmowanych decyzji — to jedna strona zagadnienia, druga — to kontrola sposobu sprawowania władzy. Zdaniem mjr Wiesława Górnickiego:

„...poszukiwanie czynnika kontrolnego, który by patrzył władzy na ręce, jest podstawową linią polityczną tego rządu. Nie może ów czynnik być rodem z chińskiej „rewolucji kulturalnej", ale nie może też być fasadą lub przedłużeniem władzy. Dlaczego jestem przekonany, że PRON ma taką szansę? Nic lub bardzo niewiele stoi na przeszkodzie, aby ogromna część wspomnianej podmiotowości tam się znalazła. PRON otrzyma bardzo szerokie prawo wyrażania opinii na wszystkie tematy. Konieczny jest tylko system dobrowolnych samoograniczeń. Nieszczęście ubiegłego roku polega na tym, że próba kontrolowania spoza systemu nie powiodła się".

Rozmowę z mjr Wiesławem Górnickim prowadziło trzech dziennikarzy „Zadania": Edward Chudziński, Zbigniew Bauer i Krzysztof W. Kasprzyk. Przepytywali swego rozmówcę dość skutecznie. Usiłowali mu wmówić, że zdezerterował z zawodu dziennikarskiego, czując, że jego kolejna zmiana orientacji mogłaby wzbudzić u czytelników brak wiary i zaufania. Ale przecież mjr Wiesław Górnicki od czasu do czasu występuje w DTV i polemizuje z tymi, którzy za granicą pisują o Polsce. Te występy też mu popularności i sympatii nie zjednają. Każdy człowiek powinien przeto mieć prawo do podjęcia takiej decyzji życiowej, z którą będzie mu dobrze. Rozmowa jest interesująca, wielowątkowa, pada w niej kilka ciekawych stwierdzeń.

Miesięcznik „BARWY" przynosi w nr 9 (listopad 1982) kilka charakterystycznych dla tego pisma listów oraz wiersz Henryka Gaworskiego z cyklu „Portrety i portreciki" zatytułowany

DANIEL PASSENT

Oto początek tego wiersza:

„Wyrokiem Sądu — choć jeszcze, jak dotąd,
nie prawomocnym — pan
red. Passent Daniel
uzyskał miano patrioty.
Patriotą
więc już na zawsze chyba
pozostanie".

I jeszcze jedna zwrotka:

„I choć w Polsce
publicystów wielu,
to — niech dosięgnie znów
sądowy bicz mię —
żaden z nich nie mógł pisać
przy Danielu
tak finezyjnie i tak
patriotycznie".

Jest w „BARWACH" list bezpośrednio atakujący Daniela Passenta. Napisał go Kazimierz Włodarczyk, który podał do publicznej wiadomości swój adres: *„Osiny 7, 21—23 p-ta Wandów, woj. siedleckie"*. Złożył też odpowiednią deklarację: *„mam wykształcenie zawodowe zasadnicze i na ewentualnej rozprawie sądowej będę bronił się sam"*. Dlaczego miałoby dojść do sądowej rozprawy. Widać Kazimierz Włodarczyk doszedł do wniosku, że napisane przez niego słowa mogą być podstawą takiej rozprawy. A oto one: *„ja przekonany jestem, iż dalej nie podoba się panu „nic, co polskie, suwerenne i własne". Powiem więcej — cytat ten nie w pełni jest adekwatny do pańskiej publicystyki, za którą idzie (czy może z niej wynika) stosunek do tego, co polskie"*. Te zdania są oczywiście adresowane do Daniela Passenta.

Ten sam numer „Barw" przynosi list Mariana Tupiaka do Igora Sikiryckiego, w którym zawarty jest akces Rady Programowej Łódzkiego Klubu WSP „Rzeczywistość" do PRON. Natomiast Roman Dudziński prezentuje założenia programowe Zjednoczenia Patriotycznego Grunwald", a Jan Ul atakuje tygodnik „Rzeczywistość"

LUCIAN BOGUSZ

PRZYSZŁOŚĆ NALEŻY DO POLITYKI ODPRĘŻENIA

W przemówieniu wygłoszonym w ubiegłym tygodniu na plenum KC KPZR, sekretarz generalny KC KPZR, **Jurij Andropow** powiedział m. in.:

„Śmierć Leonida Breżniewa wywołała za granicą niemało przypuszczeń co do przyszłej polityki KPZR i państwa radzieckiego w sprawach międzynarodowych. Pomyślcie tylko, ile było w ostatnich latach prób przypisywania Związkowi Radzieckiemu wszelkich możliwych zwłowieszczych zamiarów, przedstawiania naszej polityki jako agresywnej, zagrażającej bezpieczeństwu to tego, to innego państwa. A teraz — jak się okazuje — niepokoją się, aby ta polityka nie uległa zmianie. W kontynuowaniu jej upatruje się ważną przesłankę pokoju i spokoju na arenie międzynarodowej.

Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że radziecka polityka zagraniczna była i pozostanie taką, jaką ustalono w uchwałach XXIV, XXV i XXVI Zjazdu naszej partii. Zapewnienie trwałego pokoju, obrona prawa narodów do niezależności i postępu społecznego to niezmienne cele naszej polityki zagranicznej. W walce o te cele kierownictwo partii i państwa będzie działać w sposób konsekwentny i zasadniczy.

Uważamy, że napięcie i trudności charakteryzujące obecną sytuację międzynarodową mogą i powinny być przezwyciężone. Ludzkość nie może bez końca godzić się z wyścigiem zbrojeń i z wojnami, jeśli nie chce ryzykować swej przyszłości. KPZR przeciwna jest temu, aby spór ideologiczny przekształcił się w konfrontację między państwami i narodami, aby miernikiem siły systemów społecznych stawała się broń i gotowość jej użycia.

Agresywne knowania imperializmu zmuszają nas, byśmy wspólnie z bratnimi państwami socjalistycznymi troszczyli się — i to poważnie — o utrzymanie zdolności obronnej na odpowiednim poziomie. Jednak, jak podkreślał Leonid Breżniew, nie my wybraliśmy rywalizację militarną. Ideałem socjalizmu jest świat bez broni (...).

W zachowaniu pokoju i odprężenia zainteresowani są wszyscy. Dlatego co najmniej niepoważnie brzmią oświadczenia, w których gotowość do normalizacji stosunków łączy się z żądaniami, aby Związek Radziecki płacił za to jakimiś wstępnymi ustępstwami w najróżniejszych dziedzinach. Na to nie pójdziemy. Właściwie zresztą nie mamy co zmieniać: sankcji przeciwko nikomu nie wprowadzaliśmy, z podpisanych umów i porozumień nie wycofywaliśmy się, rozpoczętych rozmów nie przerywaliśmy. Jeszcze raz chcę podkreślić, że Związek Radziecki opowiada się za porozumieniem, ale na zasadach wzajemności i równości. Istota rozmów z USA i innymi państwami zachodnimi przede wszystkim w kwestiach powstrzymania wyścigu zbrojeń według nas — polega nie na tym, by stwierdzać istnienie rozbieżności.

Dla nas rokowania są sposobem łączenia, wysiłków różnych państw w celu osiągnięcia rezultatów korzystnych dla wszystkich. Problemy nie znikną same, jeśli prowadzi się rozmowy dla samych rozmów, jak to, niestety, nierzadko bywa. Opowiadamy się za poszukiwaniem zdrowej, możliwej do przyjęcia dla wszystkich postawy rozwiązania najbardziej złożonych problemów, a przede wszystkim — oczywiście problemu okiełznania wyścigu zbrojeń, zarówno atomowych, jak i konwencjonalnych. Niech nikt jednak nie oczekuje od nas jednostronnego rozbrojenia. Nie jesteśmy naiwni.

Nie żądamy jednostronnego rozbrojenia Zachodu. Opowiadamy się za równością, za uwzględnieniem interesów obu stron, za uczciwym porozumieniem. Do tego jesteśmy gotowi.

Jeśli chodzi konkretnie o strategiczną broń atomową, posiadaną przez ZSRR i USA, to Związek Radziecki, jak wiadomo, zgadza się na to, aby jako pierwszy krok na drodze do przyszłego porozumienia obie strony zamroziły swoje arsenały i stworzyły tym samym bardziej sprzyjające warunki dla kontynuacji rozmów o wzajemnej ich redukcji".

AMERYKAŃSKA ODPOWIEDŹ!

Tego samego dnia, kiedy Jurij Andropow w cytowanym wyżej przemówieniu potwierdził wolę partii i państwa radzieckiego kontynuowania breżniewowskiej polityki wyciągniętej ręki, potwierdził główne propozycje radzieckie w sprawie porozumienia i obustronnego zamrożenia arsenałów strategicznej broni atomowej, prezydent USA, Ronald Reagan ogłosił swoją decyzję o budowie rakiet „MX".

MX to ultranowoczesny i kosztujący dziesiątki miliardów dolarów system międzykontynentalnych pocisków rakietowych. Decyzję swą Reagan uzasadnił „koniecznością umacniania bezpieczeństwa USA i zachowania pokoju".

Pociski międzykontynentalne MX otrzymały nazwę „Peacekeeper", tj. „strażników pokoju", co można uznać tylko za objaw osobliwego poczucia humoru autorów tej nazwy.

Ogłoszenie decyzji prezydenta w sprawie MX właściwie nie było dla nikogo zaskoczeniem. Publiczną tajemnicą było przyjęcie tej decyzji od kilku co najmniej dni. Wybór poniedziałku, 22 listopada był więc efektem politycznej reżyserii. Jednocześnie podano do publicznej wiadomości, że prezydent uzyskał już dla tej decyzji poparcie poprzednich prezydentów USA oraz czołowych ekspertów d.s. bezpieczeństwa, a także zapewnienie, że projekt MX spotka się z aprobatą Kongresu.

Wielu komentatorów uważa, że Reagan wykonuje milowy krok w dziedzinie wyścigu zbrojeń, że rzuca wyzwanie Związkowi Radzieckiemu i całemu światu. Dokonuje tego w momencie, w którym w stosunkach radziecko-amerykańskich zaświtała możliwość rozszerzenia dialogu. Reagan możliwość tę zlekceważa i przekreśla.

MADRYT — POWAŻNY POSTĘP W REDAKCJI DOKUMENTU KOŃCOWEGO

Na posiedzeniu plenarnym madryckiego spotkania KBWE wystąpił w ubiegłym tygodniu wiceprzewodniczący delegacji USA **Robert Dole.**

Amerykański polityk (Dole jest republikańskim senatorem ze stanu Kansas) powtórzył tradycyjne zachodnie tezy pod adresem krajów socjalistycznych. We fragmencie poświęconym Polsce wystąpił o „przywrócenie dialogu" między państwem a Kościołem, podczas gdy powszechnie wiadomo, że dialog ten nigdy nie został przerwany.

Niemniej, wystąpienie senatora Dole zawierało również tony pojednawcze. Mówił on o rozwoju amerykańsko radzieckich stosunków handlowych, o międzynarodowych kontaktach politycznych i poważnej szansie zakończenia owocnymi wynikami madryckiej sesji. Na konferencji prasowej Dole wyraził nadzieję na porozumienie w kwestii środków budowy zaufania militarnego.

Następnym mówcą był ambasador **Dubinin**, członek delegacji ZSRR. Znalezienie rozwiązań zadowalających wszystkich jest celem delegacji radzieckiej — stwierdził amb. Dubinin. Przypomniał słowa Jurija Andropowa wypowiedziane w dn. 22 bm. na temat polityki radzieckiej nakierowanej na poprawę stosunków z USA. ZSRR uczyni wszystko — powiedział mówca — aby polityka odprężenia nie była polityka przeszłości, lecz przyszłości.

W końcu tygodnia obrady madryckie toczyły się w grupach redakcyjnych dokumentu końcowego. W jednej omawiano zasady KBWE, a w drugiej debatowano nad sformułowaniami problemów objętych tzw. trzecim koszykiem.

W grupie omawiającej problematykę zasad, którymi powinny się kierować państwa we wzajemnych stosunkach przedstawiciel Polski oświadczył, że popierając pozytywną rolę jednostek i organizacji społecznych, nie wolno zapominać, że główne zadanie spoczywa na państwach. Trzeba więc szukać na spotkaniu madryckim elementów współpracy i eliminować ze stosunków międzynarodowych to, co utrudnia współpracę.

Nasz czas przeszły

PAWEŁ SAMUŚ

„Taki był początek słynnej następnie PPS"

Na początku lat dziewięćdziesiątych XIX w. zaznaczyła się tendencja narastania żywiołowego ruchu masowego robotników polskich zaboru rosyjskiego. Przejawiło się to w rozwoju masowego ruchu strajkowego proletariatu przemysłowego, rozszerzaniu się obchodów święta 1 Maja, a szczególnie dobitnie w potężnym strajku powszechnym ponad 60 tysięcy robotników Łodzi w maju 1892 r. Współtwórcami masowego ruchu robotniczego były organizacje socjalistyczne działające wówczas w Królestwie Polskim.

II Proletariat, powstały w 1888 r. z Ludwikiem Kulczyckim i Marcinem Kasprzakiem na czele, uważał się za kontynuatora rozgromionej dwa lata wcześniej partii Ludwika Waryńskiego i realizował początkowo założenia programowe z jej schyłkowego etapu istnienia. Jednak jego oblicze ideowo-polityczne uległo stopniowo ewolucji wraz z odchodzeniem od taktyki spiskowo-terrorystycznej i rozwijaniem masowych form walki robotników.

Związek Robotników Polskich (ZRP) założony został w 1889 r. przez działaczy nie zgadzających się z taktyką terrorystyczną. Wśród nich byli: Janusz Tański, Jan Leder Julian Marchlewski, Adolf Warski, Józef Beck. ZRP dążył do rozszerzenia masowej bazy ruchu robotniczego poprzez szeroką agitację ekonomiczną, strajkową, klasowe uświadamianie mas robotniczych stopniowo przechodząc do upolitycznienia swej działalności. Jego celem, jak stwierdza znawca dziejów tej organizacji (F. Tych), było zorganizowanie w Polsce ruchu na wzór masowych partii socjaldemokratycznych istniejących wtedy na zachodzie Europy.

Latem 1891 r. grupa przeciwników taktyki terrorystycznej wystąpiła z II Proletariatu tworząc nową organizację pn. Zjednoczenie Robotnicze. Na czele jej stanęli wybitni działacze jak Edward Abramowski, utalentowany popularyzator idei socjalistycznej, Jan Stróżecki i Stanisław Wojciechowski.

W Galicji socjaliści polscy od listopada 1890 r. zaczęli tworzyć swą partię, która na zjeździe konstytutywnym we Lwowie (31. I. — 4. II. 1892 r.) przyjęła nazwę Galicyjskiej Partii Socjaldemokratycznej, znaną później, jako Polska Partia Socjalno-Demokratyczna Galicji i Śląska Cieszyńskiego (PPSD). Kierowniczą rolę począł w niej odgrywać Ignacy Daszyński.

Jednocześnie przejawiały aktywność grupy emigracyjne specjalistów polskich. Jedna z najpoważniejszych skupiona była wokół redakcji pisma „Przedświt". Na jej czele stał Stanisław Mendelson, jeden z organizatorów pierwszych kółek socjalistycznych, twórca i redaktor pierwszych polskich pism socjalistycznych pozostający w kontakcie z najwybitniejszymi przywódcami międzynarodowego ruchu robotniczego. Grupa „Przedświtu", do której wchodzili Maria Jankowska-Mendelson, Witold Jodko-Narkiewicz, Aleksander Dębski, wywierała poważny wpływ na oblicze ideowo-polityczne II Proletariatu. Jego dwaj wybitni działacze: Bolesław Antoni Jędrzejowski i Feliks Perl, zagrożeni aresztowaniem wyjechali z kraju zasilając na emigracji grupę „przedświtowców".

W okresie od jesieni 1891 r. następował przełom w poglądach ideowo-politycznych St. Mendelsona i jego towarzyszy wywodzących się z internacjonalistycznego nurtu w polskim ruchu robotniczym. Uznali oni, że ruch socjalistyczny powinien troszczyć się nie tylko o cel ostateczny — socjalizm, ale także wysunąć wobec mas pracujących jasny program bieżącej walki ekonomicznej i politycznej, o ich potrzeby w tym również narodowe. Uważali że należy zatem wysunąć postulat niepodległości Polski jako jeden z głównych celów ówczesnej walki politycznej polskiej klasy robotniczej. Podobny pogląd na sprawę niepodległości wyrażali przywódcy PPSD, a stanowisko takie publicznie sformułował I. Daszyński na pierwszym zjeździe tej partii.

Emigracyjna grupa Gmina Narodowo-Socjalistyczna wydawała w Paryżu pismo „Pobudka" głoszące ideologię radykalną. Program jej zawierał hasło niepodległości Polski, poruszał sprawy socjalne mas pracujących głosząc nawet potrzebę wprowadzenia socjalizmu choć przeciwstawił się klasowo-internacjonalistycznemu nurtowi w ruchu robotniczym. Najpopularniejszym członkiem i publicystą tej grupy był Bolesław Limanowski historyk i socjolog, wybitny, wieloletni działacz określający się jako „narodowy socjalista". Zerwał on jednak w maju 1892 r. z gminą i wszedł w skład innej grupy socjalistycznej wydającej pismo „Przegląd Socjalistyczny". Limanowski propagował hasło zjednoczenia polskich socjalistów na gruncie walki o niepodległość narodową i sprawiedliwość społeczną.

Konieczność zjednoczenia ruchu socjalistycznego rozumieli także inni działacze w kraju i na emigracji. Bunt łódzki w 1892 r. szczególnie uświadomił nieodzowność zjednoczenia różnych grup, organizacji i nurtów w polskim ruchu socjalistycznym w jednolitą partię zdolną do pokierowania walką mas robotniczych.

Idea zorganizowania zjazdu zjednoczeniowego polskich socjalistów zrodziła się w środowisku emigracyjnym. Głównymi jego inspiratorami i organizatorami byli działacze z grupy „Przedświtu".

Podczas II Międzynarodowego Kongresu Socjalistycznego w Brukseli (VIII. 1891) przedstawiciele polskich socjalistów (I. Daszyński, A. Dębski, B. A Jędrzejowski, M. Jankowska-Mendelson, S. Mendelson, B. Przytulski) utworzyli jednolitą trójzaborową delegację polską. W wydanym przez nią liście otwartym uznano za niezbędne zwołanie zjazdu przedstawicieli polskich socjalistów dla zjednoczenia ich sił... W „Komunikacji poufnej" z końca 1891 lub początku 1892 r., a podpisanej przez I. Daszyńskiego i A. Dębskiego, mówi się już o konieczności przyspieszenia zjazdu polskich socjalistów zapraszając nań **„nie tylko organizacje lub luźne grupy, ale i oddzielne jednostki chętne do pracy i przejęte myślą o potrzebie jednolitej i harmonijnej działalności socjalistycznej w kraju naszym"**. Zadaniem zjazdu miało być opracowanie jednolitej platformy programowej, wspólnej taktyki, a wreszcie doprowadzenie do zjednoczenia organizacyjnego ruchu socjalistycznego w trzech zaborach i stworzenie jednej partii.

Od jesieni 1891 r. przygotowywano się do wydawania trójzaborowego pisma socjalistycznego, lecz zamysłu tego nie wykonano. Podobnie nie zdołano opracować projektu programu, choć również to było zamiarem emigracyjnych działaczy. W trakcie przygotowań zrezygnowano z koncepcji trójzaborowego zjazdu, co nastąpiło, jak wskazuje współczesny historyk (J. Kancewicz), najpóźniej latem 1892 r. Nie udało się też pozyskać delegatów wszystkich organizacji z zaboru rosyjskiego i grup emigracyjnych. Zadecydowały o tym nie tylko trudności organizacyjno-techniczne ale i zamysł emigracyjnych animatorów zjazdu, by najpierw uporządkować sprawy ruchu w zaborze rosyjskim, a także ich dążenia, aby stanowisko ideowo-polityczne jego uczestników było **„bardziej jednorodne"**.

Organizacje robotnicze w Królestwie Polskim (ZRP, II Proletariat i Zjednoczenie Robotnicze) w rezultacie ewolucji założeń programowych i taktycznych zbliżyły się do siebie na tyle, że jesienią 1892 r. powołały wspólny organ koordynujący ich wspólną działalność co zapowiadało możliwość rychłego ich połączenia w jedną partię. Inspiratorzy zjazdu nie zdołali jednak nakłonić do udziału w nim kierownictwa ZRP, największej organizacji socjalistycznej w zaborze rosyjskim choć niektórzy jego działacze poparli cel zjazdu. Jedną z przyczyn takiej postawy był niechętny stosunek robotników i części jego działaczy inteligenckich do platformy ideowo-politycznej przygotowywanego zjazdu.

Została ona zaprezentowana niejako w formie zalążka przyszłego programu, jak już wspomniano, na łamach „Przedświtu" oraz w broszurze Stanisława Grabskiego byłego zeterpowca który podjął działalność jako redaktor „Gazety Robotniczej" w Berlinie. Autor wysunął hasło niepodległości Polski, jednocześnie pesymistycznie oceniając perspektywy rewolucji w Rosji niechętnie ustosunkował się do sprawy sojuszu z rosyjskimi rewolucjonistami szukając sojuszników wewnętrznych zgodnie z zasadą solidaryzmu narodowego. Odchodził tym samym od podstawowych zasad rewolucyjno-internacjonalistycznych wyznawanych dotąd przez socjalizm polski.

Projekt programu pn. Zasady programu Polskiej Robotniczej Socjalistycznej Partii na terenie zaboru rosyjskiego" opracował Edward Abramowski, prawdopodobnie przed sierpniem 1892 r., przebywający już wtedy na emigracji. Miał on klasowy robotniczy charakter, hasło niepodległości wiązał z walką klasową podkreślał konieczność zdobycia władzy przez proletariat broniąc tradycyjnych zasad rewolucyjno-internacjonalistycznych polskiego ruchu socjalistycznego. Projekt ten został odrzucony jeszcze przed zjazdem dla którego podstawą do dyskusji miała stać się platforma ideowo-polityczna „Przedświtu" i jego zwolenników. Jednak Abramowski i jego towarzysze ze Zjednoczenia Robotniczego odegrali istotną rolę w przygotowaniu i przebiegu zjazdu.

Zjazd odbył się w Paryżu w dniach 17—23 listopada 1892 r. Uczestniczyło w nim 18 działaczy socjalistycznych. Najliczniejsza grupę wśród nich tworzyli „przedświtowcy" określani też w literaturze jako „proletariatczycy": A. Dębski ps. „Gustaw", B. A. Jędrzejowski ps. „Bolesław", W. Jodko-Narkiewicz ps. „Aleksander", M. Jankowska-Mendelson ps. „Marian", S. Mendelson ps. „Mieczysław", F. Perl ps. „Feliks", Wacław Skiba ps. „Władysław" Aleksander Sulkiewicz ps. „Kazimierz". Druga grupa to 4 przedstawicieli Zjednoczenia Robotniczego: E. Abramowski ps. „Józef", J. Stróżecki ps. „Stefan", Stanisław Tylicki ps. „Wojciech", S. Wojciechowski ps. „Wacław". Kolejną grupę stanowili przedstawiciele Gminy Narodowo-Socjalistycznej i pisma „Pobudka": Jan Lorentowicz ps. „Zdzisław", Władysław Ratuld ps. „Bronisław", Maria Szeliga ps. „Marta" lecz przybyli oni dopiero w piątym dniu obrad. Stanisław Grabski ps. „Stanisław", poróżniony z działaczami ZRP w sprawach programowych nie miał na zjeździe ich mandatu i występował jako „luzak" reprezentując właściwie samego siebie, a w toku obrad na ogół popierał „zjednoczeniowców". Jego współpracownik z ośrodka berlińskiego, młody student Wacław Podwiński ps. „Wiktor" występował na zjeździe jako „bezpartyjny", opowiadając się w dyskusji również za „zjednoczeniowcami", lecz w piątym dniu musiał opuścić obrady z przyczyn osobistych.

Jako „bezpartyjny" w zjeździe uczestniczył także B. Limanowski ps. „Tadeusz". Ponieważ redakcja „Przeglądu Socjalistycznego", z którą był związany odmówiła udziału w zjeździe zamierzał być z nią solidarny, jednak po dwukrotnej odmowie zgodę wyraził niemal w ostatniej chwili, gdy przekonano go, że delegaci zamierzają uznać w przyszłym programie hasło niepodległości Polski.

Spośród uczestników zjazdu tylko dwóch przybyło bezpośrednio z kraju — J. Stróżecki ze Zjednoczenia i A. Sulkiewicz, działacz II Proletariatu na Litwie, świetny konspirator i organizator przerzutów literatury agitacyjnej do kraju. ZRP nie był reprezentowany z przyczyn, o których była mowa wyżej. W składzie zjazdu dominowali zatem działacze emigracyjni, zdecydowanie przeważali też inteligenci.

„Pierwsze posiedzenie (zjazdu) — jak napisał w swoich pamiętnikach B. Limanowski — odbyło się w przedmiejskiej części Paryża, Mont Rouge, w mieszkaniu Bolesława Antoniego Jędrzejowskiego, z którym wszedłem następnie w przyjazne stosunki i którego, skracając nierwsze trzy litery jego imienia i nazwiska, nazywano Bacjam. W mieszkaniu jego, składającym się z dość obszernego pokoju i kuchenki, w którym mieścił się z żoną i dzieckiem w kolebce, odbywały się pierwsze zgromadzenia, następnie zostały przeniesione do środkowej części Paryża, do mieszkania bardziej obszernego. Pierwszego dnia, gdy się przedłużyły obrady i wygłodziliśmy się zrobiliśmy składkę po 50 centymów od osoby, a Bajowa zakupiła co najniezbędniejsze i najtańsze do zaspokojenia głodu i pragnienia. Taki był początek powstania słynnej następnie PPS".

Na początku pierwszego posiedzenia Jędrzejowski przedstawił historię przygotowań do zjazdu, a następnie na jego wniosek wybrano przewodniczącym obrad B. Limanowskiego. I choć stało się to **„ku mojemu zdziwieniu"**, jak skonstatował potem we wspomnieniach, nie przeszkodziło mu to pełnić tych obowiązków z powodzeniem do końca zjazdu. Ustalono także inne sprawy, jak wybór sekretarzy, komisji przygotowującej porządek obrad i projekty rezolucji oraz postanowiono by w dyskusji uczestników **„nazywać imionami"**, czyli ad hoc przyjętymi pseudonimami. Zostały one rozszyfrowane przez Leona Wasilewskiego, historyka i wybitnego działacza socjalistycznego, który czterdzieści lat później wydał drukiem protokoły zjazdu.

Na pierwszym posiedzeniu omówiono sprawę reprezentatywności zjazdu i rozstrzygnięto bez głosowania, pomimo pewnych wątpliwości E. Abramowskiego, jeden z zasadniczych celów zjazdu stwierdzając, że jego zadaniem jest utworzenie jednej, wspólnej partii socjalistycznej.

Dopiero na drugim posiedzeniu przyjęto porządek obrad zjazdowych przewidujący programowe sprawy polityczne i ekonomiczne, kwestie taktyki walki, formy agitacji propagandy i organizacji, stosunek do innych klas i partii. Zwraca uwagę, jak podkreśla historyk (J. Kancewicz), pominięcie w porządku obrad zasadniczych spraw każdego programowego zjazdu socjalistycznego — programu maksimum, czyli spraw ideologicznych, analizy kierunku rozwoju kapitalizmu, perspektyw walki klasowej proletariatu i jej celu ostatecznego — socjalizmu oraz dróg do niego wiodących. Takie odmienne podejście, mimo iż niektóre elementy programu maksimum wystąpiły w dyskusji, wywarło również wpływ na oblicze przyjętego programu.

Polityczna i ekonomiczna część projektu programu opracowanego przez komisję zjazdową (Abramowski, Mendelson, Grabski, Jędrzejowski, Wojciechowski) została przyjęta po krótkiej dyskusji i szczegółowych uzupełnieniach. Komisji powierzono też ostateczne sformułowanie programu, lecz jak miało po kilku dniach się okazać trzeba było do tych spraw jeszcze wrócić. W toku żywej dyskusji nad sprawami agitacji i propagandy jej uczestnicy omawiając wiele ważnych zagadnień niemało uwagi poświęcili roli religii w życiu robotników polskich zastanawiając się czy socjaliści winni w propagandzie i agitacji masowej wśród robotników wykorzystywać uczucia religijne, czy też propagować treści ateistyczne. Przyjęto w tej sprawie rezolucję proletariatczyków" rezygnującą z zasadniczych względów z tej pierwszej możliwości.

W sprawie taktyki walki bez dyskusji przyjęto rezolucję o strajkach, manifestacjach, ewentualnym wykorzystaniu legalnych form walki. Natomiast na czterech posiedzeniach, począwszy od trzeciego dnia obrad, toczyła się ożywiona momentami burzliwa dyskusja na temat terroru. Przedstawiciele Zjednoczenia Robotniczego (Stróżecki Wojciechowski Abramowski który jakby wahał się nie występując za całkowitym odrzuceniem hasła terroru, lecz za jego poważnym ograniczeniem), wspierani przez St. Grabskiego wypowiadali się na ogół przeciwko uznaniu w programie partii socjalistycznej terroru, jako metody walki wskazując na jego szkodliwe następstwa dla masowego ruchu robotniczego i rozwoju świadomości klasowej proletariatu.

Odmienne stanowisko zajęli „proletariatczycy", zwłaszcza Mendelson, Perl Dębski Jodko-Narkiewicz, którzy widzieli celowość stosowania terroru w określonych sytuacjach a nawet konieczność użycia w celach samoobrony partii przed szpiclami i zdrajcami, czy też stosowanie zamachów politycznych jako korzystnej dla zwiększenia popularności partii, podtrzymania nastrojów wśród robotników itp. Rozbieżności między obydwiema grupami spowodowały poważne napięcie i omal nie doprowadziły do zerwania zjazdu. Przewodniczący obradom B. Limanowski starał się spór łagodzić, a ostatecznie obie strony kierując się względami jedności poszły na pewne ustępstwa i przyjęto rezolucję ujmującą sprawę terroru w duchu raczej bliskim poglądom „zjednoczeniowców".

Jednak nie ten problem, choć tak kontrowersyjny, lecz sprawa postulatu niepodległości Polski był kluczowy na zjeździe i w przyjętym programie. Wszyscy uczestnicy zjazdu, jak już wzmiankowano, byli zgodni co do konieczności uznania tego postulatu w programie przyszłej partii, toteż przy omawianiu części politycznej projektu nie było początkowo żywszej dyskusji. Jedynie pierwszego dnia gdy F. Perl podkreślał, że **„niepodległą republikę polską musimy postawić sobie jako najbliższy cel"**, to E. Abramowski uważał, iż jest to **„cel ostateczny"** dopuszczając możliwość walki o swobody polityczne w Rosji na ówczesnym etapie. Jak wspomina B. Limanowski **„Poszedłem i na drugie zgromadzenie z myślą bronienia zasady niepodległości Polski, a gdyby tej zasady nie uznano, miałem nie brać udziału w dalszych zgromadzeniach. Byłem prawie pewny, że to nastąpi, gdy jako główny referent komisji wystąpił Mendelson. Z wielkim jednak moim zdziwieniem w programie zaraz na naczelnym miejscu została postawiona walka o niepodległość Polski"...**

Krótką dyskusję na ten temat wywołali na piątym posiedzeniu spóźnieni przedstawiciele „Pobudki", którzy dopiero wówczas przybyli na zjazd. Lorentowicz popierany przez Ratulda zapytał wprost **— „dlaczego w rezolucjach o celach politycznych czytamy: „samodzielna republika demokratyczna", a nie — jak on by tego chciał — socjalistyczna?"**. W odpowiedzi Mendelson wyjaśniał, że **„nie myśleliśmy i nie myślimy kryć się z socjalizmem, ale chcieliśmy nawiązać nasze cele do obecnych warunków walki. Socjalizmu od razu po rewolucji nie urzeczywistnimy, stawiamy tylko program walki, program minimum rewolucyjny"**. Natomiast F. Perl obstając przy słowie **„demokratyczna"** jako określającym tendencje polityczne ruchu, uznawał pojęcie **„socjalizm"** w tym przypadku, za zbyt obszerne. Przyznał jednak, że bardzo ważne jest zagadnienie, czy zdobyte swobody polityczne zostaną wykorzystane do rozwoju społeczeństwa burżuazyjnego, czy jako pierwszy krok do socjalizmu. Jędrzejowski zaś zapewniał, że uczestnicy obrad formułując rezolucję rozumieli rozwiązanie tej kwestii w przyszłości w duchu **„dyktatury proletariatu"**.

Na zjeździe stanęła też kwestia stosunku do innych klas i warstw społecznych oraz partii. W toku dyskusji Wojciechowski przedłożył wniosek przyjęty jednogłośnie, a mówiący o tym, że **„klasowe stanowisko proletariatu jest stanowiskiem partii socjalistycznej"**. Inni dyskutanci wskazywali, że partia zachowując i podkreślając swą samodzielność oraz odrębność klasową powinna współdziałać z ugrupowaniami politycznymi reprezentującymi inne klasy społeczne wykorzystując tkwiące w nich czynniki rewolucyjne na rzecz walki o niepodległość. Dostrzegano znaczenie kwestii agrarnej i potrzebę pracy agitacyjnej wśród chłopstwa, a zwłaszcza proletariatu rolnego.

Rozważano wreszcie jedną z najważniejszych kwestii — stosunek do rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. Jedynie E. Abramowski dostrzegał zjawiska społeczno-ekonomiczne zapowiadające perspektywę zmian rewolucyjnych w Rosji, natomiast Mendelson, jak raczej większość uczestników dyskusji, oceniał pesymistycznie prognozy tej rewolucji. E. Abramowski, podobnie jak i inni „zjednoczeniowcy", był świadom, że **„bez współudziału z ruchem rosyjskim nie możemy zrobić"**. Traktował on sprawę sojuszu z rewolucjonistami rosyjskimi z punktu widzenia interesów wyzwolenia narodowego i swobód demokratycznych Polaków. St. Grabski zaś akcentował różnice celów polskiego i rosyjskiego ruchu socjalistycznego. W rezultacie dyskusji przyjęto wniosek kompromisowy.

W ostatnim dniu obrad, 23 listopada, dyskutowano na tematy organizacyjne przyszłej partii socjalistycznej, lecz, jak wynika z protokółu nie omawiano ich szczegółowo. Przyjęto wniosek St. Mendelsona, by w mającej powstać organizacji partyjnej w kraju obowiązującą była zasada centralizacji. Uczestnicy zjazdu świadomi tego, że reprezentują przede wszystkim środowiska emigracyjne, nie zdecydowali się proklamować założenia organizacji krajowej zobowiązując się jednak podjąć działania na rzecz niezwłocznego jej utworzenia. Powołano do życia tylko Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich, kierowany przez Centralizację, zwaną też Zarządem. Wybrano do niej Jędrzejowskiego, Lorentowicza, Abramowskiego, Perla i Wojciechowskiego.

Przyjęte przez zjazd paryski uchwały programowe zostały w wersji ostatecznej opracowane przez Stanisława Mendelsona i wraz ze wstępem jego pióra ogłoszone jako „Szkic programu Polskiej Partii Socjalistycznej" w majowym numerze „Przedświtu" z 1893 r. Był on zasadniczym aktem programowym PPS, aż do 1906 r., kiedy nastąpił w partii rozłam.

Program wysunął jako pierwszoplanowe hasło niepodległej i demokratycznej republiki polskiej. Był to nie tylko naczelny postulat programowy, ale także jego żądanie wyjściowe. W niepodległej Polsce miały być dopiero zrealizowane żądania programowe z zakresu demokratyzacji i spraw socjalnych. W sferze politycznej postulowano: demokratyczne prawo wyborcze, prawodawstwo ludowe, samorząd gminny i prowincjonalny, całkowite równouprawnienie narodowości wchodzących w skład państwa polskiego na zasadzie dobrowolnej federacji, równość wszystkich obywateli bez różnicy płci, rasy, narodowości i wyznania, wolność słowa, druku, zgromadzeń, stowarzyszeń i strajków wprowadzenie powszechnego obowiązkowego i bezpłatnego nauczania zniesienie armii stałej i zastąpienie jej powszechnym uzbrojeniem ludu. W dziedzinie ekonomicznej żądano: wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy, minimum płacy, zrównania płac dla mężczyzn i kobiet, zakazu zatrudniania dzieci i ograniczenia czasu pracy młodzieży powołania giełdy pracy i inspektoratu fabrycznego wybieralnego przez robotników. Program określając drogę do socjalizmu opowiadał się raczej za stanowiskiem reformistycznym wysuwał bowiem postulat **„stopniowego uspołecznienia ziemi, narzędzi produkcji i środków komunikacji"**.

W dziedzinie taktyki dokument zapowiadał prowadzenie w kraju przez organizację socjalistyczną szerokiej agitacji i rozwijanie świadomości klasowej robotników. Uznawał jako środki walki strajki, manifestacje, podawanie petycji do władz, dopuszczał z zastrzeżeniami możliwość stosowania terroru politycznego i ekonomicznego. Zapowiadał, że partia będzie reprezentowała w zasadzie interesy klasowe proletariatu, lecz równocześnie postara się skupić wokół swego sztandaru inne niezadowolone warstwy społeczne. Mówił o potrzebie wspólnej z rewolucjonistami rosyjskimi walki przeciwko caratowi, ale też uznał za właściwe by w tej sprawie **„zaznaczyć swą separatystyczną politykę"**.

Wysunięcie w programie paryskim postulatu niepodległości miało doniosłe znaczenie. Miał on bowiem jak trafnie zauważył współczesny historyk (F. Tych), potencjalnie szanse zapoczątkowania pozytywnego przełomu w dziejach socjalizmu polskiego w przywiązaniu organicznego powiązania hasła niepodległości z postulatami rewolucji społecznej. Twórcy programu jednak nie uczynili tego formułując dokument w sposób umożliwiający jego interpretację zarówno w duchu klasowo-proletariackich zadań partii jak i w duchu solidaryzmu klasowego.

Rozbieżności na tym tle sprawiły, że niemal od początku PPS, która powstała w kraju w 1893 r., była partią niejednolitą wewnętrznie. Gdy przedstawiciele jednego skrzydła traktowali jako nierozerwalne hasła socjalizmu i niepodległości czas masowej walki społecznej dla przywódców innego skrzydła zasadniczym celem stała się przede wszystkim odbudowa niepodległej Polski o ustroju republikańskim i demokratycznym.

Dokończenie ze strony 1

W środku miasta niczym w kotle

szalne normy. Pyłów ciągle przybywa. Jeszcze trzy lata temu było ich dwukrotnie mniej. Za dwa lata zapewne będzie dwukrotnie więcej niż dzisiaj.

Zanieczyszczone powietrze kojarzy się nam przede wszystkim z czarno dymiącymi kominami Widzewa. W rzeczywistości wokół tych spraw urastają mity. Dym bowiem powoduje tylko negatywne psychiczne oddziaływanie na obserwatora. Atmosferze jednak nie zagraża.

Atmosferze zagraża natomiast Śródmieście, gdzie wiele domów nie jest podłączonych do sieci centralnego ogrzewania i gazowej. „Prywatne" paleniska „wysypują" codziennie do atmosfery szkodliwe pyły.

W przeciwieństwie do spalin samochodowych, mających znaczny udział w zanieczyszczaniu miasta, pyłów kominowych przechodzień od razu nie odczuwa. Na Piotrkowskiej, czyli w rejonie między placem Wolności a placem Reymonta, nie bardzo zdajemy sobie sprawę, że jest to obszar najbardziej zagrożony. Tak przynajmniej wykazuje opracowany raport.

Rozwiązaniem tego problemu byłaby oczywiście przebudowa Śródmieścia, rozrzedzenie zwartej zabudowy oraz podłączenie większości budynków do sieci ciepłowniczej, zlikwidowanie lokalnych kotłowni w zakładach przemysłowych.

Spytałem kwiaciarkę sprzedającą kwiaty na rogu Piotrkowskiej i A. Struga, co jej najbardziej przeszkadza w miejscu pracy:

— *O, panie, tutaj bardzo czuć spaliny, jak tak się światło zmieni i zaczynają ruszać — to nieraz aż czarno: mało kwiaty nie więdną. Albo ten hałas. Bo to panie: tramwaj, samochody...*

W ŚRÓDMIEŚCIU

Tego nie da się ukryć przed żadnym przechodniem, nie mówiąc już o lokatorach tutejszych kamienic.

„Specyfiką hałasu w Łodzi jest to, że wynika on bardziej ze sposobu zabudowania miasta niż nadmiernych potoków pojazdów. Śródmieście — pomieszana budowa (przemysł — mieszkania), wąskie ulice, wbudowana w jezdnię linia tramwajowa wpływają na to, że hałas nie ma możliwości rozprzestrzeniania się, ulega jedynie odbiciom i kumulacji" — stwierdzają twórcy raportu.

Z trzech urbanistycznych hałasów: przemysłowego, kolejowego i drogowego najbardziej uciążliwy jest ten ostatni. Najbardziej upośledzone Śródmieście domaga się przebudowy oraz usunięcia sąsiadujących z budynkami mieszkalnymi zakładów — do dzielnic przemysłowych. A więc, uwzględniona w programie Wydziału Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej UMŁ przebudowa kolejnych śródmiejskich kwartałów. Tylko, czy w centrum będzie wtedy ciszej?

W lokalu redakcji, przy przelotowej trasie al. Mickiewicza, przy otwartym oknie trudno rozmawiać, a gdy jedzie tramwaj, czuje się wibracje, bo drży kamienica. Niby szeroka ulica, przestronna, a jednak problem nie został w pełni rozwiązany. Wiadomo więc, że trasy szybkiego ruchu należy budować poza miastem. Ruch tranzytowy będzie sobie hałasował gdzieś tam na peryferiach. Ale ten miejski, komunikacja? Nie ma rady, będzie coraz głośniej w śródmiejskiej dzielnicy.

Mniej istotnymi sprawami, mającymi jednak swój udział w lokalnym hałasie, jest działalność niektórych... lokali rozrywkowych. Odpowiednio ulokowana jako samodzielny budynek „Europa" nie zakłóca nocnej ciszy, ale „Sim", ogródek „Tivoli" może niektórym działać zdrowo na nerwy.

Dozorczyni posesji przy ul. Obrońców Stalingradu 3, pani Jaworska:

— *„Obok jest „Sim", w nocy wszystko dokładnie słychać, jeszcze do tego zgrzyt tramwajów na pl. Wolności. Jestem dozorczynią od ponad dwudziestu lat. Po tylu latach można się przyzwyczaić, hałas przestał nas razić. Ale nowy to by tutaj nie wytrzymał i długo nie pomieszkał. Ta muzyka z knajpy i te tramwaje. Jeszcze o „Simie". Oni tutaj spuszczają swoje odpadki na nasze podwórko, bo rury są mało pojemne i przeciekają. Później czuć to wszystko na podwórku, aż przejść nie można...*

To, co najbardziej uderza w Śródmieściu, to brak zieleni. Łącznie w łódzkim województwie jest 29 parków, o powierzchni 312 ha. Jednak dysproporcje, jakie zachodzą pomiędzy poszczególnymi dzielnicami, są alarmujące. Dla przykładu — o ile na Polesiu parki zajmują 243 ha, to w Śródmieściu jest to liczba zbliżona do 14 hektarów. Tym samym powierzchnia parków przypadających na jednego mieszkańca jest w tej dzielnicy 14 razy mniejsza niż na Polesiu. Podobnie z zielenią osiedlową. Śródmieście jest rejonem o największej gęstości zaludnienia i najwyższym stopniu uciążliwości cywilizacyjnych.

W Śródmieściu zieleni nie przybędzie. Nie pozwala na to ciasna zabudowa. Co najwyżej będzie się utrzymywać w należytym porządku istniejące obecnie parki. Tylko, co zrobić, skoro zajmujące się tymi sprawami Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze jest niedofinansowane. Potrzeby tej firmy są zresztą niebagatelne — około 100 mln zł rocznie.

Spacer po Śródmieściu nie odda pełnego obrazu życia tutejszych ludzi. Idąc Piotrkowską, oglądając niektóre wspaniałe secesyjne domy, nie sposób nie zajrzeć na podwórze, stanąć w przysłowiowej studni.

Pan Słowikowski — były dozorca posesji przy ul. Piotrkowskiej 11, ma wiele do powiedzenia:

— *Zobacz pan, jak wyglądają klatki schodowe. Na schodach aż kolorowo od śmieci. Okna brudne, chyba od roku nie myte.*

Śmieci wysypuje się na podwórzu do pojemników. Kiedy jest zimno, można wytrzymać, ale latem pojemniki śmierdzą. MPO nie przyjeżdża codziennie, bo im się nie opłaca wywozić niepełnych pojemników.

— *Kiedyś bramy były zamykane na noc* — mówi p. Słowikowski — *Było więc o wiele spokojniej i czyściej. Teraz w dzień słychać hałas z ulicy, natomiast w nocy podwórze jest pełne amatorów pijaństwa i rozrób. Są tu bramy wejściowe. Różne się tutaj rzeczy dzieją. Klatki trzeba codziennie sprzątać po zanieczyszczeniach. Wszystko to wina administracji. Żaden problem naprawić bramy i zamykać jak dawniej. Albo ten brak światła w piwnicach. W administracji mówią, że nie ma żarówek. I tak w kółko. Panie, administracja to kary powinna płacić, ją trzeba opisać.*

Zastępcy naczelnika dzielnicy — Wiesławowi Gutowskiemu — sprawy te nie są obce. Naczelnik wie o zanieczyszczeniu powietrza w Śródmieściu związkami ołowiu i węglowodanu, o nadmiernym hałasie, o braku w tej dzielnicy odpowiedniej ilości parków i zieleńców.

— *Plany perspektywiczne* — mówi — *dotyczą rozbudowy Śródmieścia, są, ale ich realizacja nie leży w kompetencji Urzędu Dzielnicowego. To sprawa miasta i głównego architekta. Niemniej zdajemy sobie sprawę, że trzeba kolejno przebudowywać kwartały Śródmieścia, podłączać domy do sieci ciepłowniczej. Co tu dużo ukrywać, niektóre projekty kończą się w dzisiejszych czasach tylko na planach. Dla przykładu; jest w naszej dzielnicy sporo domów, które nie nadają się do dalszego zamieszkiwania. Po prostu zły stan techniczny, domy nadają się tylko do rozbiórki. W tej chwili potrzeba około 200 nowych mieszkań dla wykwaterowywanych rodzin. Pan wie, co znaczy dzisiaj dwieście mieszkań? A jeśli chodzi o zaniedbane posesje, to ich właścicielem jest PGM i on jest odpowiedzialny za stan budynków, za konserwację i czystość. Tylko, że z tą czystością to różnie bywa — lokatorzy sami o to nie dbają. Mieszkańcy czasami przez kilkanaście lat nie malują mieszkań, nie naprawiają stolarki okiennej... Za czystość na klatkach schodowych i podwórzach powinni odpowiadać dozorcy. A na reomnty kapitalne brak nam środków...*

WSZYSTKO MOŻNA WYTŁUMACZYĆ

W dzisiejszych czasach wszystko można wytłumaczyć brakiem środków, brakiem materiałów, mocy przerobowych, brakiem funduszy. Można wytłumaczyć zaniedbującego swoją posesję dozorcę brakiem, na przykład, miotły, beztroską administrację brakiem żarówek, smoły, papy i pieniędzy. Ano, nie ma.

Kończąc spacer Piotrkowską myślę, co można by zrobić dla zagrożonej dzielnicy. Można by utworzyć izolacyjne pasy zieleni chroniące przed nadmiernym hałasem, ukończyć wreszcie przedłużenie al. Kościuszki, co uchroniłoby lokatorów przed makabrycznym zgrzytaniem skręcających w ul. Żwirki tramwajów, zmusić ulokowany w Śródmieściu przemysł do stosowania urządzeń filtrujących zanieczyszczenia.

Można też wstrzymać ruch samochodowy w centrum, zrezygnować z komunikacji i w ogóle wyprowadzić sto tysięcy ludzi do innej dzielnicy. Można, ale czy to jest realne? Trzeba więc konsekwentnie stosować te wszystkie środki i sposoby, które sprzyjają poprawie warunków życia w Śródmieściu. Nie można natomiast pocieszać się, że wszystkie wielkie aglomeracje mają te same problemy w swoich śródmieściach. To żadna pociecha, ani usprawiedliwienie.

JACEK BINKOWSKI

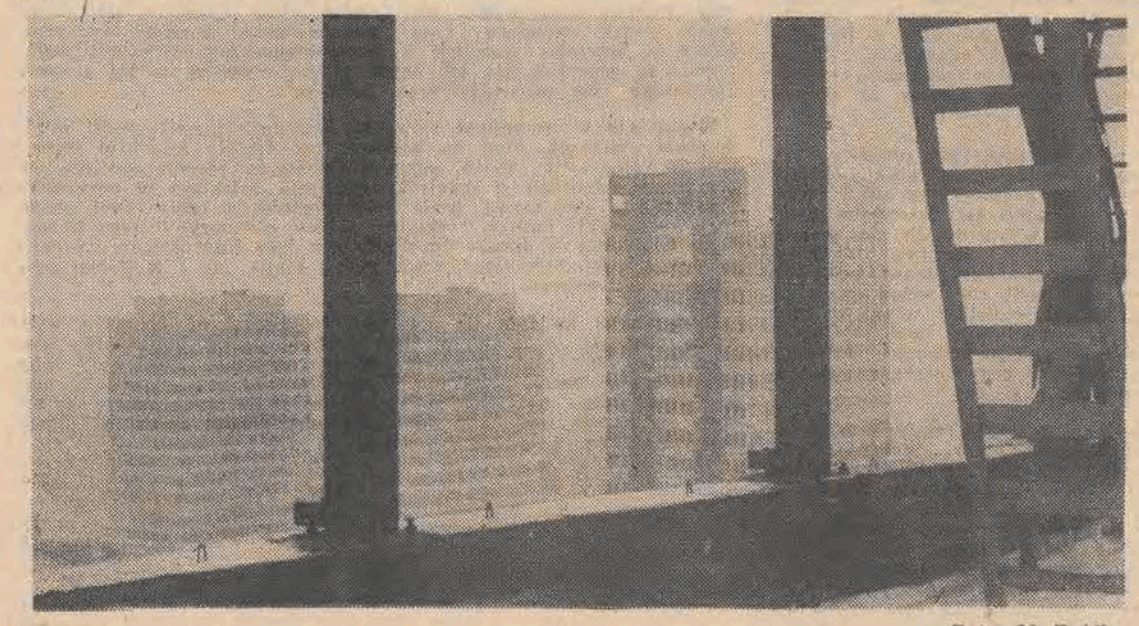

Foto: M. Zajdler

Zanim opustoszeją miasta

rozmowa z prof. dr LEO H. KLAASSENEM

W Uniwersytecie Łódzkim odbyła się niedawno uroczystość nadania tytułu doktora honoris causa prof. Leo H. Klaassenowi, prezydentowi holenderskiego Instytutu Ekonomicznego, profesorowi Uniwersytetu im. Erazma w Rotterdamie. Korzystając z kolejnego pobytu w Łodzi wybitnego naukowca, jednego z inicjatorów i mecenasów polsko-holenderskiej współpracy w dziedzinie ekonomii, poprosiliśmy o odpowiedź na kilka pytań.

— Składając gratulacje z okazji nadania Panu doktoratu honoris causa, prosimy o wypowiedź na temat dalszego rozwoju polsko-holenderskiej współpracy naukowej. Jakie są w Pana przekonaniu najbardziej interesujące tematy badawcze, nad którymi mogłyby wspólnie pracować zespoły złożone z pracowników UŁ i HIE.

— Czuję się zaszczycony faktem nadania mi przez UŁ tej najwyższej godności akademickiej, przy czym wyraźnie wiążę ten fakt z naszą współpracą trwającą już od wielu lat. Chciałbym również podkreślić, że naszym pragnieniem jest kontynuowanie jej w sposób bardziej intensywny, zwiększenie ilości wspólnych badań, rozszerzenie wymiany naukowców. Uważam, że powinniśmy koncentrować uwagę przede wszystkim na zagadnieniach aktualnych i przez to najważniejszych. Jeśli chodzi o problemy najbardziej interesujące stronę holenderską, to — mówiąc najogólniej — dotyczą one pewnej rewizji spojrzenia na teorie makroekonomiczne. Ekonomistów polskich natomiast, w moim przekonaniu, interesować mogą przede wszystkim problemy związane z reformą ekonomiczną, a zwłaszcza jej wdrożeniem w Polsce. Być może uda nam się wspólnie przeprowadzić jakieś opracowania badawcze, w tym trudnym zakresie. Jest to, jak sądzę, temat zbieżny z zamierzeniami waszego rządu, który szuka najlepszych dróg przejścia od jednego systemu ekonomicznego do systemu zmodyfikowanego.

— Ma Pan w swojej pracy do czynienia z ludźmi, którzy zawodowo parają się ekonomią lub — w przypadku studentów — mają taki zamiar. Jak ocenia Pan przeciętny zasób wiadomości z tej dziedziny? Czy między Polską a Holandią istnieją w tej mierze jakieś zasadnicze różnice?

— Jest to niełatwe i trochę podchwytliwe pytanie, bo przecież ja, jako profesor ekonomii, jestem za ten poziom odpowiedzialny. Jeśli poziom wiedzy ekonomicznej jest niedostateczny, to można byłoby wysnuć wniosek, że i nauczanie jest złe. Mówiąc poważnie, myślę, że nauczanie ekonomii w Holandii, a jak wiem, również i w Polsce, jest procesem edukacji prowadzonym na wysokim poziomie. Istnieje jednak tendencja, że idziemy zbyt daleko w kierunku nauczania technik, łącznie z komputerowymi, w czym tkwi wyraźne niebezpieczeństwo. Jeśli pewna część wykształconego ekonomicznie społeczeństwa uważa, że przy pomocy techniki komputerowej można rozwiązać wszystkie problemy, jest to podejście złe, przede wszystkim dla rozwoju teorii ekonomii i jej praktycznego zastosowania. Przy wielu okazjach stwierdzałem, że ten niekorzystny proces zaszedł już dość daleko, zwalniając niejako ludzi od obowiązku myślenia.

Mówiąc o lukach zarówno w nauczaniu, jak i w poziomie wiedzy ekonomicznej, wydaje mi się, że na ogół w Europie zwracamy zbyt małą uwagę na znajomość tzw. teorii przypadków. Być może przyczyna tkwi w tym, iż zbyt mocno wierzymy w znajomość teorii ekonomii, a nie przypatrujemy się bliżej temu, co aktualnie wydarza się lub przeobraża w światowej praktyce ekonomicznej. Świadczy o tym na przykład obserwowany od 1973 roku kryzys w ekonomice światowej, który przecież stanowił dla ekonomistów prawdziwe zaskoczenie. Powinniśmy być bardziej przygotowani na takie właśnie nieoczekiwane zdarzenia przede wszystkim na podstawie bardzo uważnej analizy zjawisk i zaszłości w głębi praktycznych zjawisk ekonomicznych, kształtujących się i narastających w czasie. Że nie jesteśmy dostatecznie przygotowani — świadczy fakt, że nie potrafimy skutecznie stawiać czoła np. kryzysom surowcowym.

Drugą ważną kwestią dla ekonomistów jest konieczność większej koncentracji nad społecznymi konsekwencjami wynikającymi z wprowadzania nowych technologii. Mówiliśmy już o komputerach, a wspomnijmy jeszcze o robotach. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co stanie się z ludźmi, gdy w przyszłości zostaną całkowicie wyłączeni z pracy. Problem ten trzeba rozpatrywać tak z technicznego, jak i społecznego oraz ekonomicznego punktu widzenia. I tu rodzi się nowy kierunek badań ekonomicznych, który nazwałbym interdyscyplinarnym.

— Jest Pan jednym z najlepszych w świecie specjalistów w dziedzinie procesów urbanizacyjnych. W wywiadzie dla „Polityki" omawiał Pan szeroko negatywne skutki zjawiska dezurbanizacji, występującego szeroko w krajach Europy Zachodniej. Czy nie sądzi Pan, że obecnie w Polsce, wobec ogromnego głodu mieszkaniowego i występujących nadal silnych tendencji do odpływu ludności ze wsi do miast jest to problem, którym na razie nie trzeba się zajmować?

— Przede wszystkim chciałbym przypomnieć, że rozwój miast przechodzi przez kilka etapów: urbanizacji, kiedy ludność masowo napływa do miast, następnie suburbanizacji, kiedy ludność przemieszcza się z centrów na przedmieścia (miasta jako takie jeszcze wówczas wzrastają i to nawet dosyć gwałtownie) wreszcie trzeci etap, wyraźnie już obserwowany na Zachodzie Europy, kiedy liczba mieszkańców aglomeracji wyraźnie maleje. I tu zaczyna się bardzo wiele problemów, związanych z tym procesem. Zamierają m. in. funkcje ekonomiczne takich miast. Również i w krajach wschodnioeuropejskich, gdzie miasta wkraczają dopiero lub wkroczą za lat kilka w etap dezurbanizacji, należy przeciwdziałać temu zjawisku. Doraźnie może ono nie być kłopotliwe, a zasami nawet pozornie pożądane, chociażby z przyczyn owego głodu mieszkaniowego. Jednak łatwiej przeciwdziałać dezurbanizacji, niż później podejmować działania zmierzające w kierunku ponownego zwiększenia liczby mieszkańców wyludnionych miast. Nie mogę więc zgodzić się z sugestią, że głód mieszkaniowy może przemawiać na korzyść dezurbanizacji, a samą myśl o reurbanizacji należy uznać w polskich warunkach za przedwczesną. Zresztą, jeśli chodzi o głód mieszkaniowy w polskich miastach, to chociaż istnieje on obiektywnie, jest jednocześnie w jakimś stopniu nienormalny. Wynika to, moim zdaniem, z bardzo niskiej ceny wynajęcia czy kupna mieszkania, nie stanowiącej żadnej granicy dla wzrostu popytu. Mogę się oczywiście mylić, ale sądzę, że brakuje w Polsce wyraźnego związku między kosztami budowy mieszkań a ich ceną, która jest nieproporcjonalnie niska.

— Cechą charakterystyczną wielu miast i dużych aglomeracji jest nadal wzrost liczby ich ludności. Czy nie sądzi Pan, że są jakieś granice tego wzrostu, poza które miasto nie powinno się rozrastać?

— Jest niezmiernie trudno ustalić do jakiej wielkości powinny rosnąć miasta. Zależy to przede wszystkim od realnych możliwości świadczenia różnorodnych i szeroko rozumianych usług. Jestem zdania, że uwzględniając optymalną funkcjonalność miast, względem swoich mieszkańców, minimalną ich wielkość powinna wyznaczać liczba od 200 do 500 tysięcy mieszkańców.

— A maksymalną?

— Tutaj jeszcze trudniej określić tę wielkość. W dalszym ciągu funkcjonują i rozwijają się takie giganty, jak przeszło 10-milionowe Tokio. Uważam jednak, że z różnych powodów tak wielkie miasta nie mają już szans nie tylko na dalszy rozwój, ale i na zapewnienie znośnej egzystencji ludziom. Są ponadto bardzo drogie w samoutrzymaniu się. Uważam, że górną granicę dla miast na świecie, a z całą pewnością w Europie, powinna wyznaczać liczba nie większa, niż jeden milion.

— Naukowcy potrafią odpowiedzieć na pytanie, jak budować miasto, aby w sposób pełny zaspokajało potrzeby swoich obywateli. Czy istnieją również jakieś zasady budowy kraju? Czy nie jest błędem zbyt duże grupowanie placówek naukowych, kulturalnych, a także nowoczesnych gałęzi przemysłu w stolicy kraju, co — jak widać na przykładzie polskim — prowadzi do regionalnych różnic, a nawet animozji między ludźmi.

— Chciałbym zauważyć, że atrakcja stolic jako miast jest zazwyczaj celowo tworzona przez rządy. Możemy tu znaleźć dużo przykładów z krajów rozwijających się, ale nie tylko. Obserwujemy dwie prawidłowości. Po pierwsze — tam, gdzie występuje zjawisko daleko posuniętej centralizacji rządowej, stolica w większym niż gdziekolwiek stopniu ma tendencje do bycia największym i najważniejszym miastem w kraju. Dla zobrazowania problemu porównajmy Francję i RFN. We Francji widać centralną pozycję Paryża, tędy prowadzą wszystkie główne drogi, tu przylatują samoloty z zagranicy. Chociaż okręgi rolnicze położone są z dala od Paryża, produkty rolne przywożone są najpierw do stolicy, a następnie rozdzielane na cały kraj. Jest to jaskrawy przykład kraju scentralizowanego. Drugi natomiast dotyczy RFN, którego cechą jest decentralizacja. Każdy z niewielkich landów posiada własną stolicę. Istnieje wiele miast równorzędnych, takich jak Monachium, Hamburg, Kolonia i inne, stanowiących zdecentralizowaną sieć. Niezależne są linie komunikacyjne i szlaki handlowe. Wyższość tego drugiego systemu polega na tym, że jest on korzystniejszy dla rozwoju równorzędnych miast, a także dla kraju jako całości. RFN stanowi, moim zdaniem, dowód na to, że w krajach europejskich, a również w rozwijających się regionach świata należałoby prowadzić zdecentralizowaną politykę populacyjną. Uważam również, że jeśli stolica jakiegoś kraju staje się bardzo nadrzędna w stosunku do innych miast jest to zjawisko negatywne w wielu płaszczyznach. Również i dlatego, że prowadzi do animozji między ludźmi, o których Pani wspomniała.

— I ostatnie pytanie: co sądzi Pan o Łodzi jako mieście?

— Centrum Łodzi posiada, w moim przekonaniu, bardzo piękne i ciekawe budynki oraz całe rejony archifektonicznie interesujące. Zaobserwowałem jednak, że mieszkańcy Łodzi nie są nimi zafascynowani ani dumni. Wynika to pewnie z tego, że budynki są często źle utrzymane i trochę brudne. Między stare i śliczne obiekty wbudowane są nie zawsze w sposób udany nowe bloki, liczące nie więcej niż 20 lat. I one, niestety, są już też zaniedbane. Razem czyni to wrażenie, że mogłoby być znacznie lepiej. I sądzę, że tak będzie, o czym przekonam się w czasie następnej wizyty w Łodzi.

— Dziękuję za rozmowę.

TERESA JERZYKOWSKA
Współpraca:
dr. ANDRZEJ BANASIAK

Dokończenie ze strony 1

Hobby naiwnych

ich uporowi mogę jeszcze jakoś jeździć mając pewność, że na którymś ze skrzyżowań silnik nie zgaśnie, nie zakrztusi się, nie zadławi.

O stacji z Pokładowej pisałem już nieraz. Bywało, że wyrażałem swoje niezadowolenie z jej pracy, bywało, że ją chwaliłem. Jak to w życiu. Ale mogę powiedzieć jedno: nigdy nie spotkałem się tam z arogancją, z niechęcią lub z nieuczciwością. Dziś, jak w całym kraju, również i tu odczuwa się skutki kryzysu. A mimo to, codziennie na długo przed godziną szóstą rano, ustawiają się w kolejkę samochody. Hobbiści przyjeżdżają po pomoc. Ludzka wiara jest niezłomna, wszyscy wierzą, że otrzymają tu pomoc, choć jej koszt będzie dość spory. Ustawiam się i ja, choć na dobrą sprawę moje szanse, aby obsłużyła mnie pierwsza zmiana, są nikłe. Na pytanie, kto ostatni? pokazują mi korpulentną panią, która mówi, że jest trzydziesta piąta.

Jest godzina 5.30. Czasu sporo. Podchodzę do grupki mężczyzn.

— *Cholery można dostać* — mówi niski, kędzierzawy mężczyzna. — *Całą Łódź objechałem i nigdzie nie ma łożysk do przednich kół. Już nie wiem co robić!*

— *Jak nigdzie nie ma, to i tu nie ma* — odpowiada inny filozoficznie. — *U mnie dzwoni łańcuch rozrządu i też nigdzie nie ma, nawet u prywaciarzy.*

— *Daj pan spokój z prywaciarzami! Kupiłem ostatnio w sklepie przy ul. Limanowskiego, tam, gdzie jest naprzeciwko przychodnia, śruby zabezpieczające przed kradzieżą kół. I co pan myśli? Zacząłem przykręcać, a tu trach! i śruba się ukruszyła. Patrz pan* — odwraca się i pokazuje na koło stojącego nie opodal „malucha" — *przyjechałem na trzech śrubach, żeby mi wyjęli odłamek.*

— *Pewnie za silnie pan dokręcał.*

— *Gdzie tam, nawet nie było wielkiego oporu.*

— *Partacze.*

— *Po prostu robią z miękkiego metalu.*

— *Ale cena jest twarda* — ktoś żartuje, bowiem okazuje się, że komplet takich śrub kosztuje 200 złotych.

— *Jakie jest wyjście? W stacjach „Polmozbytu" nie ma części, więc się kupuje co jest.*

Rozmawiamy sobie przyjemnie dla zabicia czasu, choć każdy z nas modli się w duchu, żeby akurat, kiedy już dojdzie do przyjęcia jego samochodu znalazła się w magazynie potrzebna część.

O 6 zaczyna się przyjmowanie zgłoszeń. W sumie do napraw poważniejszych przyjęto 15 samochodów, resztę, około 40 — skierowano pod boksy tzw. napraw szybkich. A więc zmieściłem się, nie muszę przyjeżdżać po południu.

Najciemniejsze pomieszczenie w budynku administracyjnym zajmuje kierownik stacji obsługi. Wytarte foteliki, gołe ściany. Biednie. Pytam kierownika *WIELISŁAWA SZCZEPANIAKA*, jak to jest z tą ich obniżką cen za usługi.

— *Obniżka cen nie obejmuje kosztów materiałów, ani nie dotyczy usług gwarancyjnych, opłacanych przez PZU, jak też nie odnosi się do przedsiębiorstw państwowych.*

— Może kilka przykładów, które zilustrują tę decyzję.

— *Proszę bardzo: naprawa układu hamulcowego hydraulicznego wynosiła 1.550 zł, dziś już 1.240 zł, naprawa układu kierowniczego kompletna plus pomiar i ustawienie zbieżności i kąta pochylenia kół wynosiła 795 zł, teraz 526 zł, naprawa całkowita gaźnika dawniej kosztowała 390 zł, teraz 312 zł.*

— Jak obniżka cen wpłynęła na waszych klientów?

— *Jest ich coraz więcej. Wynika to z faktu, że ceny usług zostały obniżone o 10 proc., a o 20 proc. ceny usług związanych z przygotowaniem pojazdu do użytkowania jesienią i w zimie oraz mających zdecydowany wpływ na bezpieczeństwo jazdy. Są to następujące usługi: układ zasilania, układ kierowniczy, koła samochodu, układ hamulcowy kompletny oraz układ zapłonowy.*

— Mimo to odnoszę takie wrażenie, że „Polmozbyt" usiłuje sprzedawać taniej coś, czego sam nie posiada. Co z tego, że obniżyliście np. usługi dotyczące kół samochodu, jeśli nie macie do nich łożysk?

— *Części zamienne zawsze stanowiły piętę achillesową naszego przedsiębiorstwa. Zawsze ich brakowało. Kiedyś na naszym placu stały dziesiątki nadwozi do „maluchów" i mogliśmy w ciągu kilku dni dokonać tak zwanej „przesypki", czyli wymienić zniszczoną karoserię na nową. Dziś jest to niemożliwe, na nadwozie czeka się prawie rok, są kolejki. A już katastrofalnie przedstawia się sprawa z obręczami kół czyli tzw. felgami do „maluchów" starego typu. W tym roku jeszcze ich u nas nie było. Nie ma także wspomnianych przez pana łożysk, minimalne są dostawy łańcuszków rozrządu końcówek układu kierowniczego, resorów, sprężyn tylnego zawieszenia, szyb opuszczanych drzwi bocznych itp. Niestety, nie mamy na to żadnego wpływu, części nie produkujemy.*

— Czyli całkowita katastrofa?

— *Nie powiedziałbym tego, bowiem w stosunku do ubiegłego roku, a nawet do I półrocza br., nastąpiła wyraźna poprawa. Coraz więcej przychodzi części, coraz rzadziej odpowiadamy klientom, że czegoś nie ma. Jestem optymistą i wierzę, że wraz z normowaniem się sytuacji w kraju, unormuje się sprawa brakujących części.*

— Jestem waszym starym klientem i od lat obserwuję, że ludzie pracujący na stanowiskach roboczych jakoś się nie zmieniają...

— *Ludzi trzeba wychować. Ci, co się nie sprawdzili, musieli odejść lub zostali przez przedsiębiorstwo zwolnieni. Nie tolerujemy obiboków, nieuków i ludzi nieuczciwych. Dlatego na naszej stacji nie zdarza się, by klientowi zginęło cokolwiek z samochodu, albo oddano samochód bez uprzedniego sprawdzenia czy wykonana czynność została zrobiona dobrze. Mamy sporo osób zasługujących na wyróżnienie. Ot choćby starszy mistrz MARIAN SANDOMIERSKI, brygadzista WŁADYSŁAW CZERWIŃSKI, który pracuje tu od początku, czyli już 17 lat, brygadzista LESZEK URBAŃSKI, mechanik JERZY KOMOROWSKI, mechanik MIROSŁAW WOJTYSIAK, elektryk HENRYK BEBEL, inspektor KRZYSZTOF BIERNATH...*

Poczekałem na zakończenie zmiany. Usterkę w moim fiacie usunięto na stanowisku szybkiej obsługi, toteż nie wchodząc na teren zakładu mogłem poczekać na niektórych z pracowników wymienionych przez kierownika stacji, by zadać im kilka pytań.

MARIAN SANDOMIERSKI — starszy mistrz: — *Dzisiejszy dzień nie był ani gorszy, ani lepszy. Zrobiliśmy wszystko, co zaplanowaliśmy.*

— To znaczy 15 samochodów z naprawami poważnymi i 40 na obsłudze szybkiej?

— *Nie tylko, bo poza wszelką kolejnością są u nas przyjmowani inwalidzi, a także samochody z innych województw będące w drodze. Dodajmy do tego samochody z niesprawnym układem hamulcowym i kierowniczym, a okaże się, że jest tego sporo.*

— A co z częściami?

— *W zasadzie do tych dwóch układów są, i klienci nie muszą odjeżdżać z przysłowiowym kwitkiem. Ale ostatnio obserwujemy niepokojące zjawisko: trafiają do nas samochody po remontach w zakładach prywatnych.*

— A co w tym dziwnego, że ludzie korzystają z ich usług?

— *Prywatne zakłady montują części nie odpowiadające normom technicznym. Na przykład: dziś przyjechał do nas klient małym fiatem z niesprawnym układem hamulcowym. Mówi, że wczoraj był w prywatnym warsztacie, zmieniono tam szczęki hamulcowe, a dziś, po przejechaniu kilku kilometrów, stwierdził, że coś jest nie w porządku, że samochód ściąga, koło się nagrzewa itp. Wzięliśmy wóz do warsztatu. Po demontażu kół okazało się, że miał zamontowane szczęki hamulcowe w sposób skandaliczny: nie dość, że wykładzina była nitowana, to na dodatek popękana i praktycznie nie było hamowania. Natomiast zamiast podkładek ciernych samoregulatora, które wykonane są ze specjalnego stopu o odpowiedniej chropowatości, zamontowano zwykłe metalowe podkładki. Że ten człowiek się nie zabił i dojechał do nas, to istny cud.*

— Czy nie sądzi pan, że gdyby w stacjach „Polmozbytu" było pod dostatkiem części zamiennych, to ludzie nie korzystaliby z warsztatów prywatnych?

— *To nie wynika z braku części. Sprawa wygląda w większości tak: ktoś jedzie na przegląd i tam stwierdzają niesprawność jakiegoś układu. Co wtedy robi? Ano zajeżdża do najbliższego warsztatu, byle szybciej usunąć uszkodzenie. No i mamy takie kwiatki, jak ten, o którym opowiedziałem. Jakże często ci z prywatnych warsztatów w układzie kierowniczym zamiast samokontrujących nakrętek, zakładają zwykłe, które nic nie dają, a mogą przyczynić się do wypadku. Ludzie nie zdają sobie sprawy, czym grozi takie niedbalstwo. Dziwię się mechanikom z warsztatów prywatnych, że dopuszczają się podobnych kombinacji. Każda taka niesumienność może skończyć się śmiercią.*

— Czy tylko takie ma pan kłopoty?

— *Kłopotów nie ma ten, kto nic nie robi. Proszę sobie wyobrazić, że przyjeżdża klient i mówi, że jeden z biegów nie wchodzi. Przyjmujemy samochód, demontujemy skrzynię biegów i okazuje się, że nie tylko uległ uszkodzeniu tryb, powiedzmy, biegu czwartego, ale są zniszczone inne elementy skrzyni. A my akurat nie mamy ich w zapasie. Co wtedy? Ano zaczyna się kołomyjka: trzeba samochód złożyć ponownie, odstawić na plac, wypisać zamówienie na części i czekać. A to przecież strata czasu i dla nas, i dla klienta.*

— Czyli ponownie wracamy do części...

— *Z częściami jest coraz lepiej, choć nie tak dobrze, jakbyśmy tego pragnęli. Jeszcze w sierpniu nie było u nas szczęk hamulcowych — a w ogóle nie było ich od roku — teraz są. Podobnie jest z cylinderkami hamulcowymi.*

— Proszę pana, czy ma pan jakieś marzenia?

— *Oczywiście. Chciałbym, żeby przed naszą stacją wisiał ogromny napis: „Klient nasz pan". A na każde pytanie o części, o naprawę, o zabezpieczenie samochodu moglibyśmy odpowiadać jedynie twierdząco.*

WŁADYSŁAW CZERWIŃSKI — brygadzista: — *Na pracę nie narzekam, mam jej pod dostatkiem. Odkąd tu pracuję, a przecież to już 17 lat, zawsze była robota, zawsze były jakieś trudności, z częściami i narzędziami.*

— Koszt waszych usług uległ obniżeniu, czy uległy obniżeniu wasze zarobki?

— *Osobiście nie straciłem na wprowadzeniu bonifikaty.*

— Jest pan długoletnim pracownikiem tej stacji, zawsze na tym samym stanowisku, powiedziałbym na tym samym kanale. Przez te lata poznał pan ludzi, wielu młodych pan wychował. Co pan może o nich powiedzieć?

— *W naszym zawodzie ludzie sprawdzają się bardzo szybko. To nie jest zawód wdzięczny ani czysty. I nie jest lekki. Pozostają w nim ci najwytrwalsi, najtwardsi, najlepsi. I dlatego u nas nie pracują obcy sobie ludzie, ale koledzy. Ale na to musieliśmy sobie zapracować, przez lata dokonywana była selekcja. Ja muszę mieć pewność, że jeśli będę potrzebował jakiejkolwiek pomocy, to natychmiast ją otrzymam. I sam jestem gotów nieść takową każdemu.*

— Skoro wszystko jest tak dobrze, to skąd się biorą reklamacje i pretensje, że zrobiliście coś nie tak jak trzeba?

— *Jeśli są reklamacje, to zapewniam, że powstają one nie z naszej winy. Zazwyczaj przyczyna leży w częściach, które nie zawsze są dobre lub dokładnie wykonane. Oczywiście klient zwala winę na nas.*

O godzinie 14 na stanowiska robocze wchodzi druga zmiana. Przed stacją samochodów nie ubyło, coraz to podjeżdżają kolejne. Niektóre są pchane, jeszcze inne przyciągane na holu. Panuje spora nerwówka. Są wymieniane uwagi dotyczące cen, braku części, kłopotów z olejem. Hobbiści z powagą skrupulatnie obliczają pieniądze, wyciągają zaskórniaki. Motoryzacja to droga zabawa. Jeśli ktoś zdecydował się na posiadanie samochodu, musi liczyć się z kosztami.

— *Chciałem kupić synowi powiększalnik* — mówi kolejarz. — *Odkładałem cały rok, a teraz.* Nie kończy, wskazuje ręką na „malucha" z wgniecionymi drzwiami. — *Nie wiecie państwo, ile to będzie kosztować?*

Ot zwykły dzień naiwnych hobbistów.

Foto: M. Zajdler

EUGENIUSZ IWANICKI ■

Świat, w którym żyjemy

W cyklu „Świat, w którym żyjemy" publikujemy fragmenty wywiadu Josipa Broz-Tito dla „Vjesnika". Związek Komunistów Jugosławii borykał się wówczas z wieloma trudnościami prowadził też walkę o jedność partii i pozyskanie mas dla swej polityki. Uwagi, jakimi wówczas Josip Broz-Tito dzielił się z czytelnikami „Vjesnika" wydają się nam na tyle interesujące, że warto z nimi zapoznać polskiego czytelnika.

W cyklu „Świat, w którym żyjemy", zamierzamy publikować materiały poświęcone sprawom polityki międzynarodowej, ruchów społecznych i politycznych na świecie, a także historii różnych państw. Mamy nadzieję, że publikacje te znajdą uznanie młodych czytelników, uczniów klas starszych i studentów, nauczycieli, że przyczynią się do pogłębienia wiedzy o współczesnym świecie, w którym żyjemy i działamy, że pozwolą lepiej i głębiej zrozumieć ogólne uwarunkowania naszej współczesności.

Walka klasowa, jedność, demokracja, samorząd, a także walka z biurokracją i nacjonalizmem

— OTO PROBLEMY, O KTÓRYCH W PAŹDZIERNIKU 1972 ROKU DARA JANEKOVIC, REDAKTOR „VJESNIKA" ROZMAWIAŁA Z JOSIPEM BROZ-TITO

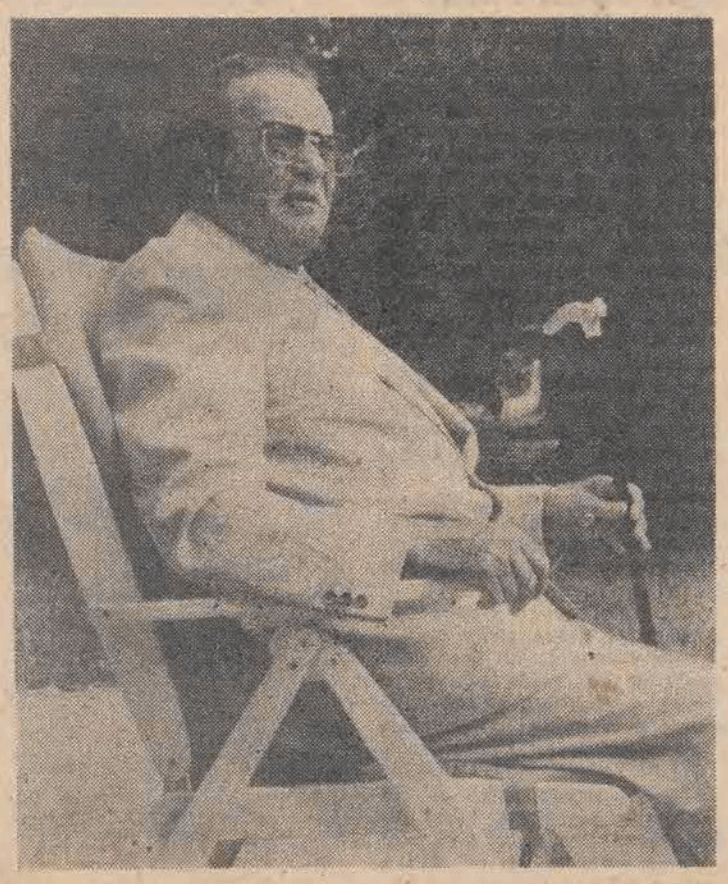

— W jaki sposób Związek Komunistów mógłby jak najprędzej umocnić swoje szeregi i przygotować się do trudnej bitwy, jaka go czeka i która właściwie już trwa? Bo przecież i tym razem Związek Komunistów występuje w roli inicjatora.

— Przede wszystkim musimy się odpowiednio zorganizować. Musimy doprowadzić do końca reorganizację Związku Komunistów. W tym kierunku zrobiliśmy już sporo. Sprawy zaczęły iść względnie dobrym torem. Ale kiedy chodzi o kwestie organizacyjne, nie chciałbym się teraz zagłębiać w tłumaczenia, po co zdecydowaliśmy się na mniejsze organizacje partyjne zamiast wielkich i masowych, które były dawniej. To są rzeczy znane i wiele razy mówiłem już, dlaczego zachodzi taka potrzeba. Natomiast co do Związku Komunistów — żeby mógł on funkcjonować jak trzeba, musi w nim istnieć jedność myśli i czynów.

Na czym polega istota jedności myśli i czynów? Nie jest to żaden powrót do przeszłości, ku koncepcjom stalinowskim, czy sam już nie wiem jakim. To zupełnie coś innego, coś, czego koniecznie wymaga obecna sytuacja na skutek podejmowanych z różnych stron prób utrudnienia naszego socjalistycznego rozwoju. Trzeba, żeby komuniści byli jednolici. Nie znaczy, że muszą oni komenderować, ale że na podstawie trafnie ocenianej sytuacji będą podejmować decyzje, które staną się wiążące po zaakceptowaniu przez większość. Wtedy obowiązują każdego. W tym leży sedno centralizmu demokratycznego i to właśnie jest absolutnie konieczne w takiej organizacji jak Związek Komunistów.

Jeżeli więc pragniemy jak najprędzej pokonać trudności w naszym Związku Komunistów — nie kryzys, bo sytuacja w partii jest już znacznie lepsza niż poprzednio — musimy wiele pracować, z większą energią i uporem. Są jednak w niektórych republikach określone środowiska, które błędnie pojmują centralizm demokratyczny i które stawiają opór. Nie mam zamiaru wracać do tego, co było u nas dawniej, gdy członkowie partii wtrącali się na przykład, do kierowania fabryką, podejmując różne decyzje w sprawach technologii itd. To do nas nie należy, ale prawidłowy rozwój stosunków w zakładzie nie może nas nie obchodzić.

— W Związku Komunistów jest, towarzyszu Tito, wielu członków, którzy nie mają w gruncie rzeczy nic wspólnego z partią i jej programem, którzy jednym słowem w ogóle nie powinni być w ZKJ. Przeciwko temu nie podejmuje się prawie żadnych kroków. Jak zatem ZKJ może stanowić partię awangardową?

— To właśnie stale podkreślam. Potrzebna nam jest partia awangardowa. A to znaczy, że nie mogą w niej być ci, których absolutnie nic nie wiąże z socjalizmem, z komunizmem, ci, którzy zapisali się do partii dla kariery i którzy utrudniają rozwój nie tylko życia partyjnego, ale w ogóle wszelki postęp społeczny. Musimy więc oczyścić naszą partię. Mówiłem już o tym wiele. Gdziekolwiek wygłosiłbym jakieś przemówienie, po upływie pewnego czasu dostaję listy od robotników. Na przykład takie: „Towarzyszu Tito! Mówisz nam, że trzeba tak i tak zrobić, to i to zmienić, ale cię nie słuchają. O co tu chodzi? Kto nie chce tego słuchać? Powiedz nam, a pomożemy ci we wszystkim". (...)

Nasze życie partyjne doszło do takiego punktu, kiedy nie można już tylko mówić, kiedy należy przejść do czynów. Ja już mówiłem dosyć. Musimy podjąć w partii najostrzejsze kroki przeciwko tym wszystkim, którzy nie realizują uchwał, którzy nie są komunistami, którzy przyszli do partii dla kariery i zachowują się niekomunistycznie, niesocjalistycznie. W naszym związku jest niestety sporo ludzi wzbogacających się kosztem cudzej pracy. (...)

— Kiedy po VI Kongresie partia została osłabiona — co zresztą wykazało samo życie — jakie popełniono przedtem błędy, co wymknęło nam się z rąk, utrudniając później sytuację i co właśnie dziś wymaga korekty i energicznego przeciwdziałania?

— Widzicie, to było tak: już w przededniu VI Kongresu, a zwłaszcza po zakończeniu jego obrad, zapanowała jakaś euforia totalnej demokratyzacji. Doszło do tego, że we wszystkich ważnych dziedzinach rola partii została ograniczona. Pozostawiono jej tylko zadanie rzucania nad orientacja ideologiczną. Oczywiście partia spełnia i tę rolę, ale to jeszcze nie wystarczy. W swoich szeregach musi ona mieć takich członków i taką dyscyplinę, aby nadawać masom właściwy kierunek ideowy, a wrogowi klasowemu uniemożliwić zdobycie takich pozycji, jakie — w różnej formie — pozyskał on dzisiaj w naszym kraju.

Naturalnie zawsze byliśmy i zawsze będziemy rzecznikami rozwijania demokracji. Ale na czym polega istota tego pojęcia, istota demokracji? Nie możemy dopuścić, żeby wykorzystywał je każdy, nawet nasz wróg klasowy, nasz przeciwnik. Nie możemy. Dla takich demokracji nie ma. Pamiętajmy, że walka wyzwoleńcza miała w Jugosławii jednocześnie charakter klasowy, że to była także zbrojna walka klasowa. (...)

Nasze zmagania były bardzo ciężkie i po wojnie nie stroniliśmy od najbardziej drastycznych metod eliminacji wroga klasowego. Kiedy opór osłabł, to i my złagodnieliśmy. Nie dość, że opróżniliśmy więzienia, ale jeszcze całkiem zapomnieliśmy, kto w nich przebywał. Ci zaś później się rozpanoszyli, wykorzystując naszą demokrację.

Byliśmy za mało czujni. Czasem ostrzegaliśmy. Sam osobiście tak robiłem, a niektórzy dziwili się: „Naprawdę sądzisz, że mamy jeszcze u siebie wrogów klasowych?" Odpowiadałem, że podczas wojny nie ukróciliśmy wszystkiego; wielu przeżyło i długo nas będzie kosztować brak czujności, jeżeli nie przeszkodzimy im w działaniu metodami administracyjnymi oraz w inny sposób. Naród musi wiedzieć, na czym polega podstępna działalność wrogów klasowych. Bo zaszyli się oni w rozmaitych środowiskach, a rekrutują się spośród wszystkich przeciwników socjalizmu, a także spośród tych, którzy chcą się wzbogacić kosztem cudzej pracy. (...)

Tak więc zbytnio rozszerzyliśmy demokrację, zanim zdążyliśmy oczyścić przed nią drogę. Określone siły bardzo sprytnie to wykorzystały i one to właśnie teraz rozpanoszyły się przeciwko nam, podnosząc krzyk, że jesteśmy wrogami demokracji. Dowiedliśmy tego, i to jeszcze jak dowiedliśmy. Czyż trzeba lepszego dowodu niż to, co stanowi największą zdobycz naszej klasy robotniczej, niż samorząd? Przecież w myśl wszelkich zasad nauki Marksa i Lenina samorząd jest najbardziej demokratyczną i najwłaściwszą drogą rozwoju. Jest to zdobycz olbrzymia. (...)

Musimy mieć Związek Komunistów nie tylko zwarty, ale i dostatecznie przygotowany teoretycznie i praktycznie, przynajmniej jeśli chodzi o jego główny trzon, aby zawczasu ukrócić różne machinacje wszelkich przeciwników interesu klasy robotniczej w naszym społeczeństwie, aby dać odprawę każdemu, komu nie podoba się umocnienie jej supremacji. A jest takich niemało i czeka nas teraz ostra batalia.

Tę walkę właściwie już rozpoczęliśmy i nikomu nie damy sobie przeszkodzić. Trzeba absolutnie wykorzenić przeróżne liberalizmy i narzekania. To są rzeczy bardzo szkodliwe i musimy być bez litości. Nie oznacza to cofania się, ale przeciwnie — krok naprzód na właściwej drodze rozwoju, jakiego żąda nasz naród. Czy szerokie masy okazałyby nam tyle zaufania, ile okazują go na co dzień, gdyby racja nie była po naszej stronie? Nie pragniemy rządów silnej ręki, lecz chcemy mocno stać na pozycjach klasy robotniczej zgodnie z awangardową rolą komunistów. (...)

— Elementy technokratyczno-biurokratyczne są w rozmaity sposób ściśle powiązane z wrogiem klasowym...

— Wszyscy oni są ze sobą związani i reprezentują te same pozycje. Ten, co nagromadził miliony, wyśmiewa się, kiedy ja twierdzę, że są w Jugosławii miliarderzy. A wcale niemało jest takich, którzy wzbogacili się na różnych machinacjach nie tylko w kraju, ale i spekulując za granicą. Wszystko kosztem naszej klasy robotniczej.

Za daleko jednak byśmy odeszli, gdyby się w ten temat zagłębiać. Wiem też, że niektórzy spośród naszych ekonomistów, uczciwi komuniści, potrafią bardzo szybko wyliczyć, ile nas kosztuje na przykład jedna czy druga fabryka więcej niż trzeba, powstająca dzięki różnym osobistym prowizjom i nadużyciom. Dlatego to wielu wolało po wyposażenie jeździć na Zachód niż na Wschód. A to, co dostawali, zostawiali sobie w tamtejszych bankach. Kto dzisiaj jest w stanie powiedzieć, ile różne osoby prywatne mają na „czarnym koncie"? Nikt tego nie wie...

— Towarzyszu Tito, jakie kroki zostaną podjęte wobec tych członków partii, którzy posiadają wielki majątek, a są w Związku Komunistów także ludzie bardzo bogaci?

— Trzeba zbadać, co to znaczy być bogatym, czyim kosztem ktoś doszedł do majątku i gdzie są tego granice. Jeśli ktoś ma kilka milionów starych dinarów, to nie jest żadne bogactwo, oczywiście pod warunkiem, że doszedł do nich własną pracą, a nie cudzym kosztem. W pierwszym rzędzie trzeba sprawdzić pochodzenie tego, co ktoś ma, zbadać, skąd to wziął. Jeżeli, na przykład, sprzedał on na wsi swoją ziemię — a własność prywatna u nas wciąż jest uznawana — to pieniądze te mu się przecież należą, to jest jego scheda. Ale nie wolno pozwolić na spekulacje, na pośrednictwo ziemią, nieraz przy czterokrotnych zyskach. Potrzebna jest dobra kontrola, żeby to się nie zdarzało. (...)

— Naród domaga się czynów, ale wiele ważnych stanowisk w społeczeństwie zajmują osoby, w których interesie nie leżą takie akcje. Godzą one bowiem w nich samych. Jak rozegrać tę bitwę?

— Czy istnieje u nas opinia publiczna? Istnieje. Ale trzeba ją poruszyć, zmobilizować i w ten sposób uniemożliwić wrogą robotę. O tym komuniści muszą pamiętać. Naród doskonale odczuwa te sprawy — widzi je i odczuwa. Niech komuniści dadzą więcej posłuchu tym odczuciom. Nie ma żadnej wątpliwości, że olbrzymia większość ludzi jest uczciwa, ale trzeba im pokazać, jak się walczy z takimi zjawiskami. (...)

Nie musimy mieć w Związku Komunistów miliona członków. Może być ich też o kilkaset tysięcy mniej. Nie sądzę zresztą, żeby aż tyle trzeba było usuwać. Olbrzymia większość jest uczciwa. Tych nieuczciwych, dla których nie ma miejsca w Związku Komunistów, trzeba się pozbyć. Zadanie to spoczywa przede wszystkim na organizacjach podstawowych, gdzie wszyscy dobrze się znają i gdzie każdy wie, co kto posiada i co jest wart.

— Ktoś jednak musiałby ustalić granicę pomiędzy uzasadnionymi różnicami socjalnymi; gdzie ta granica przebiega, jaka powinna być rozpiętość najniższych i najwyższych dochodów?

— Tutaj musi wkroczyć państwo. Musi ono interweniować w przypadku jaskrawego przekroczenia granicy. Tak się robi nawet w krajach kapitalistycznych.

— Towarzyszu Tito, na wybrzeżu Adriatyku stoi kilkadziesiąt tysięcy „domków weekendowych". Są wśród nich oczywiście i małe domki, budowane przez ludzi, którzy zaciągnęli kredyt lub oszczędzali z pensji, żeby sobie postawić mały dom jednorodzinny. Ale jest także mnóstwo ogromnych willi; bywa tak, że ktoś posiada dom w Zagrzebiu, Belgradzie lub gdzie indziej, a oprócz tego nad morzem i — jak sami mówiliście na Kozarze — mają jeszcze poza tym dwa, trzy samochody, ślizgacz i tak dalej. Czy to wszystko można mieć z pracy własnych rąk?

— Należy przede wszystkim dokładnie sprawdzić, co kto ma, i dopiero wtedy, jeśli zajdzie potrzeba, podjąć odpowiednie środki. Dla przykładu: ktoś mający własny dom, gdzie można mieszkać, nie powinien mieć mieszkania państwowego. To jedna rzecz. A po drugie, jeśli ma willę i wynajmuje ją dla zarobku, na to mu też nie można pozwolić.

— Jest jednak, towarzyszu Tito, inna sprawa. Z chwilą wprowadzenia obostrzeń, gdy tylko ci, przeciwko którym te obostrzenia są skierowane, poczuje, że coś zaczyna się zmieniać, że działa się energicznie, natychmiast szermują hasłami o polowaniu na czarownice, cofaniu się do minionego okresu i podobnymi.

— Nasz naród doskonale rozumie, co znaczą takie hasełka i czyj interes za nimi się kryje. (...)

— Prosiłabym teraz, abyście nam, towarzyszu Tito, zechcieli szerzej omówić temat jedności w Związku Komunistów. Pozwolę sobie przypomnieć, że w ostatnim czasie prasa obca i w ogóle zagraniczna sporo mówią o braku jedności w ZKJ. Łączy się to oczywiście ze wszystkim, co już mówiliśmy. Czy jednak pragnęlibyście coś dodać?

— W bazie Związku Komunistów jedność istnieje. Jestem o tym głęboko przekonany. Niejednomyślność pojawia się w określonych środowiskach, na określonych szczeblach partyjnych. Nie przybiera ona wszakże poważniejszych rozmiarów i sytuacja poprawia się. W tej chwili walczymy o to, by osiągnąć jedność we wszystkich instancjach. Niektóre nasze kierownictwa pracowały nie po partyjnemu. Są tacy, którzy chcieliby tak dalej robić: zbiorą się we dwóch—trzech czy iluś tam, a postępują, jak gdyby nie było Komitetu Centralnego, ani organizacji, ani w ogóle członków. Po prostu narzucają swoje stanowisko.

— Zachowują się niczym władza...

— Władza w ręku kilku ludzi. A wokół siebie czują oni życzliwość pewnych wrogich elementów — w partii i poza nią — które opanowały różne pozycje społeczne, na uniwersytetach i gdzie indziej. I z wielkim hałasem popierają grupę, która jest przy władzy.

— Bardzo często, od samego końca wojny, podkreślaliście, towarzyszu Tito, niebezpieczeństwo wynaturzenia biurokracji. Pozwólcie, że przypomnę Wasze słowa wypowiedziane podczas obchodów czterdziestolecia rewolucyjnej walki Komunistycznej Partii Jugosławii. Mówiliście wtedy: „Przewidywania Marksa, Engelsa i Lenina, iż rewolucji socjalistycznej grozi niebezpieczeństwo nie tylko restauracji kapitalizmu, ale również biurokratycznego wynaturzenia, potwierdziły się w naszej praktyce społecznej". **Tak powiedzieliście z okazji jubileuszu czterdziestej rocznicy powstania KPJ. Jak wielkie, towarzyszu Tito, jest to niebezpieczeństwo teraz, na obecnym etapie naszego rozwoju, i w jakich środowiskach społecznych biurokratyzm znalazł najmocniejszą ostoję?**

— Na kluczowych stanowiskach, to znaczy tam, gdzie zapadają decyzje o środkach materialnych i finansowych i gdzie rozstrzyga się o wykorzystaniu owoców cudzej pracy. Tutaj trzeba szukać tych sił. Ale nie są one tak liczne, ani tak potężne, żebyśmy nie mogli z nimi skończyć. Bo skończyć z nimi musimy. Są jednak w partii ludzie, którzy się temu sprzeciwiają. Z tymi ludźmi, uniemożliwiającymi rozbicie elementów biurokratycznych, musimy sobie poradzić najpierw. Albo precz z partii — albo w całej rozciągłości poddać się uchwałom i polityce Związku Komunistów.

— Ktoś jednak musi dać sygnał do rozwiązania tych wszystkich problemów...

— Partia oczywiście. Nikt inny tego nie zrobi. (...)

— O ile mogłam wywnioskować, powiedzieliście towarzyszu Tito, iż Związek Komunistów winien być spoiwem łączącym w jedno wielonarodową Jugosławię?

— W każdej republice jugosłowiańskiej żyje po kilka narodowości — tylko Słowenia jest jednonarodowa. I każda z nich również pod tym względem ma swoją specyfikę. Partia musi być siłą, która republiki cementuje od wewnątrz, ale musi także współtworzyć monolityczną zwartość naszej socjalistycznej Jugosławii.

— Towarzyszu Tito, jak objaśnić zjawisko nacjonalizmu? Jakie siły stoją u jego podłoża?

— Niejeden raz, szczególnie w ostatnim czasie, podkreślałem klasowe podłoże nacjonalizmu, zwracając uwagę, że mamy tu do czynienia z wrogiem klasowym. Nacjonalizm i socjalizm nie mogą iść w parze. Są to dwie wykluczające się koncepcje. Nacjonalizm swoimi korzeniami głęboko sięga epoki burżuazyjnej, pokonanego ustroju kapitalistycznego, gdzie królowała własność prywatna. Przeciwstawia się on socjalizmowi, w którym własność prywatna nie może przybierać pozycji dominującej. Rozmaite nacjonalistyczne hasła, skargi na tak zwany ucisk narodowy, wyzysk, itd., stanowią świetną pożywkę dla knowań wroga klasowego. W istocie bowiem chodzi tu o walkę klasową, czego oni, rzecz jasna, nie chcą przyznać. Mamy więc do czynienia z wrogiem klasowym, którego trzeba pokonać.

W związku z tym chciałbym tu dodać rzecz następującą. Do tej pory mówiłem o nacjonalizmie i jego negatywnych, antysocjalistycznych i klasowych aspektach. Nie wspominałem natomiast o pozytywnym dorobku narodowym, który powinien stanowić wkład do naszego dalszego rozwoju społecznego i kulturalnego. Musimy zmierzać do zespolenia również na polu kultury poprzez wzajemną ścisłą współpracę i pomoc, a nie oddzielać od siebie naszego narodu. Widzimy potrzebę tego, by kultura — tak w Serbii, jak i w Chorwacji oraz w innych republikach — rozwijała się możliwie równomiernie. Akceptujemy pozytywne dziedzictwo przeszłości, odrzucając to, co złe. Ale źle jest, jeżeli stale powraca się do przeszłości. Musimy spoglądać przed siebie, a nie bez ustanku gloryfikować dawne czasy. Historię wielokrotnie ukazywano w krzywym zwierciadle, musimy więc ożywić w niej to, co ma rzeczywiście największą wartość, co świat uznał za pozytywne zarówno w kulturze, jak i w dziejach naszych narodów. Niechaj narody jugosłowiańskie rozwijają swe współżycie ze wzrokiem utkwionym w przód, a nie wstecz. (...)

Ani jedna z republik jugosłowiańskich nie ma szans samodzielnego przetrwania. Natychmiast padłaby ofiarą któregoś z nieustannie czyhających wrogów. Tak było również w okresie owej euforii nacjonalistycznej, której echa do dziś pobrzmiewają w pewnych środowiskach. Wpływy zewnętrzne są tutaj niezwykle silne. Za granicą przebywa dość mocna i o licznych powiązaniach wroga emigracja, która ongiś stała po stronie faszyzmu i okupanta. Jej macki sięgnęły także niektórych przedstawicieli naszej młodzieży, a poparcie czerpie ona od pewnych kręgów w

krajach zachodnich. Stamtąd płyną pieniądze na akcje przeciwko Jugosławii. (...)

— W wielu środowiskach, towarzyszu Tito, toczy się ostra walka o umocnienie samorządu.

— Ale bez większej roli komunistów nie można umocnić samorządu. Jest to nasz obowiązek, taki jak zadania na froncie podczas wojny.

— Pozwólcie jednak, towarzyszu Tito, że przypomnę pewien Wasz cytat, który wydaje mi się bardzo ważny, a mianowicie to, co powiedzieliście przy pewnej okazji na temat trudności subiektywnych i obiektywnych, przemawiając jeszcze w maju 19[illegible] roku w Splicie, a Wasze ówczesne słowa wspomina się do dzisiaj. Powiedzieliście tak:

„Obiektywne trudności, braki, z którymi się stykamy, to przede wszystkim rezultat subiektywnych błędów popełnianych przez ludzi na stanowiskach kierowniczych oraz w ogóle przez komunistów".

— Chciałabym Was prosić, abyście powiedzieli, co myślicie o tym dzisiaj, i przy okazji nieco dokładniej scharakteryzowali sylwetkę prawdziwego komunisty.

— Ilekroć mowa jest o trudnościach, powtarzam, że dzielą się one na obiektywne i subiektywne. Jeżeli jednak chodzi o Związek Komunistów, w grę wchodzą wyłącznie czynniki subiektywne i nie może tu być nic obiektywnego. Bowiem winę w Związku Komunistów mogą ponosić tylko pojedyncze osoby lub grupy osób. Trzeba je będzie usunąć bądź nakłonić do postępowania w myśl obowiązującej linii. Kiedy uwolnimy Związek Komunistów od tych wszystkich bolączek, łatwiejsza stanie się sytuacja poza partią, łżej będzie zmagać się z trudnościami obiektywnymi.

Wiele trudności obiektywnych rodzi się na tle subiektywnym. Jak się okazuje, długo będą nas prześladować skutki naszej słabości z pierwszych lat powojennych, a zwłaszcza z okresu po VI Kongresie. Dlatego najpierw musimy umocnić Związek Komunistów, żeby tym efektywniej walczyć z wszelkimi przeciwnościami.

Jugosławia jest dzisiaj na tyle zasobna i na tyle silna materialnie, że nawet nasze długi nie wydają się poważne, pod warunkiem jednak, iż z całą stanowczością będziemy rozwiązywać problem po problemie. Ponieważ wszystkie kluczowe stanowiska u nas piastują komuniści, są wszędzie. Gdzie ich nie ma? Mało jest takich miejsc. Skoro więc komuniści zajmują taką pozycję i pozwalają na rozmaite malwersacje, czy to członków partii, czy bezpartyjnych, a daje to się szczególnie we znaki w handlu, to w takim razie ponoszą oni za to winę. Trzeba ich pociągnąć do odpowiedzialności aż do rozwiązania organizacji partyjnej włącznie, i jeśli nie można inaczej, należy powołać nową.

— Towarzyszu Tito, czy właśnie ów czynnik subiektywny albo — inaczej mówiąc — zdolność partii do obrachunku z błędami i odchyleniem biurokratycznym nie zaważy na perspektywie przyśpieszonego procesu socjalistycznych przeobrażeń naszego społeczeństwa i umocnieniu samorządu?

— Pójdę teraz za waszą i swoją myślą. Widzicie, my nie możemy winą obarczać tylko elementów subiektywnych, to znaczy członków partii, którzy popełniają i umożliwiają popełnianie różnych błędów i deformacji. Winni jesteśmy również my sami, ponieważ nie wyciągnęliśmy w stosunku do takich osób natychmiastowych sankcji. Muszą być one nie tylko usunięte z partii, ale także pozbawione wszystkich sprawowanych stanowisk. Kolektywom pracowniczym trzeba wytłumaczyć, ile szkody przynoszą nam tacy ludzie, bo robotnicy niejednokrotnie łatwo ulegają wpływom niedużej grupki kierowniczej. Słyszy się nawet, jak mówią czasem: „On jest bardzo dobry dla naszego przedsiębiorstwa", a okazuje się, że nie wiedzą, co się właściwie dookoła dzieje (...)

I wreszcie chciałbym powiedzieć, co generalnie powinienem zrobić i co musimy zrobić wszyscy.

Przede wszystkim Związek Komunistów musi oczyścić swoje szeregi. Jest to absolutnie konieczne, niczego już nie można odwlekać.

Po drugie, musimy stanowczo i jak najprędzej przystąpić do konkretnego rozwiązywania problemu bogacenia się cudzym kosztem, musimy problem ten dokładnie przeanalizować i wszcząć odpowiednie kroki, również administracyjne, ażeby zdemaskować tych, którzy tak postępują, skonfiskować im bezprawnie zdobyty majątek, to, czego nie zarobili uczciwie, co nigdy nie było ich własnością. (...)

Dalej, kwestia Związku Socjalistycznego nie obchodzi prawie nikogo. A bez jego aktywizacji trudno będzie Związkowi Komunistów zrealizować swoje stanowisko.

Tak jak powiedziałem, czeka nas wkrótce dyskusja o sprawach młodzieży, które naturalnie będziemy omawiać z nią samą. Młodzież musi trzymać się Programu ZKJ, musi być bardziej aktywna i nie stawać w opozycji, co — tak jak to było niedawno — niektórzy wykorzystują dla swoich działań antysocjalistycznych. Młodzież musi współdziałać w walce z tymi elementami. Pokładam w młodzieży olbrzymie nadzieje. (...)

■

Mirosław Krleza: Dzienniki

7 V 1943

Sen się pieni. W czasie łypsomanii, gdy opuści nas rozum, pozostaje już tylko niewielka wrzącego osadu, który psuje się jak krwawy cielęcy mózg na słońcu. Ulatniają się pęcherzyki snu jak bańki na wodzie, po letnim deszczu z odbiciem burzowego nieba i topól na wietrze. Sen migocze jak odblask srebrnych szklanych kul w prowincjonalnych ogrodach i w ten sposób przez opony naszego mózgu podróżują wrażenia senne, szkaradne, groteskowe karykatury rzeczywistości. Przezroczyste pęcherzyki snu ulatniają się, przepływają przez gęste rzeki czarnej krwi, zginając się jak trawa w podwodnym prądzie. W koralowym morzu snu nie ma spokoju ani na chwilę. Cicho pływają wrażenia jak ryby w ławicach, a jedna z nich zupełnie drobna z intensywnie czerwonym ogonem jak z rozpiętym żaglem zasłoni wszystkie pozostałe na tej promenadzie w szklanym akwarium snu, trwającym przez całą noc. Przez rozdrażnione majaczenie, przez mętne szkło jeszcze niedospanego budzenia błyska ostra szabla świadomości. Tutaj dwa sny (sen i jawa) łączą się w dziwnym wrzeniu i fermentowaniu, i w takim fantastycznym kociołku naszej świadomości gotuje się pijana zupa codziennej rzeczywistości.

Jesteśmy tutaj. Na scenie. Przed Izbą Poselską na Placu Świętego Marka. Nudny urzędniczy budynek, pusta galeria szarych okien. Apsyda cerkwi św. Marka stoi na swoim faktycznym miejscu, ale stoi właśnie tak, że razem ze starym budynkiem Izby Poselskiej tworzy kąt prosty, podparta pochyłymi kolumnami z grubego zielonkawego kamienia. Impresja średniowiecznej romantycznej twierdzy, z wysokim murem obronnym. Jesteśmy na wojnie. Listopadowa mglista noc. Plac oświetlony jest starymi latarniami gazowymi, mgła okopcona dymem wije się z komina starej węgierskiej lokomotywy, która manewruje od Promenady Pańskiej aż do portalu cerkwi św. Marka i z powrotem do Dworca, a następnie powraca do Izby Poselskiej i staje. Pociąg jest pod parą, mgła wlecze się gęsta, smołowata. Zielonkawe gazowe światło rozlewa się ponad tą smołą, a po rozlanej smole pełzają węże rozświetlonych okien. Izby Poselskiej. Od czasu do czasu otwierają się wejściowe drzwi cerkwi św. Marka i znowu powoli się zamykają. Dwa interwały ciemności i światła przebiegają rytmicznie. Nie widać kto wchodzi ani kto wychodzi. Zagadkowo. Cerkiewne światło, które od czasu do czasu przebija czarny jak smoła mrok jest ciepłej pomarańczowej barwy. Mam uczucie, że cerkiew jest pełna, że jest ciepło, pali się tam morze świec woskowych, a na zewnątrz przed cerkwią wszystko jest zielonkawe, zimne, wszyscy utopiliśmy się. Błocko. Na dnie. Ta podpierająca ściana przed cerkwią to są poważne, posępne mury jakiejś archaicznej twierdzy, jak ten tutaj, który idyllicznej cerkwi dodaje marcjalnego charakteru surowej budowli. Oblężenie trwa. Wojuje się. Głoduje się.

Przekartkowałem Macheta w przekładzie Otona Župančića. Scena z czarownicami żywa, parują w półmroku zziajane konie, czuje się pod palcami ciepłą, spoconą, włochatą skórę końskiej szyi. Posępne głosy we mgle: „To jest dobrze, to jest prawdziwy Shakespeare! Boże, jakież są artypoetyczne przekłady Bogdanowicia" Męczą aktorów swoim antyszekspirowskim językiem już przez wiele lat.

Wszyscy, w górnomiejskiej twierdzy oczekujemy przybycia Prymasa, od jego błogosławieństwa zależy wynik bitwy. Wszystko na ostrzu brzytwy. Arcybiskup jest synem „handlarza serów" u hrabiego w Brezovicy. Boże jacy jesteśmy głupi, wszystko to tania zabawa, co może pomóc nam ten „syn handlarza serów u hrabiego w Brezovicy" w naszej sytuacji? Co nam da ten cyrk, ten pochód kleryków koadiutorów, kanoników, ta biskupia świta, te błyszczące krzyże? Wszyscy tutaj to są straże pod bronią, to wojsko, tutaj błyskają hełmy, i noże, młodzi ludzie w czarnych tunikach z patetycznymi gestami świętego Pawła (na akwareli pewnego wiedeńskiego symbolisty 1924) Na wietrze, pod twierdzą, na dramatycznie pofalowanym morzu, na rozwiniętych żaglach płynie rozbity galeon naszego losu. „Przybyła policja. Mówi się o łapankach Djakoni w dalmatynkach płaczą, bitwa przegrana. Jeden z czarnych kleryków, załamując ręce nad głową, zawodzi przeraźliwie. Załopotał swoją czarną sutanną jak jakiś chorąży sztandarem, a jego ręce wyzierające przez gęste fałdy dalmatynki, upiornie są białe, bielą spopielonego grobu. Przechodzą czarni klerycy jeden za drugim, w długim pochodzie, śpiewając psalmy pokutne ze strachu, że nie padli na polu walki. „To jest świństwo, to są maruderzy, opada mglista zasłona coraz bardziej nieprzejrzysta, coraz ciemniej. Widzę to wszystko z okna pewnego sklepiku w stylu „Ponte Vecchio", właściwie z balkonu chóru zarzeckiej cerkwi św. Marka. Tutaj ukryłem się w loży swego rodzaju galerii w samej cerkwi, a w dole, w Bożym chramie klęczą zakapturzeni osobnicy na drewnianych klęcznikach i pomrukują w stronę chóru. Jest nas wielu na tej galerii, człowiek obok człowieka, tak jesteśmy przyciśnięci jeden do drugiego, że odczuwa się włochate sukno sąsiada i jego astmatyczny oddech, „wzdycha człowiek, nie jest zdrowy, jeszcze się zwali jak wór". Aby wyrwać się z niewygodnego ścisku bardzo ostrożnie, milimetr po milimetrze wykaraskałem się na jakiś drewniany stołeczek powyżej jednej kamiennej konsoli, akurat tak szerokiej, aby stanęły na niej cztery nogi drewnianego stołka, w taki sposób, by nie ześliznęła się ani jedna, jeśli jednak gruchnę o ziemię, nie ma ratunku. I tak siedzę w kuchni na tym stołku ponad konsolą, i tak jestem niewymownie głupio narażony na upadek z wielkiej wysokości, „hej nie było to najrozsądniejsze, że usiadłem na tym głupim stołeczku, skoro nie jestem akrobatą. Posunę się choć milimetr w lewo lub w prawo, stracę równowagę i bęcnę na ziemię, jak mnie Bóg stworzył. Gruchnę w środku uroczystej cierkiewnej ceremonii i wywołam skandal, co w ostateczności nie jest takie ważne!" Zdrętwiałem cały, jednak balansuję dalej, chcąc nie chcąc. W dole, w cerkwi, panowie opaci, monsiniorzy i kanonicy kręcąc się wokół pana biskupa jak szatniarze, pobrzękując kadzielnicami, dymi kadzidło, przedstawienie toczy się normalnie, jakby ze mną, tam na górze, nic się nie działo. Obrzucają mnie, swoją drogą, z dołu, moi bracia ministranci nerwowymi spojrzeniami, czuję, że czekają aż spadnę, raz jeden, raz drugi rzuca niespokojne spojrzenie na moją, — nie do pozazdroszczenia pozycję; czy już bęcnąłem z tej głupiej konsoli? Rozpoznali mnie, nie jest możliwe, aby mnie nie rozpoznać, widzę, jak krążą głosy między ministrantami, że jestem tutaj na galerii, właśnie ja osobiście, że balansuję na tej przeklętej gipsowej konsoli, a znalazłem się w tej pozycji jak głupi i bez pojęcia, w jaki sposób w ogóle udało mi się znaleźć w tym najcięższego ukarania godnym położeniu. Wiem tyle tylko, że boję się skandalu, że jestem tu zbędny, nie jestem żadnym konwertytą, „aby tylko jeszcze nie padło na pamięć któremuś z tych głupców, że zjawiłem się w cerkwi z jakąś ukrytą myślą o nawróceniu". Egzaminuję samego siebie, jak mogło to się stać, że znalazłem się tutaj, może jednak z powodu serwilizmu, niedorzeczność, odkąd pamiętam (od pierwszych swoich ateistycznych rozgorączkowań), błąkam się po nabożeństwach i owa moja słabość liturgicznej teatromanii nie wygasła nigdy. Przykro, że znajduję się tutaj, a jeszcze bardziej przykro, że zostałem zauważony, i że panowie logicznie mogą pomyśleć, że jednak istnieje jakiś mój subiektywny zamiar przypochlebienia się, a szczególnie fatalne jest to, że nieuchronnie gruchnę o ziemię, połamie kości i że wtedy na domiar wszystkiego, znajdę się w ich rękach na dobre i złe, jak jaki przedmiot „Jeszcze mnie namaszczą umierającego Niemożliwością jest, abym się nie połamał, niemożliwym jest, abym nie stracił przytomności, jeszcze udzielą mi ostatniego namaszczenia" — na tę myśl przechodzą mnie ciarki. Jestem zgalwanizowany i cicho szepczę komuś z tyłu (w tej męce dopiero teraz zauważyłem że poza mną, na tej wąskiej galerii są jeszcze ludzie) aby zechciał pociągnąć do tyłu ten mój przeklęty stołek z konsoli. Czuję, jak jakieś dłonie pragną pociągnąć stołek i rzeczywiście, znalazło się kilka niewidzialnych rąk, które usiłują uratować mnie na tej galerii, i czuję się jak dziecko u fryzjera, które ciągną i obracają na stołku, aby je ostrzyc do gołej skóry. Galeria jest przepełniona zaciekawioną publicznością, jest tutaj dużo złośliwego towarzystwa, śmieją się małpy z mojego kłopotu nie jest to cerkiewny koncert, jak myślałem, ale rzymska kawiarnia, w centrum miasta. [illegible] schowaliśmy się niby turyści przed deszczem. Wszyscy jesteśmy rzymskimi wycieczkowiczami, siedzimy przy szprycerze i półmiskach pełnych pieczonych mięs, a przy oknie podśpiewują młode Konavoke, w czarnych jedwabiach i sznurach wenecjańskich dukatów. Nie są to Konavoke, lecz Sławonki, a jedna z tych dziewcząt skoczyła do mnie i poznawszy mnie, pokazuje jak sensację i zwycięsko krzyczy: „Lecca, lecca!" Jestem pacjentem, choruję na Bazedowa, a owe tajemnicze słówko „lecca" jest hermetyczną diagnozą na moje wole i co teraz zrobię, skoro zostałem zdemaskowany jako człowiek mający wole w gardle. Usiadłem przy stole, aby spróbować odrobinę z pozostałej pieczeni, żeby chociaż trochę zyskać w sytuacji, w której się znalazłem, w kręgu antypatycznych panienek, które latami prześladować mnie będą swoją nienawiścią. Półmiski pełne są hemendeska już trochę skwaszonego, pieczystego z wieprzowiny; wszystko sami ludzie z wolem i szczerbate służące i praczki, kręgi życia pełne bohaterstwa i upokorzenia, samozaparcia i cierpienia, jednym słowem, zmiętego życia. Jak operetkowa papuga, śmieszną kabaretowa maszkara w różowych szkockich majtkach, skacze wokół nas młoda kobieta, maska weneckiej Šojka z ostro wyprofilowanym dziobem, Madame Paymonde przybyła z Paryża i doktor Edo ze swoją żoną i swoim małym chłopcem, który przed snem pomodlił się dziecięcym głosikiem „Müde bin ich, geh zur Ruh, schliesse meine Auglein zu", a jednak go zabili. I małego, i tatę, i mamę.

Myję się w ludowicejskiej wannie z czerwonego marmuru, cały namydlony myślę: „Znowu jestem rekrutem, znów mnie zmobilizowano, dlaczego do diabła męczę się, jak długo zostanę tym rekrutem. Wypadnę z tej rekruckiej wesołej zabawy, wszak istnieje gdzieś na świecie jakieś wojsko, w którym mógłym być komendantem, dlaczego wiecznie muszę służyć jako rekrut?"

I powziąłem natychmiastową decyzję o ucieczce, tylko nie wiedziałem dokąd, najlepiej będzie z powrotem do Pečuja, tam wszystko było na sposób kadecki, niewinne, tam można się ukryć, aby nikt nas nie znalazł. Pečujski obraz kojarzy się z niegdysiejszym przypadkowym spotkaniem z endeckim pułkownikiem Somem z Lipovljana, który dzisiaj niewolniczo służy Minorsowi jak równie niewolniczo służył przez całe swoje życie królewskiej serbskiej komendanturze. Wysuszyliśmy się jak figi, pomięci jesteśmy jak stare jeżozwierze, którym powyrywano wszystkie kolce, życie przeciekło nam przez chore nerki, przeobraziło nas w szczerbatych staruchów, zreumatyzowanych głupców, biedni jesteśmy jak zdarte kalosze, zdatni jesteśmy tylko na śmietnik. A jeszcze wczoraj byli z nas prawdziwi, najprawdziwsi chorążowie. Gdzież są nasze chorągwie?

11 VI 1943

w warszawie, przy ulicy Śniadeckich. Biały niewieści pokój, w guście Djuliny, biała pościel, biała komoda, białe szafy, biały zestaw stołu z krzesłami, białe firanki, biały wełniany dywan na podłodze, białe jedwabne kołdry, biała nocna szafka z białym nocnikiem. W śnieżnobiałym dziewiczym pokoju (jak Strindberg, kiedy przyjechał w gości do jednej ze swoich kobiet. Austriaczki w „Infernie" budzi mnie ze snu pewnego śnieżnego poranka głos mojej sąsiadki panny współlokatorki w wielkim siedmiopokojowym mieszkaniu u pana dyrektora Bunzela (firma Biach und Bunzel), przy ulicy Śniadeckich. Moja panna sąsiadka telefonicznie umawia się na rendez-vous po południu, na ślizgawce. Inicjatywa, sądząc po fragmentach dialogu, jest w rękach sympatycznej młodej damy, sekretarki w niemieckiej ambasadzie, która poznaje niestety, tylko po głosie. Panna ma szereg pomysłów i propozycji w związku z tym spotkaniem na ślizgawce, ale z drugiej strony drutu odczuwa się opór. Rzecz wokół tej randki, zdaje się, nie rozwija się zupełnie gładko. Ten cymbał trochę się opiera temu spotkaniu; w żaden sposób nie chce się ślizgać z ową panną, oczywiście, on uchyla się, a sądząc po tonie, ów dżentelmen myśli, że oni dwoje już się dosyć naślizgali. Luty 1932, warszawska zima, artretyczny, przygnębiający, nieszczęśliwy, bezperspektywicznie pusty poranek. Jak mam się wywlec, wykończony isjaszowymi bólami, z tej nie do pozazdroszczenia głupiej sytuacji. Oczekując wiedeńskich wiadomości od Djuki, przybyłem do Warszawy zgodnie z planem, przejazdem, tylko na kilka dni, aby natychmiast pojechać dalej, ale w sowieckim konsulacie nie otrzymano żadnych informacji, dotyczących mojej wizy z Wiednia.

W oficynie, w szarym pokoju posępnego mieszkania pana dyrektora Biacha, oddzielona mrocznym korytarzem, bieduje nieszczęśliwa dziewczyna, chora, w której to panieńskim pokoju śpię jako sublokator. Dziewica jest głupkowata. Wydłużona dolna szczęka, martwo szary wzrok, śluzowate usta, które niezrozumiale mruczą, a jej głupi mały języczek szczeka na każdym kroku w korytarzu, zazdrośnie pilnując swojej umysłowo chorej gospodyni. Szare dachy, szare oświetlenie, szary śnieg, wszystko szare, zapach czosnku, gęsich wątróbek, i obrotna panna z niemieckiej ambasady w żaden sposób nie chce przerwać swojej telefonicznej rozmowy z madziarskim witeziem, a on nie chce iść na ślizgawkę, ani dzisiaj, ani jutro, nie ma czasu, jedzie do Pesztu, jest urzędnikiem węgierskiej Legacji. A ja rozmyślam o Stanku Vrasie, o wpływie Mickiewicza u nas sprzed stu lat, nawarzyliśmy sobie piwa, nie wyjdziemy z tego, jesteśmy nędzarzami. Z jakiej racji i dlaczego, w myśl jakiej logiki oczekuję pozytywnej wiadomości od Djuki, co Djuke może mi powiedzieć, że mnie „tam na górze" oczekują? Co może oznaczać „tam, na górze" czy „tutaj na dole" na Wawelu, z całym oddziałem naszych bejorów na czele z Brankiem Lazarewiczem, Ambasadorem Jego Wysokości Króla, u Marszałka Piłsudskiego. Nasz pan ambasador pije wyłącznie duńskie piwo (polskie — dla pana ambasadora zbyt jest plebejskie), on jest melomanem, dni i noce słucha Brahmsa, obsługuje go valet de chambre w liberii i butler w nienagannym fraku, płaci za swoje mieszkanie 30.000 złotych miesięcznie, męczy mnie handlem i w ogóle klasyczną muzyką, a ja czekam, aby wyruszyć do Moskwy z całym pakietem planów i kverulanckiego towaru, mając na względzie niektóre nasze delikatne KPJ — kłopoty i kłopociki.

Bezcelowe błądzenie po warszawskich ulicach. Przed Wydziałem Technicznym tutejsze słońce istotnie jest zębate tu i tam słychać w rynnach srebrny dźwięk pierwszych kropelek — zwiastuna przedwiosennego cudu, tak czekam na list z Wiednia i poprawiam „Filipa".

Przełożył:
JERZY GOS

(Fragment dziennika przygotowany do druku przez Wydawnictwo Łódzkie).

Opowieść o skórze tygrysiej

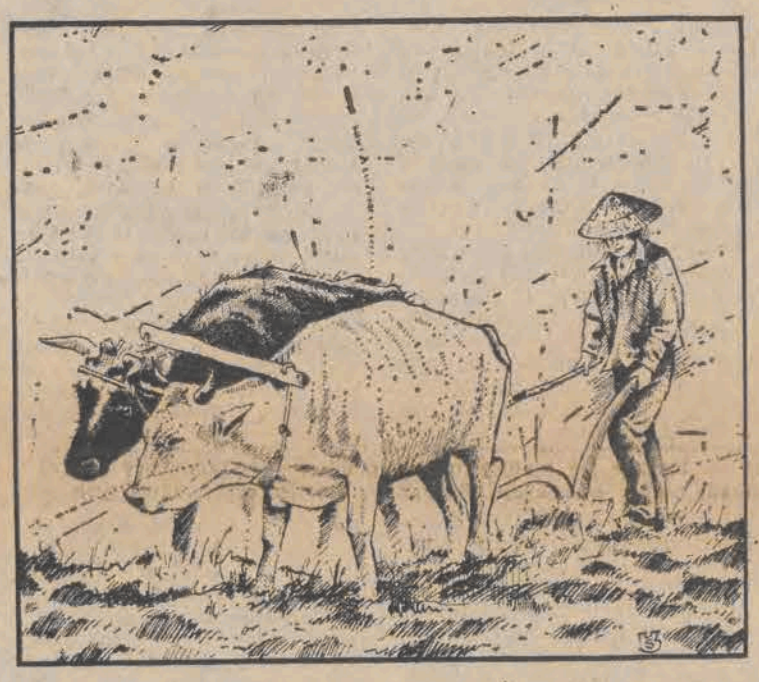

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Dokończenie ze strony 1

elastyczny. Mimo, że jest ciężki, porusza się bardzo zwinnie. Im obu, „kapitanowi" i Thanhowi, przydała się zaprawa z lat młodości. Prawie każdy z nas kiedyś uczestniczył w tańcu smoka. Widziałaś, jak smok tańczy?

— Owszem. Przed świętem Tet. *)

— Właśnie. Tyle, że cielsko smoka sporządzone jest z tkaniny i tektury, a prawdziwa skóra tygrysa ma swoją wagę. Biedny Luong zziajał się porządnie. Thanh ledwie zipał — ma już przecież swoje lata. Musieli zresztą wielokrotnie powtarzać tę scenę, zanim Bułgarzy byli z niej zadowoleni.

— Czy przynajmniej film był dobry?

— Trudno powiedzieć, bo żaden z nas na oczy go nie widział.

— A co się stało ze skórą?

Khoang powtórzył to pytanie po wietnamsku. Luong wzruszył ramionami.

— Wróciła tam, skąd ją pożyczyliśmy. A piękna była! — dorzucił, zerkając na mnie z ukosa. — Żółta, wpadająca w odcień brunatny, puszysta, wspaniale pręgowana...

Westchnęłam. Skóra tygrysia, na której można by siedzieć przed kominkiem w kręgu przyjaciół, snując wspomnienia z przygód i podróży — pozostała jednym z moich niezisziczonych do dziś marzeń wietnamskich. Nie mam dotychczas ani kominka, ani skóry tygrysiej. Tylko przygody pozostają w skarbcu wspomnień.

— Na pewno by ci się ta skóra podobała — dorzucił chytry Luong, jak gdyby czytając w moich myślach.

— Nie mów! — westchnęłam powtórnie. — Po co mnie dręczysz?

— A czy chociaż wiesz, dlaczego tygrys ma pręgowaną skórę?

Nie wiedziałam i zdziwiło mnie pytanie „kapitana". Od legend i „opowieści zasłyszanych" byli bowiem inni: tłumacz Hoan, moja przyjaciółka Phuong, znana czytelnikom książki „Córka jego ekscelencji", archeolog Tuyen. Czasem Khoang, chociaż on zazwyczaj twierdził, że zdążył zapomnieć wszystko, co mu opowiadano w dzieciństwie i że odpoczynek najlepiej zużytkować na drzemkę. Ale „kapitan" — wcielenie powszedniej prozy życia?! Okazało się, że i od niego można coś niecoś usłyszeć...

Upał był ciężki, przytłaczający, nieznośny. Siedzieliśmy przy drodze w skąpym cieniu kępy bambusów. Luong rozłożył prowiant: gotowany ryż, ugnieciony w kulę wielkości pięści, czerstwy chleb, kilka jajek na twardo. Do tego — cienkie piwo wietnamskie. Dla mnie była butelka zwietrzałej wody mineralnej „borzomi". Zaspokoiwszy głód, wszyscy trzej wraz z kierowcą zaciągnęli się z lubością dymem polskich „carmenów". Luong, ponaglony moim niecierpliwym spojrzeniem, rozpoczął:

— W dawnych czasach, kiedy zwierzęta potrafiły mówić ludzkim głosem, pewien wieśniak usiadł raz w cieniu, aby odpocząć. Nadeszło bowiem południe. Wyciągnął zawiniątko z gotowanym ryżem. Najadłszy się, legł pod drzewem i zasnął. Bawół, który mu towarzyszył, najpierw pasł się na pobliskiej miedzy. Potem również poszukał cienia i drzemał, czasem tylko machnięciem ogona odpędzając natrętne muchy. Ale zwierzę jest bardziej czujne niż człowiek. Dlatego w pewnej chwili bawół ocknął się i rozszerzył nozdrza, wietrząc obcy i niebezpieczny zapach. Pomiędzy gęstą, wysoką trawą mignęło zwaliste cielsko. Sprężystym krokiem skradał się tygrys, który w tych czasach miał sierść gładką i żółtą, jak łan dojrzałego ryżu lub jak piasek spalony słońcem. Widząc, że bawół dźwiga się, prostuje grzbiet i obronnym ruchem wystawia rogi — myśliwi z dżungli potwierdzają, że dziki bawół potrafi stawić opór tygrysowi — otóż widząc niepokój bawoła, drapieżnik przemówił możliwie łagodnie:

— Bądź spokojny, bawole! Nie zamierzam wyrządzić ci krzywdy. Od wielu dni patrzę na ciebie z ukrycia i nie mogę się nadziwić. Prowadzi cię przez pole człowiek wątły i słaby. Nie ma on tak bystrego wzroku, ani tak czujnego słuchu, ani wyostrzonego węchu, jak ty. Dlaczego jesteś mu posłuszny? Jak to się dzieje, że idziesz tam, gdzie on ci iść każe? W czym tkwi siła człowieka?

— Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałem — odparł dobroduszny bawół, kiwając w zamyśleniu swoją wielką głową. — Ale wiem, że człowiek ma coś, czego brak nam, zwierzętom, zarówno mnie, jak i tobie, tygrysie. Posiada on mianowicie talizman, który zwie się r o z u m.

— Co to takiego: „rozum"? — zdziwił się tygrys.

— Nie wiem — wyznał szczerze bawół. — Tego nie można dostrzec, bo rozum tkwi głęboko w człowieku.

— O, gdybym ja miał siłę, jaką ma człowiek w swoim rozumie!

Tygrys westchnął przy tych słowach tak mocno, że zachwiały się rosnące w pobliżu trawy i trzciny. — Wtedy uzyskałbym władzę bez granic nad innymi zwierzętami! Pomyśl, bawole: zamiast przemierzać dżunglę i czatować na łup, zamiast długo czaić się u wodopoju, kazałbym po prostu zwierzętom, żeby zastygły w bezruchu i wybrałbym sobie spośród nich najsmaczniejszy kąsek!

Bawół wzdrygnął się przy tych słowach drapieżnika. — Wiesz co, tygrysie? — rzekł. — Najlepiej sam zapytaj człowieka, gdzie chowa swój rozum. Ale uczyń to ostrożnie, żeby go nie przestraszyć!

Tygrys potrafi stąpać prawie bezszelestnie. Zbliżył się więc do chłopa śpiącego na miedzy i wydał niegłośny pomruk. Wieśniak ocknął się, przetarł oczy i zamarł z przerażenia, pewien, że nadeszła jego ostatnia chwila. Ale tygrys przemówił doń:

— Nie lękaj się mnie, człowiecze! Przyszedłem do ciebie z prośbą o dobrą radę. Na pewno wiesz, że jestem równie silny jak zwinny.

— O tak, panie! — odparł wieśniak. — Nie na próżno przecież zwą cię królem zwierząt!

— Tak jest — potwierdził dumnie tygrys. — Ale chciałbym mieć coś, co uczyniłoby mnie jeszcze sprawniejszym. Ta rzecz jest w twoim posiadaniu!

Człowiek ochłonął nieco z przestrachu, widząc, że na razie tygrys nie zamierza go pożreć. — Słucham cię, panie — rzekł pokornie. — Cóż chciałbyś mieć ode mnie ty, który jesteś potężniejszy niż wszystkie inne stworzenia żyjące w naszych lasach?

Tygrys przymknął oczy, mile połechtany pochlebstwem. Potem spojrzał z góry na człowieka.

— Słyszałem, że masz coś, co ułatwia ci życie: r o z u m. Czy możesz mi go trochę użyczyć?

— Chętnie bym to uczynił — odparł wieśniak. — Ale, niestety, tak jak wszyscy ludzie, zostawiłem swój rozum w domu. Nie zabieram go nigdy ze sobą w pole, żeby nie zwieruszyć tak cennego skarbu. Jeśli jednak masz takie życzenie, władco zwierząt, pospieszę do chaty...

— Chętnie będę ci towarzyszyć — zaproponował tygrys.

— Lepiej nie czyń tego, królu dżungli! — rzekł pospiesznie chłop. — Jeśli bowiem obaj ruszymy do wsi, moi sąsiedzi na twój widok gotowi chwycić za widły i dragi, żeby ruszyć przeciwko tobie. A jest ich wielu, mogliby więc wyrządzić ci krzywdę.

— Idź więc do twojej chaty sam i przynieś mi twój rozum — zgodził się tygrys.

Chłop już chciał wziąć nogi za pas i ruszyć ku domowi. Ale spojrzał na bawoła, który jął znowu skubać trawę. — O panie! — westchnął, drapiąc się frasobliwie w głowę. — Gotów jestem od razu zadość uczynić twej woli. Lecz obawiam się o los mojego wiernego towarzysza. Jeśli ja bowiem odejdę, ciebie zaś ogarnie przemożna chęć pożarcia bawoła? Nie chciałbym go utracić. Któż bowiem pomagałby mi potem w pracy?

— Hm... I tak źle, i tak niedobrze — zatroskał się tygrys. — Co więc uczynimy?

— Mam pomysł — wieśniak chytrze przymrużył oko. — Pozwól, o władco zwierząt, że na krótki czas mojej nieobecności przywiążę cię do drzewa. Wtedy będę spokojny o mojego bawoła. A kiedy wrócę, od razu rozetnę twoje więzy. Będziesz wtedy wolny, silny i obdarzony rozumem, którym od razu z tobą się podzielę.

Tygrys tak bardzo chciał uzyskać od człowieka ów tajemniczy skarb, że gotów był przystać na wszystko. Wieśniak przywiązał go powrozem do drzewa i skrępował starannie. Drapieżnik poddawał się posłusznie tym zabiegom, chcąc wejść w posiadanie upragnionego rozumu. Tymczasem człowiek co sił w nogach pospieszył ku domowi. Wrócił jak tylko mógł najszybciej, niosąc w ręku krzesiwo i snop wysuszonej słomy. Rozrzucił ją wokół drzewa, do którego przywiązany był tygrys.

— Co czynisz, człowieku? — zamruczał niespokojnie król zwierząt.

— Po prostu przyniosłem mój rozum, odparł wieśniak, sięgając po krzesiwo. — Oto on!

Błysnął płomień. Sucha słoma rozgorzała w oka mgnieniu. Ogień zaś jest jedną z niewielu rzeczy, których tygrys się boi. Potężny zwierz jął szamotać się w swoich więzach tak gwałtownie, że zatrzeszczał pień stuletniego drzewa, do którego był przywiązany. Ale nie zdołał rozerwać powroza.

— Oto mój rozum! — zawołał powtórnie wieśniak, podsycając ogień. Żółte języry strzeliły wysoko ku górze, dobierając się do skóry spętanego drapieżnika. Tygrys ryknął raz i drugi tak donośnie, że wszystkie drzewa dokoła zadygotały, zaś wystraszeni mieszkańcy wioski pochowali się do chat.

— Puść mnie! — wołał do człowieka. — Puść mnie natychmiast!

Widok szamocącego się tygrysa tak rozbawił bawoła, że nie mógł on pohamować wesołości. W niepohamowanym śmiechu stuknął łbem o kamień i wybił sobie górne zęby, które nie odrosły mu do dziś.

Kiedy płomień nadwątlił sznury, tygrys, rycząc wciąż nadal z bólu i wściekłości, zdołał je wreszcie rozerwać. Na oślep umknął między dżunglowe zarośla. Długo biegł, szukając otwartej polany — i długo tarzał się po niej, aby pozbyć się żdziebeł płonącej słomy, które nadal tkwiły w jego sierści. Ogień, który poparzył tygrysa, zostawił ciemne smugi na jego skórze, przedtem żółtej i gładkiej. I takie same pręgi mają odtąd jego potomkowie.

— To bardzo stara opowieść — rzekł Khoang, dokończywszy tłumaczenia. — Ja słyszałem nieco inną jej odmianę, również jednak dotyczącą ognia, bo prawdą jest, że tygrys się go boi. Otóż podobno ten zwierz, podówczas jeszcze gładki, zjawił się pewnego dnia w jednej z naszych górskich wiosek, gdzie — jak wiadomo — chaty wznoszone są na palach. Krocząc przez wieś, dawał znać o sobie rykiem tak groźnym, że przerażeni chłopi kryli się przed nim, gdzie mogli. Jeden tylko młody wieśniak, siedząc w szopie na klepisku wśród stert ryżowej słomy, nie kwapił się do ucieczki. Miał w rękach dwa twarde kamienie i uderzając jednym z nich o drugi, usiłował wykrzesać płomień.

— A ty co, zuchwalcze? Nie drżysz przede mną?! — zagrzmiał tygrys na widok śmiałka.

— Po cóż drżeć, kiedy się ciebie nie boję — odparł spokojnie chłop. Uderzył przy tym ponownie kamieniami, które wydały dźwięczny odgłos. A tygrys jest z natury ciekawy. I ta cecha pozostała mu do dziś, choć istotnie nadmiarem rozumu nie grzeszy.

— Mogę pożreć cię w oka mgnieniu, zanim się obejrzysz — pogroził młodemu człowiekowi. — Ale powiedz, co to za dziwna rzecz, która tak dzwoni w twoich rękach?

— Wejdź i zobacz sam — zachęcił go chłop, cofając się przezornie ku ścianie.

Tygrys wkroczył na klepisko pomiędzy sterty słomy. Chłop uderzył mocniej kamieniem w kamień. Jedna iskra wystarczyła, aby zatlił się płomień. Słoma rozgorzała i tygrys znalazł się w kręgu ognia. Wieśniak jednym susem wyskoczył poza obręb zagrożonego miejsca. Tygrys oślepiony blaskiem ognia, rycząc z bólu, jął miotać się gwałtownie po szopie. Zdołał umknąć, ale pręgi na jego skórze dotkniętej płomieniami pozostały....

Wieczorem, kiedy zelżał upał, siedziałam długo przed chatą, gdzie wyznaczono nam kwaterę. Była wczesna jesień. Z ryżowisk zebrano plon. Krajobraz o zgaszonym płowożółtym kolorze — to jedna z barw Wietnamu tam, gdzie rozciągają się pola po żniwach — przypominał sierść drapieżnika. Ciemniejsze smugi ścieżek i grobli biegły kręto na polach, jak pręgi skóry tygrysiej. Tej skóry, której dotychczas nie zdobyłam...

MONIKA WARNEŃSKA

Z tomu opowieści egzotycznych „Tygrysie oczy", który ukaże się nakładem Wydawnictwa Literackiego.

*) Nowy Rok wietnamski obchodzony według tradycyjnego kalendarza księżycowego.

Wirydarz poetycki

Marek Grzegorz Madej (Łódź)

Rozwiązanie wiosny

to nie krzyżówka to po prostu
wiosna wody płodowe
rozlała —

bazie z podmiejskich
parków szukają oparcia
w kryształowych wazonach
wokół smagłe uda kobiet
nabierają rozmachu wentylatorowego
powietrza

w pobliskich kałużach
słońce dojrzewa do góry nogami
dziewczętom wyrastają skrzydła
i oniemiały liczę własne zęby

kwiecień 1977

☆ ★ ☆

ułóżmy taki wierszyk
konie się pasą na łące
ta trawa jest zielona
kiedyś był tutaj grunwald
lubią soczystą i chłodną
chłopcy muszą podglądać
dziewczyny o oczach z obłoków
jak deszczyk opadnie
jest złota i kasia miała
warkocze
mieszkają w dziuplach
na stołku gdzie cień
konserwuje owoce
kiedy się zdrożą szkapy
kasia da im chomonto ubrane
w miękkie ramiona chłopcy
tak lubią podglądać
jak ona zamszowe buciki
i kiedy chrapy ogiera przyciska
do białych piersi jest trawa
zielona jak nigdy
jest znowu grunwald i pole
po którym hasają
nadzy spoceni od letnich snów
nabiera ich na marzenia
o srebrnych husarskich zbrojach

Krzysztof Drzewiecki (Łódź)

Zasypianie

Rozpiszę ciszę na sto westchnień:
matematyczny portret ciszy,
wpół gramatycznie powiem — jestem,
chociaż sam tego nie usłyszę

bezgłośnym cieniem wpełznę w lampę,
sufit pokłoni się przede mną
i zyskam pewność, że przez mgnienie
mam tylko sobie znaną ciemność

nie zatracony gdzieś w hałasie
powrócę wierzyć w swoje bóstwo
pod powiekami rozpinając
ogromne, kolorowe lustro.

Zygmunt Ziębowicz (Leśnica Wielka)

Czas odnowy

Kiedy powiedziałem
gorzką prawdę
uderzyła we mnie
zemsty pięść.

Mówiłem...
Uszy
zawsze zatykałeś
przede mną.

Powiedziałem
miej serce
i zgasła nawet
iskierka uczucia.

Powiedziałem
sprawiedliwość,
a spotkała mnie
nowa krzywda.

Powiedz mi prawdę.
Tak długo musiałem
czekać...
Nie na jałmużnę.

Powiedz,
dokąd zmierzasz?
Nie jestem sam.
Czas odnowy!

(Wiersz napisany 14.II.1971)

Stefan Rusin (Sieradz)

Sieradz

Na Rynku stare kobiety sprzedają plastykowe
zabawki i chrzan na pęczki
Ludwik zachwyca się lodowatym słońcem
spod kamiennej ściany, w okiennicach tańczy
lustro nieba
a my z podniesionymi kołnierzami chodzimy
jak celnicy.
W sklepiku na półpiętrze pachnie naftą,
dotykamy nawet marmurowej poręczy.
Przez bramę wjeżdża wóz z węglem i skrzypi
wytartymi kołami. Czarno białe zakonnice
przyglądają się mojej brodzie
a ja ich lśniącym skrzydełkom wyrastającym
z głów.
Granatowe dziewczynki idą do szkoły. Jedna
jest wiolonczelistką, przechodzi teraz przez
aleję róż.
W tym mieście biją też dzwony na Anioł Pański.
W kurzu obłoków za mostem ciekawe rzeczy się
dzieją. Płoną lasy.
Płoną młodzieńcy na motorach.

Tak prędko

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

Powieść Jerzego Wilmańskiego „Tak prędko, coraz prędzej" [1] jest książką fascynującą. Opowiada ona o losach, przemyśleniach, doświadczeniach, wreszcie życiowych urazach człowieka, któremu w ogólnym rozumieniu dobrze ułożyło się życie. Bohater Wilmańskiego nie jest bynajmniej prominentem, szychą grubą rybą, jest natomiast człowiekiem dość wysoko ustawionym na drabinie społecznej kariery. Na tyle wysoko, że możliwa jest i wędrówka wyżej i na tyle nisko, że prawdopodobny jest również spadek w dół. Ten spadek jest więc główną obsesją stworzonej przez pisarza postaci.

Pokazuje Wilmański mechanizmy rządzące naszą rzeczywistością, czyli tak zwane polskie piekiełko, od wewnątrz. Jego bohater jest wyrachowany tylko na tyle, na ile musi być, aby nie stracić wszystkiego, czego się dochrapał, i tylko na tyle ewany, żeby nie dać się zepchnąć na boczny tor. Jego postępowanie jest całkowicie zdeterminowane postawą otoczenia. Jak w partii szachów, każdy ruch bohatera wynika z posunięcia przeciwnika. W środowisku opisywanym przez Wilmańskiego każdy zagraża każdemu. Stąd jego postacie posługują się najbardziej wypróbowaną bronią: potwarzą, pomówieniem, plotką. Najsłabsi, najwrażliwsi nie wytrzymują psychicznie owego stałego napięcia, na jakie skazało ich życie w cieniu owej drabiny z powyłamywanymi szczeblami. Uciekają w śmierć.

Główny bohater Wilmańskiego próbuje „nie dać się". Ucieczką staje się alkohol, wspomnienia z lat wczesnej młodości, mitologizacja pierwszej miłości — przegranej, bo tak się ułożyły pionki na szachownicy. Zauważa, że powroty nie istnieją. Istnieje tylko przyszłość nie wiadomo na ile dana. Zaczyna rozumieć, iż żeby utrzymać się na powierzchni nie wystarcza już obrona przed przeciwnikami, należy przewidując ich posunięcia, samemu atakować.

Mimo iż bohater jest dziennikarzem (narracja prowadzona jest w pierwszej osobie) nie odbieram tej książki jako powieści z kluczem. Być może ktoś tam siebie w niej odnajdzie, być może kogoś w nią wtłoczy opinia środowiskowa — sądzę jednak, iż bardziej tu pisarza interesowały mechanizmy rządzące światkiem dziennikarskim czy paraartystycznym niż kopiowanie wzorców zachowań konkretnych osób.

Na fabułę książki składają się „szumy, zlepy ciągi" rzeczywistości. Zdarzenia z teraźniejszości nakładają się na te z przeszłości, bywa że zatracają się między nimi kontury. Książka nie posiada również tradycyjnej akcji. Wszystko, cokolwiek się w niej rozgrywa — rozgrywa się głównie, jak ongiś w prozie modernistycznej, „we wnętrzu" bohatera.

Specyficzny i szczególnie interesujący jest także język powieści — chciałoby się rzec zupełnie aliteracki: z kolokwializmami, wulgaryzmami, charakterystycznymi dla polszczyzny mówionej niedopowiedzeniami.

Właśnie jej walory językowe, specyficzne, ostre spojrzenie na nasz wielki świat i na nasz mały światek sprawiły, iż czytałam ją z dużą satysfakcją, mimo że jest to jedna z moich najbardziej gorzkich lektur ostatnich lat.

Sądzę że jak dotąd, jest to pozycja w dorobku twórczym Wilmańskiego najpoważniejsza.

[1] Jerzy Wilmański, Tak prędko, coraz prędzej, Łódź, 1982.

Zygmunt Nowakowski: „Gałązka rozmarynu". Scena zbiorowa. *Foto: Witold Górka*

Rozmaryn może kwitnąć wszędzie

„Gałązka rozmarynu" Zygmunta Nowakowskiego nie jest — wbrew pozorom — sztuką o Legionach.

Recenzując jej prapremierę (9 listopad 1937 r.) Boy-Żeleński pisał, że **„brak jest prawie zupełnie tego rodzaju sztuk obchodowych, popularno-historycznych"**. Na pierwszą część ostatniego dwuczłonowego określenia — zgoda; z drugim trzeba by się pospierać. Popularności tu bowiem sporo, historii — raczej niewiele. A i ta odrobina, która się do tekstu przemknęła jest — delikatnie mówiąc — trochę niedokładna. Akurat na tyle, by nie przygotowanemu widzowi przedstawić rzecz nieco inaczej, niż się miała w rzeczywistości.

Przeciwko legionistom — gdy już ich autor z Oleandrów do Kielc doprowadzi — są: Dziedzic, Rejent, Mecenas, Prezes i Aptekarz. Czyli ludzie, którym pod zaborcą żyje się w miarę dobrze, którzy mają coś do stracenia i nie wiadomo co do zyskania w mglistej i odległej przyszłości. Nowakowski niedwuznacznie nam podpowiada: Dziedzic, Rejent, Mecenas, Prezes i Aptekarz — czyli przedstawiciele klas posiadających — zawsze i wszędzie *opowiedzą się za solidną stabilizacją*, bez względu na jej ideowy kontekst, przeciw niepewnym choć szlachetnym zrywom. Jednocześnie wszakże Nowakowski nie dopowiada tego, o czym czytamy w zamieszczonym w programie fragmencie artykułu Andrzeja Garlickiego, że legionistom już w parę dni po wyruszeniu z Krakowa **„przyszło przeżyć szok, który pozostawił w ich psychice trwały ślad, Królestwo przyjęło bowiem wkraczające oddziały strzeleckie z niechęcią, nieufnością, jeśli nie wręcz wrogo"**.

Otóż właśnie: Królestwo. A nie tylko Dziedzic, Rejent, Mecenas Prezes i Aptekarz. I nie tylko z lęku o utratę stanu posiadania. I nie tylko z obawy przed mętnie rysującą się perspektywą.

Od roku 1795 dążenia niepodległościowe przenikały całe polskie społeczeństwo. Przybierały różne formy, otrzymywały odmienne zabarwienia, oblekały się w rozmaite koncepcje, ale były, trwały i krzepły. Także i po to, by z początkiem wieku coraz wyraźniej się konkretyzować. Istniejący jednak wówczas układ sił w Europie nie skłaniał do wysuwania roszczeń maksymalistycznych. Jeszcze w roku 1914 nikt chyba nie przypuszczał, że już za cztery lata Polska odrodzi się wolna, niepodległa i niezależna. Tym bardziej nie było to do pomyślenia w roku 1906, kiedy to Józef Piłsudski konferował z komendantem korpusu w Przemyślu nad możliwością wykorzystania PPS — Frakcji dla celów wojskowości austriackiej w zamian za poparcie ze strony władz austriackich antyrosyjskiej działalności na terenie Galicji. Nie było do pomyślenia także w roku 1910, kiedy to konspiracyjny Związek Walki Czynnej począł powoływać do życia legalne organizacje paramilitarne — „Strzelca" w Krakowie i „Związek Strzelecki" we Lwowie. Legalne — bowiem oparte na statutach organizacji strzeleckich, działających w innych krajach monarchii. Legalne — bo od początku popierane przez austriacki wywiad wojskowy.

Piłsudski należał więc do tych polityków, którzy przyszłość Polski widzieli — mówiąc najogólniej — w połączeniu Kongresówki z Galicją w ramach monarchii habsburskiej. Było to przeciwstawieniem się orientacji prorosyjskiej (Roman Dmowski), widzącej Polskę w jej granicach etnicznych, ale w ramach imperium rosyjskiego.

Jednakże społeczeństwo polskie, żyjące pod trzema zaborcami, nie rozumiało — a chyba też nie chciało rozumieć — tych koncepcji, wynikających z politycznych kalkulacji. Społeczeństwo polskie nie chciało Polski „w ramach". Nie dziwmy się więc, że strzelcy Piłsudskiego zostali powitani w Królestwie z niechęcią, a nawet wrogo. Podobnie zresztą jak próby tworzenia namiastki polskiej władzy, jaką miały być Komisariaty Wojskowe fikcyjnego — istniejącego jedynie w wyobraźni Piłsudskiego — Rządu Narodowego. Inaczej mówiąc: ludność nie chciała wierzyć tym, którzy ściśle i od lat współpracowali z jednym z zaborców.

A więc niechętni Legionom byli nie tylko Dziedzic, Rejent, Mecenas, Prezes i Aptekarz. Niechętni byliby także — gdyby ich Nowakowski na scenę przywołał — Chłop, Włościanin, Rzemieślnik, Kupiec. Historia zaś potwierdziłaby później zasadność tej niechęci.

Nie w tym rzecz, chociaż warto o tym wiedzieć i pamiętać. „Gałązka rozmarynu" nie jest wszakże — jak już powiedziałem — sztuką o Legionach. Zamiast w Oleandrach w roku 1914 mogłaby się zaczynać w Warszawie w roku 1830, albo w Poznaniu w roku 1846, albo w Żyrzynie w roku 1863. Kończyć zaś spodziewanym wejściem nie Piłsudskiego, lecz Prądzyńskiego, Skrzyneckiego, Langiewicza, Traugutta. Symboliczny rozmaryn mógłby kwitnąć wszędzie. I rozmaicie. Także dziś każdy z widzów — zwłaszcza starszych, ponieważ młodzież w tej materii jest wyjątkowo niekompetentna, nie całkiem zresztą ze swojej winy — przyjdzie na spektakl z własnym rozumieniem legendy Legionów, z własną jej interpretacją, z osobistymi sentymentami lub uprzedzeniami.

Od tego będzie zależał odbiór „Gałązki rozmarynu", chociaż Boy stwierdza, że tematem sztuki jest bohaterstwo. Ma rację. Wszakże dodałbym jeszcze: patriotyzm, a także przyjaźń, lojalność, pogmatwanie indywidualnych losów ludzkich, trud żołnierskiej codzienności, wreszcie dyskretna, ledwie rodząca się miłość.

Ogromnie tego dużo jak na jedną sztukę. Wprawdzie Zygmunt Nowakowski żongluje tym wszystkim dość zręcznie, aliści coś tam mu się czasami z rąk wymyka. Trudno tu znów nie zgodzić się z Boyem, który powiada, iż można odnieść wrażenie, że Nowakowski **„skatalogował sobie wszystkie niezawodne efekty i potem je dawkuje i rozmieszcza, bacząc, aby ani jednego nie przepuścić. (...) Kiedy tuż po bohaterskiej śmierci murarczyka, który wyrwał się z okopów, aby przynieść drzewko wigilijne, byliśmy świadkami, jak stary chłop, wzięty przez legiony do niewoli, poznaje wśród nich swego syna, gotowi byliśmy błagać autora o pardon. Bo nuż się zjawi z pobliskiej chałupy żona owego chłopa, aby ugodzona granatem, urodzić mu w okopach drugiego syna?"**.

My zaś gotowi byliśmy błagać o pardon reżysera, który **„Pięć obrazów z życia jednego plutonu"** — jak głosi podtytuł sztuki — każe nam oglądać przez bite trzy i pół godziny. Ingerencji reżyserskiego ołówka domagają się zwłaszcza dwa pierwsze obrazy — toczące się niemrawo, bez polotu — stanowiące przydługą, nudną ekspozycję. Rezygnacja z niektórych zawartych w niej wątków wyszłaby jedynie na dobre spektaklowi, nabierającemu z czasem dobrego tempa i rytmu, epatującemu widza efektownymi, a równocześnie trafnymi rozwiązaniami inscenizacyjnymi, do których zaliczyłbym przede wszystkim rozmieszczenie akcji obrazu czwartego („Na linii pod Łowczówkiem — 24.XII. 1914) w okopach, znajdujących się przed proscenium. Jerzy Hutek — z godną uznania umiejętnością operujący tłumem postaci — trzy ostatnie części prowadzi z rozmachem i werwą, nie gubiąc wszakże czytelności linii dramaturgicznej, tudzież jej licznych rozgałęzień. Do końca — ocierając się nawet chwilami o banał — wykorzystuje też wszystkie zawarte w tekście elementy melodramatu, użyczając jednak sporo miejsca również siermiężnemu humorowi. Czyni to idąc wiernie tropem autora, który — świetnie znając teatr — skonstruował swą sztukę zgodnie z wymogami sceny i trafnie przewidzianymi oczekiwaniami widzów. A także — aktorów.

Mimo bowiem ogromnej liczby przesuwających się przed naszymi oczami postaci, niemal każda zwraca na siebie uwagę i jakoś tam pozostaje w naszej pamięci. Przyznać jednak należy, że spora w tym zasługa reżysera, który nawet w drobnych epizodach obsadził aktorów najwyższej klasy, umiejących maleńką rólkę przekształcić w kunsztowną etiudkę, jak to uczynili **Wirgiliusz Gryń** (Chłop) i **Bogusław Sochnacki** (Jeniec).

Bardzo ciepło, na półtonach, bez przydatku taniego sentymentalizmu zagrała Obywatelkę Sławę **Małgorzata Rogacka-Wiśniewska**. W tej samej konwencji utrzymywał się **Zbigniew Bielski**, z rzadka jedynie przydając Wilkowi należnej dowódcy energii i dziarskości. Interesująco skonstruował dość zawiłą psychologicznie postać Juhasa **Stanisław Jaskułka**, któremu nieodmiennie towarzyszyli ładnie, bo bez przesady pokazujący góralską zadziorność i „honorność" **Stanisław Jaroszyński** (Ciupaga) i **Paweł Kruk** (Parzenica). **Grzegorz Heromiński** jak zawsze bezbłędnie wykorzystywał swe predyspozycje i umiejętności, tworząc z Brzytwy postać tyleż zabawną, co wzbudzającą szczerą sympatię. Podobnie potraktował — zwłaszcza w obrazie piątym — swego bohatera **Ireneusz Kaskiewicz** (Histrio). W tej samej tonacji utrzymała postać Ciotki **Wanda Wieszczycka**. Z pewną swobodą i — powiedziałbym — wręcz pogodnie zagrał nasiąkającego atmosferą wojska Kapucyna **Andrzej Głoskowski**. Oszczędnym w operowaniu środkami wyrazu był **Ryszard Mróz** (Beton), po ich nazbyt szeroki wachlarz nie sięgał też — całkiem słusznie — **Mariusz Wojciechowski** (Sas). Natomiast **Marek Sobczyk** chyba odrobinę przesadził w jaskrawości postaci Feldmarszałka. Nie starali się zbytnio wzbudzić u widzów sympatii dla kreowanych przez siebie postaci **Włodzimierz Kwaskowski** (Dziedzic), **Sławomir Misiurewicz** (Rejent), **Zbigniew Józefowicz** (Mecenas), **Ryszard Kotys** (Prezes) i **Henryk Staszewski** (Aptekarz). Rozdartego wewnętrznie, zatroskanego Słowikowskiego, właściciela kawiarni, zagrał **Eugeniusz Wałaszek**.

Trudno tu przepisywać cały afisz, ale również wszystkie pozostałe — nie wymienione przeze mnie role — zostały poprowadzone co najmniej wzorowo.

Scenografia **Grzegorza Maleckiego**, zapełniająca scenę mnóstwem konstrukcji i elementów, współgrała z klimatem i nastrojem przedstawienia.

JERZY M. FIEDOSIEJEW

P.S. W zamieszczonym w progamie artykule pt. „Kogo zobaczymy" wymienia się po łacinie: primo... secundo... tercio... Nie wiem gdzie autor eseiku uczył się łaciny, ale z pewnością nie była to szkoła najlepsza. Jednakże i z językiem polskim miewa tenże autor kłopoty. Tamże czytamy bowiem: „... w oparciu o monarchię Habsburską..." Primo: nie Habsburską, lecz habsburską; secundo: „w oparciu — jak słusznie mawia jeden z moich kolegów — mogą być tylko pluskwy, jeśli gospodyni fleituch"; tertio... Po trzecie — nic nie ma, ale warto wiedzieć jak się to słowo pisze po łacinie.

J.M.F.

Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi. **ZYGMUNT NOWAKOWSKI** — „Gałązka rozmarynu". Układ tekstu i reżyseria — **JERZY HUTEK**, scenografia — **GRZEGORZ MALECKI**, opracowanie muzyczne — **PIOTR HERTEL**. Premiera — 14 listopada 1982 r.

Kronika kulturalna

27 listopada w 75 rocznicę śmierci Stanisława Wyspiańskiego Klub Miłośników Teatru przy TPL wspólnie z Klubem Nauczyciela i Towarzystwem Kultury Teatralnej zorganizował spotkanie poświęcone temu wybitnemu dramaturgowi, poecie i malarzowi. Na program spotkania złożyły się prelekcje: mgr Janiny Ojrzyńskiej o twórczości plastycznej Stanisława Wyspiańskiego i Mariana Sienkiewicza pt. „Reżyser w teatrze Wyspiańskiego" oraz wystawa wszystkich prac Wyspiańskiego, znajdujących się w zbiorach Muzeum Sztuki w Łodzi.

Teatr Nowy przygotował kolejną już w tym sezonie teatralnym premierę. Tym razem jest to komedia Moliera pt. *„Szelmostwa Skapena"*. Sztukę reżyseruje *Maria Kaniewska*, scenografię przygotowała *Jolanta Kunkel*. Grają: *Danuta Rynkiewicz, Krystyna Tolewska, Barbara Wałkówna, Ludwik Benoit, Ryszard Stogowski, Bogusław Semotiuk, Witold Krasucki, Stefan Niemirowski, Jacek Pawlak, Adam Gwara, Marek Jasiński, Jan Kasprzykowski.*

Przez dwa dni występować będzie w Łodzi, w sali Muzeum Historii Miasta Teatr Instrumentalny działający przy Teatrze Muzycznym w Gdyni. Pokażą oni łódzkiej publiczności osiemdziesięciominutowe widowisko pod tytułem *„Proces" czyli „Szeroka muzyka na teatr instrumentalny dla Franza Kafki"*. Spektakl reżyseruje *Ryszard Misiek*, jako soliści wystąpią: *Krzysztof Stopa* i *Maria Trzcińska*.

W minioną niedzielę zakończyły się organizowane przez Łódzkie Towarzystwo Muzyczne Dni Muzyki Józefa Haydna. Koncerty odbywały się w Łodzi i Pabianicach. W programie Dni m. in. występ Warszawskiej Opery Kameralnej pod dyrekcją Tomasza Bugaja, Capelli Bydgostiensis pod dyrekcją Włodzimierza Szymańskiego i orkiestry Akademii Muzycznej w Łodzi pod dyrekcją Zdzisława Szostaka.

---

22 listopada w Małej Sali Teatru im. Stefana Jaracza wystąpili gościnnie artyści francuscy *Douby i Dania*. Pokazali oni spektakl pt. *„Douby or not Douby"*.

Zarząd Polskiego Oddziału Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC) przyznał *Marii Kuncewiczowej* doroczną nagrodę. Nagrody te przyznawane są twórcom polskim, którzy swą działalnością przyczyniają się do popularyzacji kultury polskiej poza granicami kraju. Warto przypomnieć że laureatami tej nagrody są m. in. Władysław Tatarkiewicz, Witold Lutosławski i Mieczysław Brahmer.

---

19 listopada w salonie BWA w Bydgoszczy otwarta została międzynarodowa wystawa *„Małe formy grafiki"*, będąca przeglądem osiągnięć tej dyscypliny sztuki z lat 1979—1981. Zgromadzono ponad półtora tysiąca prac przeszło 250 autorów reprezentujących niemal wszystkie kraje europejskie, a także Brazylię, Japonię, Wenezuelę i USA.

W warszawskiej Zachęcie otwarto wystawę zmarłego przed dwoma laty profesora stołecznej ASP — *Andrzeja Rudzińskiego*. Na wystawie zgromadzono blisko 150 prac z lat 1933—1962.

Bez poganiaczy

Rozmowa z HENRYKIEM WŁODARCZYKIEM, prezesem Wojewódzkiego Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych w Łodzi.

Foto: M. Zajdler

Panie prezesie, jak się pan czuje w reformie?

— Mniej więcej tak, jak 1755 członków oraz 428 pracowników najemnych w 26 spółdzielniach produkcyjnych województwa. Wszyscy się uczymy. A od grudnia do lutego będziemy szkolić etapowo pracowników wszystkich szczebli w dziedzinie nowego prawa spółdzielczego.

— Nauka nie idzie w las?

— Spółdzielnie po trzech kwartałach tego roku stoją ekonomicznie dobrze. Tylko jedna ma straty w wysokości 980 tys. zł.

— Bez dotacji wygląda to na cud gospodarczy.

— To są po prostu skutki reformy i wprowadzenia nowego prawa spółdzielczego. Spółdzielnie stały się wybitnie samorządne. Nowe prawo spółdzielcze mocno podkreśla trzy „S", daje większą swobodę działania.

— Czego dotąd nie było w prawie spółdzielczym?

— Oprócz tych trzech „S" po raz pierwszy uwzględniono specyfikę Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych, w których środki produkcji są własnością spółdzielców. Z nowości należy wymienić takie sprawy, jak prawo do urlopów wypoczynkowych i macierzyńskich, przeliczanie wkładów pieniężnych na ilość żyta według obowiązujących cen skupu, odpłatność za użytkowanie wkładów gruntowych, odpisy na fundusz zasobowy, który musi stanowić najmniej 5 proc., swoboda w ustalaniu planów, itp.

— Czytelnik z miasta nie bardzo się w tym połapie. Ale skoro spółdzielnie są na trzy „S", to pan jest niepotrzebny. I ten wojewódzki aparat związkowy też.

— Skończyło się poganianie i pouczanie, co produkować, co sprzedawać, ile odłożyć na czarną godzinę. Ja nie mogę narzucać nikomu planów i wskaźników. Nie mogę angażować prezesów w wymyślone przez siebie historie, nie mogę ich karać ani zwalniać.

— To co pan może?

— Wojewódzki Związek RSP służy instruktażem, doradztwem, broni interesów ruchu spółdzielczego, inicjuje nowe kierunki produkcji, prowadzi ustawowe kontrole.

—A dzisiaj pewnie ratuje najsłabszych? Bo połowa spółdzielni w województwie powstała pod koniec lat siedemdziesiątych niemal na siłę...

— Tak jest. I te spółdzielnie borykają się z trudnościami

— Najpierw dawano wszystko, a w 1981 roku chciano wszystko odebrać. Wbrew zaleceniom rządu tu i ówdzie próbowano rozwiązywać spółdzielnie z urzędu.

— Zgadza się. Ale w województwie łódzkim nie rozwiązano żadnej.

— A RSP Gozdów w gminie Stryków?

— Tam przez trzy lata spółdzielcy jechali na dotacjach. Nie mogli uwierzyć, że znajdą się w stanie likwidacji, że nie otrzymają wypłaty Byli nadal członkami, lecz nie chcieli pracować, nie wierzyli w likwidację. Owszem, przychodzili, podpisywali listę, kręcili się po podwórzu. I wyszło, że są 3 milionów do tyłu. Jak nie otrzymali pierwszej wypłaty od razu otrzeźwieli. Chcą pracować, chcą zostać w spółdzielni.

— Panie prezesie, w wielu spółdzielniach nie starczało dotacji na pensje, a te spółdzielnie istniały.

— No, niezupełnie tak. Ale jeśli dniówka obrachunkowa wynosiła np. 200 zł, a spółdzielcy wypracowali 50 zł, to te 150 zł dawało państwo.

— Ja myślę, że w Gozdowie chcą pracować także z tego powodu, że po rozwiązaniu spółdzielni straciliby swoje wkłady. Nie byłoby nic do podziału.

— Byłyby długi, proszę pana. Bank by stracił...

— A więc nie warto rozwiązywać słabych spółdzielni?

— Spółdzielnie często przejmowały ziemie najgorsze...

— Chwileczkę! To im się opłacało. Dostawały poważne sumy na zagospodarowanie każdego hektara.

— Ale ekonomicznie było to niekorzystne. Jak spółdzielnia miała kłopoty finansowe, to taki zastrzyk pieniężny ratował ją chwilowo. Potem trzeba było jeździć kilometrami do porozrzucanych działek. Dlatego uważam, iż dobro społeczne nakazuje, by pomagać spółdzielniom na słabych gruntach. Staramy się dla nich o pożyczki na 5 lat. No i o ulgi w zagospodarowaniu przejętej ziemi. Bo ziemi będzie przybywać. RSP Kwilno ma 500 ha, a gmina oferuje jej już 200 ha do zagospodarowania. Chłopi nie wezmą złej ziemi...

— Panie prezesie, ile ziemi posiadają spółdzielnie w województwie?

— Sześć tysięcy hektarów, V i VI klasy.

— Trochę ubyło?...

— Tę ziemię przejęli rolnicy. Tę najlepszą.

— Gdyby otrzymywali zasiłek na zagospodarowanie, braliby teraz także złą ziemię. Jeśli rolnictwo jest jedno, każdy powinien otrzymać dotację na zagospodarowanie. Ziemia nie może leżeć odłogiem.

— Zgadzam się z tym. Dlatego też nie warto rozwiązywać spółdzielni, dopóki się tej sprawy nie ureguluje. Gdyby wszystkich traktowano równo, nie byłoby konfliktów, każdy brałby ziemię tam, gdzie mu najdogodniej. Obecnie scalenia można dokonywać za zgodą całej wsi. A w Głownie np. RSP ma 140 ha w 100 kawałkach, z gospodarstw opuszczonych przez rolników lub wykupionych przez państwo. Stąd też doprowadzamy do wymiany sąsiedzkiej, spółdzielcy dogadują się z rolnikami W starych spółdzielniach ta sprawa jest już dograna, w nowych wciąż trwa. Trzeba stwierdzić, że w reformie spółdzielnie zaczynają dbać o ziemię, zabiegać o rozszerzenie areału.

— Więc jak to jest z tą samodzielnością? Prezes może odmówić przyjęcia gruntów z PFZ?

— Kiedyś na spółdzielniach ciążył obowiązek zagospodarowania każdego skrawka ziemi w gminie. Dziś ze względu na dobro społeczne jest to aktualne. Jednakże ekonomicznie nie zawsze uzasadnione. Dlatego jeśli jakiś kawałek ziemi leży daleko, trudno doń dojechać, spółdzielnia ma prawo odmówić. Przecież ten grunt może z powodzeniem przejąć sąsiadujący przez miedzę rolnik.

— Prezes RSP może dowolnie zwiększać zatrudnienie lub podnosić wynagrodzenie?

— W tej dziedzinie istnieją ograniczenia regulaminowe. Natomiast przy pracach akordowych płaci się dowolnie, ile trzeba.

— Spółdzielnia musi sprzedać państwu zboże, natomiast nie może kupić dowolnej ilości pasz.

— Ano właśnie! I tu prezes nie ma nic do gadania. Ale za to zarząd i walne zgromadzenie mogą zdecydować o profilu produkcji. Brużyca ma 1000 sztuk trzody chlewnej. Oddać zboże czy zaprzestać produkcji? Zarząd nie zgodził się na sprzedaż zboża, chce hodować świnie w oparciu o własne pasze. Podobnie w Bechcicach hoduje się na własnych paszach kury nioski, a w Dąbrówce — brojlery.

— Niektóre spółdzielnie, żeby wyjść w reformie na swoje, zaczęły nie tylko pozbywać się nadmiaru maszyn, ale także wyrzynać bydło i świnie.

— U nas podporządkowano stan pogłowia do możliwości paszowych. Np. w 26 spółdzielniach pogłowie trzody zredukowano z 9 do 6 tysięcy, a bydła z 3 tysięcy do 2400 sztuk.

— Może więc przy okazji rozwieje pan plotkę o całkowitej likwidacji bydła w Tymiance?

— RSP w Tymiance musiała przejąć obory po Spółdzielni Kółek Rolniczych.

— SKR zawaliła sprawę, a Tymianka stała się kozłem ofiarnym?

— Można to tak ująć. Zresztą nie obyło się bez nacisków z góry. Budynki były źle wykonane, zimne, ale trzeba było je zasiedlić bydłem. Wynikły z tego same straty. Nie było przyrostu na wadze, brakowało pasz, bo ziemi mało. Spółdzielcy więc opracowali nowy program. Zaniechali, albo też mówiąc dokładniej, ograniczyli chów jałówek, umieszczając je w swoim starym obiekcie. Zwiększą produkcję roślinną i jak wyjdą na swoje i zapłacą członkom, pomyślą o eskaerowskich oborach.

— Panie prezesie, w kraju setki spółdzielczych kurników zamknięto na klucz. Tu i ówdzie zaczęto się ratować, wprowadzając do kurników bydło lub świnie. O ile, rzecz jasna, była ziemia i pasza.

— Pozornie wydaje się to słuszne. Ale za kilka lat może tam wkroczyć prokurator.

— Dlaczego?

— Bydło i świnie, całkowicie zdewastują kurniki. Ponadto nie ma w nich odpowiednich warunków zootechniczno-higienicznych.

— W województwie łódzkim kurniki pracują bez przerwy?

— Spółdzielcze wszystkie. Tylko przestawiły się. W Giecznie są gęsi, w Wiskitnie kaczki, a w Dąbrówce brojlery.

— No, dobrze. A Wróblew i Kwilno?

— Tam brojlernie stoją puste, ponieważ wstrzymano budowę. We Wróblewie na 180 tys., a w Kwilnie na 120 tys. sztuk w jednym rzucie. A w roku jest pięć rzutów. Ogromne straty Bo to są zamrożone miliony, które nie dają mięsa.

— Ale to jest dowód, że w reformie nie będzie już radosnych inwestycji za 20 mln złotych

— Teraz trzeba oglądać każdą złotówkę Żeby zacząć inwestycję, żeby otrzymać kredyt, trzeba dać gwarancję, że jest się wypłacalnym Ponadto koniecznie przedstawić bankowi 20 proc środków własnych na rozpoczęcie budowy

— Jeśli w PGR zbudowano wielką oborę i teraz nie ma tam krów, bo zabrakło ziemi i paszy, to PGR nie spłaca kredytów.

— My też w tej sprawie prowadzimy rozmowy z Ministerstwem Rolnictwa Jeśli chodzi o „zamrożone' kurnik to spłatę kredytu zawieszono nam na trzy lata.

— Co dalej?

— Budowa jest zaawansowana w 50 proc., nie warto więc zmieniać projektu budynków. Zabezpieczono je, mamy bowiem zapewnienie, że za trzy lata ruszy produkcja pasz. Wtedy zakończy się budowę i rozpocznie hodowlę brojlerów.

— To się chwali, do brojlerów nikt nie ma pretensji. Ale są spółdzielnie produkcyjne, które zajmują się wyrobem wieszaków, guzików, zbijaniem skrzynek, itp. To się kłóci z szyldem, bo podstawą winna być produkcja roślinno-zwierzęca.

— U nas tak jest, proszę pana. Ale istnieje też produkcja pozarolnicza: przetwórstwo, działalność usługowa, np. budowlana lub warsztatowa. W Warszewicach, woj. skierniewickie, jest spółdzielnia rolniczo-usługowa, świadcząca usługi dla innych spółdzielni produkcyjnych. Ma swoje biuro projektowo-dokumentacyjne, grupę remontowo-budowlaną z dźwigami, zaopatruje nas w materiały budowlane. Czy to źle?

— Kraj potrzebuje żywności. Jeśli spółdzielnia wyrabia ciecz kalifornijską do oprysków, to dobrze, bo to jest dla rolnictwa. Ale jeśli grupa budowlana zarabia na pensje dla członków spółdzielni, a w polu mało co rośnie?

— To jest zło konieczne...

— Słabe spółdzielnie ratują się w reformie produkcją uboczną.

— W naszych spółdzielniach przetwórstwo owoców i warzyw, usługi stolarskie i mechaniczne stanowią margines produkcji. Ale w tej dziedzinie możemy kalkulować, ustalać własne ceny.

— A więc jest to jednak pewna rekompensata. Bo na rynku nie możecie pohandlować swoimi płodami rolnymi, sprzedać po wyższej cenie.

— Tutaj trzy „S" nie wypala, zgoda. Po prostu reformy w RSP nie można utożsamiać z reformą w przemyśle. My wszystko sprzedajemy państwu, po cenach urzędowych, a środki produkcji kupujemy bez ulg, po cenach państwowych. Produkcja uboczna wspiera nieco spółdzielnie, ale jej prowadzenie nie wynika jedynie z chęci zysku My nie zatrudniamy „sezonowców", u nas ludzie pracują przez cały rok. Brygada polowa musi coś robić w zimie. Wykorzystuje się ją w przetwórstwie, albo nawet przy zbijaniu palet

— A nie myślicie o własnych sklepach firmowych, gdzie byłyby świeże i tanie produkty?

— Myślimy, ale biorą od nas marże do 40 proc., co dla spółdzielni jest mało opłacalne Ale spółdzielnie mają swoje kioski, prowadzą obwoźną sprzedaż. Jabłek Wiskitno chce otworzyć własny sklep.

— Jak pan sądzi, czy teraz rolnicy będą wstępować do spółdzielni? No, bo jest coraz lepiej...

— W spółdzielniach jest lepiej, więc uważam, że chłopi będą widzieć w spółdzielni jakąś szansę Tym bardziej, że nie ma przymusu Kiedy jako młody mechanizator rolnictwa dostałem nakaz pracy do spółdzielni produkcyjnej w Poznańskiem, to tamtejsi chłopi, zagnani do „kołchozu", stali i śmiali się, a my, młodzi stażowcy, sialiśmy i oraliśmy.

— Chłop przyjdzie do was, jeśli zmuszą go do tego warunki. Jeśli nie dostanie maszyn, nawozów, to zapuści gospodarstwo i taki wkład nie da spółdzielni korzyści.

— Ziemia nie będzie leżeć odłogiem.

— Państwo do tego nie dopuści! Zresztą rząd deklaruje się pomagać rolnikom. A więc nie macie co liczyć na nowych członków.

— Przepraszam bardzo. Dopiero co wyszedł ode mnie prezes RSP z Dobrej. Przyjmuje niezłego rolnika, który wnosi do spółdzielni 10-hektarowe gospodarstwo.

— To gratuluję! A w ogóle to z tego co usłyszałem, wynika, że w reformie spółdzielnie stracą złą opinię. Nie będzie już przeoranego jęczmienia, zdewastowanych szklarni, nie wykopanych buraków, zgniłego siana...

— Reforma nie pozwoli na marnotrawstwo.

— To czemu w Wiskitnie zmarzło ostatnio kilkadziesiąt ton jabłek?

— Tego to ja sam nie rozumiem Uważam, że powinienem pomagać najsłabszym. A w Wiskitnie siedzą sami fachowcy, z prezesem z tytułem doktora na czele Za bardzo się wzbogacili i zaniedbali... Ale jak to wyszło na jaw, jabłka sprzątnięto w dwa dni. Posortowano, część poszła do stołówek, reszta do gorzelni.

— To były znakomite jabłka, zimowych odmian, które mogli zjeść mieszkańcy Łodzi.

— Trudno, stało się Odpowiednie władze wyciągną z tego konsekwencje. My, jako związek, zrobimy wszystko, żeby więcej nie doszło do takich przykrych historii.

— A więc powodzenia, panie prezesie!

Rozmawiał RYSZARD BINKOWSKI

Czy chłopi pokochają dzikie świnie

Czartki leżą w woj. sieradzkim, wśród lasów ciągnących się od Warty i Wynia, po Izabelów koło Zduńskiej Woli. Przyjechałam do Czartek z rodziną odpocząć. W przypadkowych rozmowach w sklepie, na przystanku autobusowym i w domach usłyszałam o dzikach To mnie zainteresowało.

Gdy któregoś dnia przyszłam do domu Nikodema i Genowefy Sędzińskich, zastałam tam ich sąsiadów: Mariannę Pawlik i Kazimierza Staniewskiego. Rozmawiano o dzikach.

— *Z dzikiem jest tak* — mówił Nikodem Sędziński — *że jeżeli nie zryje kartofli, w czasie wschodzenia, to zrobi to później, nie przepuści. Zboże straci do tego stopnia, że nawet nie można tego targusu zaorać, tylko trzeba wykosić kosą. Ani z tego ziarna, ani słomy, tylko się człowiek namęczy i natraci czasu. Nawet gdy na kartoflisku z poprzedniego roku wysieje się zboże „nie lubiane" przez dziki, np. jęczmień, to dziki i tak przyjdą ryć, widocznie czują zapach kartofli z poprzedniego roku. A jest ich coraz więcej: locha prowadzi czasem 10—15 warchlaków. Trudno ją przepędzić, bo potrafi pogonić psy, a nawet zaatakować człowieka. Jak tak dalej będzie, to w przyszłym roku chyba wszystko zjedzą.*

— *Czy człowiek może mieć siły do pracy* — powiedział po chwili namysłu — *jeśli w nocy nie śpi, bo musi pilnować pola. Nad ranem prześpi się 1—2 godziny i znowu trzeba wyjść w pole. I tak w kółko. Gdyby człowiek nie pilnował, to w ogóle nic by nie zebrał. Kółko łowieckie twierdzi, że odszkodowania wyrównują straty, ale przecież jest to tylko zwrot za zboże, a kto nam zwróci za roboty polowe, za wysiłek, za nie przespane noce?*

— *Kiedyś, gdy dzików było mniej* — dodała Marianna Pawlikowa — *siało się dużo prosa i tatarki, teraz musieliśmy porobić łąki, bo zniszczenia były stanowczo za duże.*

— *Jest stanowczo za mało odstrzałów dzików* — dodał Adam Piasecki. — *Pewnie myśliwym bardziej zależy na rozrywce, wyrwaniu się z domu, niż na prawdziwym polowaniu. Chłopu trudno się dostać do kółka łowieckiego. A przecież chłop zna dobrze teren i życie zwierzyny, rozumie szkody, które ona czyni i byłby dobrym myśliwym.*

W kilka dni później udałam się do Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Sieradzu, by poznać stanowisko myśliwych Zastałam tam instruktora, Adama Smugowskiego. Poinformowano mnie, że w województwie funkcjonują 62 koła łowieckie, w tym 28 miejscowych, do których należą — jak zapewniał mnie — także chłopi oraz 34 zamiejscowe, głównie z Łodzi i Kalisza. Każde z nich jest zainteresowane odstrzeliwaniem jak największej ilości zwierzyny, chociażby dlatego, aby zmniejszyć sumy wypłaconych odszkodowań. Jeżeli koło nie jest w stanie wypłacić odszkodowań, musi ogłosić swoją upadłość. Odstrzały zwierząt są prowadzone zgodnie z planami Wydziału Rolnictwa i Gospodarki Leśnej UW. Od sierpnia trwa okres polowań na kozły i dziki. Na moją uwagę, że jakoś nie widać polujących myśliwych, powiedział, że ten rok jest specyficzny, trudny. Najpierw, w związku z wprowadzeniem stanu wojennego, myśliwi byli pozbawieni broni. Teraz mają trudności z zaopatrzeniem w benzynę, co ogranicza wyjazdy na polowania.

Koło łowieckie ma obowiązek odstawić do punktu skupu „Las" 100 proc. odstrzelonych byków, danieli i łań, 80 proc. cieląt jeleni i danieli, 80 proc. dzików i saren, 60 proc. zajęcy. Ostatnio nawet tzw. „narogi" (serce, wątroba) myśliwi muszą oddawać do „Lasu".

— Co więc pozostaje myśliwemu?

— *Przyjemność* — usłyszałam. — *Przeżycie męskiej przygody, relaks, no i oczywiście możliwość wykupienia owych pozostających poza limitami odstrzelonych okazów.*

— Jeżeli odstrzały przebiegają zgodnie z planami, to skąd biorą się narzekania chłopów?

— *Pojemność łowisk, tzn. dopuszczalna liczba zwierząt na terenie łowiska, została przekroczona. Dokonano korekty planów w kwietniu bieżącego roku. Koła łowieckie muszą je wykonać.*

— A chłopi?

— *Może przyzwyczaili się utyskiwać. Szkody łowieckie były, są i będą, mimo wysiłków kół. Zresztą, myśliwi mają także uzasadnione żale do chłopów o niszczenie urządzeń łowieckich, kłusownictwo, zwłaszcza wnykarstwo. Myśliwi z tym walczą i to także jest przyczyną niechęci chłopów do nich.*

Na pytanie, jakie korzyści mają chłopi z tytułu dzierżawienia ich pól przez koła łowieckie, usłyszałam, że koła łowieckie płacą po 30 gr za każdy dzierżawiony hektar rocznie (na jednego myśliwego przypada 300 ha). Sumy te trafiają do UW, a stamtąd do urzędów gmin i naczelnicy winni je przekazywać chłopom.

— *Ale jest to sprawa powikłana* — powiedział Smugowski.

Ze starszym inspektorem do spraw leśnictwa w Urzędzie Wojewódzkim w Sieradzu, Kazimierzem Grobelnym, spotkałam się dopiero po kilku dniach.

— *Ostatnio dzików jest bardzo dużo. Nie tylko w Polsce, lecz w ogóle w Europie, nastąpił swoisty wyż zoologiczny tego gatunku zwierząt. Lochy o 2—3 lata wcześniej niż dawniej dojrzewają hormonalnie, wzrosła ich płodność. Intensywne cięcia lasów w rejonie Jeziorska, jak też w Piotrkowskiem, w okolicy Bełchatowa spowodowały przemieszczenie się zwierzyny w lasy podsieradzkie. Stan liczebny zwierzyny grubej znacznie przekroczył pojemność łowisk W świetle inwentaryzacji z marca br., liczba dzików wynosiła wraz z przewidywanym przyrostem — 1394 szt., wobec pojemności łowisk, wynoszącej 333 szt., stąd też plan odstrzału ustaliliśmy na 1028 szt.*

Racjonalnie opracowany i wykonany plan daje efekty, ale dzik często wymyka się planom. Niepokojony przez wyręby lasów, wycieczki, zbieracy runa leśnego, zakradających się chętnie do ostoi zwierzyny, dzik wędruje w poszukiwaniu miejsc cichych i bogatych w pożywienie. Niszczy pola uprawne, często nawet odległe od lasów. Niekiedy stado dzików potrafi nocą przenieść się o 15 20 km.

Skargi chłopów, których ostatnio było szczególnie dużo, nie są, generalnie rzecz biorąc, przesadzone. Brak żywności w kraju, pasz w gospodarstwie chłopskim powoduje zwiększoną troskę chłopów o zbiory. Chłopi postulowali m.in. grodzenie lasów ale przy ich rozdrobieniu w naszym województwie jest to środek wątpliwy. Zresztą sami chłopi nie potrafią wskazać, gdzie należałoby stawiać ogrodzenia. Okręgowy Zarząd Lasów dysponuje pieniędzmi na opłacenie stróżów nocnych. Chłopi mieli zgłosić kandydatów. Ale nie zrobili tego. Każdy pilnuje sam. Wprowadziliśmy także inne rozwiązania. Poszczególne koła łowieckie będą, inaczej niż dawniej, płaciły odszkodowania. Tylko za szkody wyrządzone przez zwierzynę w ich obwodzie. To powinno zmobilizować do skrupulatnego wypełniania planów. Dopingujemy także koła łowieckie do systematycznego dokarmiania zwierzyny, by ją przytrzymać w lesie. Decyzją wojewody zwiększone zostały o 50 proc plany pozyskiwania dzików. Skrócony został także o jeden miesiąc okres ochrony loch Wypłacanie odszkodowań chłopom jest rozwiązaniem wątpliwym. Nastręcza też wiele trudności, mimo iż chłopi znają terminy szacowania szkód przez leśniczych i myśliwych. I chłopi, i leśnicy tracą na to wiele czasu Leśnicy, szacujący szkody bezpłatnie, czynią to niechętnie, gdyż w interesie lasu leży, by nie wchodzili w konflikty z chłopami. Jeżeli chłop kwestionuje oszacowaną wysokość szkód, może odwołać się do naczelnika gminy, którego decyzja jest ostateczna. W sumie odwołań jest jednak mało.

Opuściłam gmach UW w Sieradzu nieco uspokojona. Mimo to wciąż tkwi mi w pamięci obraz zmęczonych rolników, ciągnących wieczorami na pola, uzbrojonych w karbid, młotki i uwiązane na sznurkach kawałki żelaza.

Czy chłopi pokochają dzikie świnie?

JADWIGA ŁUŻYŃSKA-DOROBOWA

Nie bronię propagandy, ale...

Anna Matałowska i Witold Pawłowski dzieląc się refleksjami ze spotkania wicepremiera M. F. Rakowskiego z autorami listów do rządu napisali w „Polityce":

„Tylko w trzech tematach nastąpiła zgodność poglądów:

— rozliczenia prominentów, że zbyt powolne i łagodne;

— biurokracji, że się pleni po staremu, a obiecano rozprawę;

— modelu propagandy, że kaznodziejski i traktujący ludzi jak głupków, nie przystający do stanu świadomości społeczeństwa":

To dobrze, że choć w czymkolwiek się zgodzono. Ale o modelu propagandy dyskutuje się już od wielu lat na każdym zakręcie przy każdej okazji i bez okazji. I co z tego? Minie jeszcze kilka lat, a obawiam się, że pretensje dotyczące propagandy pozostaną. Moja obawa bierze się bowiem z podejrzenia, że zgodność w krytyce modelu propagandy jest... pozorna. Nie podobał się ona ludziom z różnych powodów. Przecież sam fakt zorganizowania spotkania wicepremiera M. F. Rakowskiego z autorami listów do rządu wywołał różne i także często sprzeczne opinie. Jedni dostrzegli tylko, że Rakowskiemu dołożono, inni, że Rakowski kiwał palcem, a mało kto zauważył, że był to przegląd stanu świadomości społeczeństwa, mało kto dostrzegł polityczny sens tej inicjatywy.

Spotkałem się niedawno z poglądem, że warto byłoby wrócić „Trybuny Obywatelskiej". Uważam, że wracanie do form, które z tych czy innych powodów zostały odrzucone lub się przeżyły, nie ma sensu. Trzeba szukać raczej innych, nowych form kontaktu ludzi u władzy z ludźmi rządzonymi. Z drugiej jednak strony trudno byłoby zarzucić, że czegoś takiego się nie robi. Niedawno w „Porannych sygnałach" wystąpił wicepremier Roman Malinowski i rozmawiał ze słuchaczami na tematy związane z rolnictwem. „Poranne sygnały" stale zapraszają urzędników ministerstw, działaczy ministrów, przedstawicieli różnych organizacji społecznych dając tym samym możliwość telefonicznego kontaktu słuchaczy z ludźmi sprawującymi władzę lub tej władzy służącymi.

Telewizja zaprasza różne osoby sprawujące władzę do wypowiedzenia się w sprawach interesujących telewidzów. „Łódzkie Wiadomości" prezentują w odcinkach wypowiedź ministra Władysława Baki na temat zmian w reformie gospodarczej. Korzystają z każdej bytności w Łodzi kogoś z centrali, aby zaprezentować go telewidzom. Inna rzecz czy robią to dobrze. Czasem pytania są banalne, czasem odpowiedzi wymijające. Ale to inna sprawa.

Telewizja wpadła w fatalną manierę stawiania pod ścianą albo pod jakąś gablotą kilku osób i imitowania rozmowy z nimi. Sztuczne to i do nikogo nie przemawia. Nie wiem dlaczego zrezygnowano z prezentowania fragmentów wypowiedzi toczących się dyskusji, jeśli takie są. Jeśli tylko dlatego, że telewizja nie dysponuje wystarczającą ilością taśmy, to dziękuję. Więcej pytań nie mam. Skoro nie ma zimy, nie ma o czym mówić. Ale to mimo wszystko nie zwalnia od myślenia. Brak ulotności w telewizji widać aż nadto jaskrawo. Jeśli telewizja chce przekonywać, musi to robić w sposób jak najbardziej autentyczny. Wypowiadanie się nigdy nie zastąpi dyskusji. A choćby spotkanie u M. F. Rakowskiego wykazało, że jest sporo spraw do dyskusji.

Nie bronię obecnego modelu propagandy, bo zgadzam się, że jest on zły. Ale wolałbym rozmawiać o konkretach, zamiast narzekać tak w ogóle. Ze stwierdzenia, że coś jest złe nie wynika jeszcze tak to naprawić, co zmienić, co odrzucić a co ulepszyć. Odbiorcy powinni wyraźnie, konkretnie powiedzieć, co im nie odpowiada i czego oczekują. Dopiero takie stwierdzenie może być podstawą do dyskusji.

Zgadzam się na przykład z zarzutem, że wiele sprawozdań i komunikatów jest zbyt ogólnikowych, że odbiorca niewiele może się z nich dowiedzieć. Ale tu też warto być konkretnym. Oto przykład.

W „Sztandarze Młodych" z 19—21 listopada 1982 roku ukazało się sprawozdanie Marka Truszkowskiego zatytułowane: **„Jak udzielać kredytów • MM • Konsultacja ministra A. Ornata z młodzieżą w łódzkim FENIKSIE"**. Ze sprawozdania tego dowiedziałem się — a sądzę, że i inni czytelnicy również — że minister Andrzej Ornat spotkał się z członkami **ZSMP i młodą częścią załogi" ZPP Feniks"** i że „spotkanie poświęcone w zasadzie problemom socjalno-bytowym młodego pokolenia, systemowi kredytów • MM • i różnym formom szybszego uzyskiwania mieszkań przez młodych miało jakby dwa oblicza". To pierwsze to była informacja ministra A. Ornata „o płacach (chyba o pracach? — **L.W.) Komitetu Rady Ministrów d.s. Młodzieży"** i o działaniach Biura RM do spraw młodego pokolenia. Ze sprawozdania konkretnie dowiedziałem się, że się przygotowuje różne ciekawe projekty oraz że „optymizmem może napawać fakt, iż już w 22 województwach przy organach administracji istnieją Zespoły d.s. Młodzieży". Czy działają i jak działają — tego nadal nie wiem. Mniejsza zresztą o to.

Drugie oblicze tego spotkania, to była owa zapowiedziana konsultacja. Marek Truszkowski tak ją prezentuje:

„W kwestii • co robić dziś z tym fantem •, szuka się odpowiedzi na pytanie, czy zamrozić wydawanie kredytów na okres np. 10 miesięcy, czy wydłużyć okres ich wykorzystania do 24 miesięcy, czy też zostawić wszystko tak jak jest. W sprawie: kiedy przydzielać kredyty, odpowiedzi szuka się pomiędzy koncepcją ich pozostawienia w obecnym kształcie, przydzielania jedynie po otrzymaniu mieszkania (bądź w dwóch ratach, przed otrzymaniem i po), lub też przydzielania wszystkim bez różnicy po otrzymaniu mieszkania. Jaki sprzęt przydzielać czy importowany, czy tylko podstawowe artykuły, i jaką pulę: po 20 czy więcej procent; jak kredytować młodych rolników i rzemieślników?".

Koniec. Kropka. A co na te pytania odpowiedzieli **„członkowie ZSMP i młoda część załogi"** ZPP „Feniks" w Łodzi? Jakie mieli zdanie? Jakim koncepcjom skłonni byli przyznać swoje poparcie? Cóż to więc za relacje z konsultacji, w której nie ma racji tych, z którymi konsultowano? Czyż ich głos zupełnie się nie liczy? Wobec tego po co konsultacja? A może konsultacja była i dała wiele do myślenia ministrowi Andrzejowi Ornatowi, tylko sprawozdawca nie spełnił swojej roli? Nie wiem. Ale wiem, że nic nie dowiedziałem się ze sprawozdania ze spotkania w ZPP „Feniks", które miało być konsultacją.

Dialog rozumiem jako rozmowę dwu stron na określony temat, w wyniku której dochodzi się do wspólnych stwierdzeń. Wspólnym stwierdzeniem może być też przekonanie obu stron, że nie są w stanie się porozumieć, gdyż dzieli je wielka różnica poglądów i stanowisk. Ale też w wyniku dialogu można dojść do przekonania w jakich sprawach można się porozumieć, dojść do przekonania w jakich sprawach można się porozumieć, dojść do zbieżności punktów widzenia i stanowisk a w jakich nie. W tym dialogu przedstawiciele różnych szczebli władzy i administracji muszą mieć możliwość przemawiania do różnych grup społeczeństwa. Ale z drugiej strony również i różne grupy społeczeństwa chcą mieć pewność, że ich uwagi, zastrzeżenia, poglądy trafiają pod właściwy adres. Stąd być może i tęsknota za telewizyjną „Trybuną Obywatelską" albo i innymi formami takiego właśnie dialogu dającego gwarancję, że ludzie sprawujący władzę dowiadują się o różnorodnych sprawach nurtujących rządzonych i odpowiadają na nie. Problem więc w tym, jak relacjonować dialog — odbywający się przecież w bardzo różny sposób i na różnych szczeblach społecznej struktury.

Tak się złożyło, że akurat 18 listopada 1982 r. obradowała Egzekutywa KŁ PZPR a temat jej obrad był bardzo podobny do tematu konsultacji ministra Andrzeja Ornata z młodzieżą w ZPP „Feniks". Egzekutywa oceniała stopień realizacji uchwały IX Plenum KC PZPR, ale w dyskusji sporo mówiono o warunkach startu i życia młodego pokolenia. Postanowiono na przykład zwrócić się do członków partii, delegatów na zbliżający się Walny Zjazd Spółdzielczości Mieszkaniowej z wnioskiem, aby na pewien czas zawiesić dotychczasowy sposób przydzielania mieszkań tylko według miejsc zajmowanych na liście i w połowie przynajmniej wziąć pod uwagę warunki mieszkaniowe oczekujących na mieszkania. Dotyczy to w znacznej mierze młodych małżeństw. Jaki będzie los tego wniosku, zadecyduje o tym Zjazd Spółdzielczości Mieszkaniowej, ale sprawa — choć dyskusyjna — bardzo istotna. O tym w sprawozdaniu opublikowanym w „Głosie Robotniczym" nie ma ani słowa.

Pominięcie tej kwestii w sprawozdaniu, jak i dyskusji nad sposobem kredytowania młodych małżeństw może spowodować u czytelników błędne wrażenie, że Egzekutywa KŁ PZPR zajmuje się tylko sprawami „wielkiej polityki", pomijając inne, którymi żyją mieszkańcy Łodzi. A tak nie jest.

Na posiedzeniach Egzekutywy KŁ PZPR dochodzi nieraz do szerokiej wymiany poglądów, są prezentowane różne stanowiska w omawianych sprawach. Członkowie Egzekutywy, którzy pracują w zakładach pracy, prezentują poglądy swoich organizacji partyjnych i załóg. Przed przyjściem na posiedzenie Egzekutywy konsultują z przedstawicielami organizacji partyjnych i załóg temat, jaki ma być przedmiotem rozważań. Tak było i na ostatnim posiedzeniu. Interesujące były wypowiedzi Moniki Szcześniak (ZPB im. F. Dzierżyńskiego), Henryka Garusa (ZPB im. J. Marchlewskiego), Henryka Jodelisa (ZPW im. A. Struga). Ciekawie na problem realizacji uchwał IX Plenum KC PZPR spojrzał Jerzy Marczewski (Zł. ZSMP). Sądzę, że w sprawozdaniach z obrad Egzekutywy KŁ PZPR warto częściej cytować takie wypowiedzi, przedstawiać różne poglądy wyrażane w dyskusji przed przyjęciem wniosków. Uważam bowiem, że zarówno członkowie tych organizacji, do których należą członkowie Egzekutywy, jak i załogi, a również inni ludzie są ciekawi tego, co dzieje się na posiedzeniach Egzekutywy, jakie tam poglądy i postawy przedstawiają ich reprezentanci.

Przytoczone tu przykłady nie rozwiązują całości zagadnienia, jakim jest model propagandy. Ale jeśli ten model budzi różne zastrzeżenia, jeśli się uważa, że nie odpowiada poziomowi świadomości społecznej, to samo takie stwierdzenie nie stanowi jeszcze dostatecznej podstawy dla jego zmiany. Taka zmiana musi dotyczyć konkretnych spraw i nie dana będzie z góry, ale musi być realizowana przez tych, którzy nie tylko o modelu propagandy decydują, ale i również przez tych, którzy propagandę realizują w swojej codziennej pracy. Nowych form i metod nie można zadekretować, trzeba je po prostu tworzyć w praktyce. Wszystkiego też od razu, za jednym zamachem, się nie zmieni.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

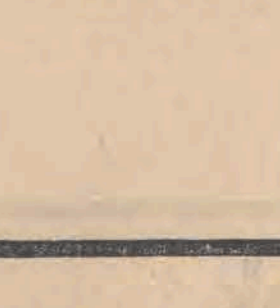

Lewica i... „lewica"

Z ogromnym zadowoleniem skonstatowałem, że Edmund Tulko autor „Zapisków współczesnych" — niezmiernie interesującej stałej pozycji „Dziennika Łódzkiego" — uznaje sens posługiwania się terminami „lewica — prawica" (w art. z 4 listopada br.). Jestem również zdania, że ta „klasyczna" terminologia zachowuje do dziś swoją ważność i użyteczność. Podejrzewam nawet, że niejeden z tych, co twierdzą, że pojęcie lewicowca (lub komunisty) niczego już konkretnego nie oznacza, nie głosi tego z sympatii do lewicy, lecz po to, by wprowadzać zamęt i dezorientację wśród tych, których nie kocha, a w głębi duszy wie doskonale „w co jest grane".

W tej nieco wyjściowej kwestii jesteśmy więc z Edmundem Tulką zgodni, zdumiały mnie jednak przykłady, na które się powołał. Prawda, że miał arcyskromne możliwości wyboru, pomimo tego nie pojmuję, dlaczego za ugrupowania reprezentatywne dla obecnej polskiej lewicy uznał „Rzeczywistość", „Grunwald" i wreszcie „Barwy", które ulokował na skrajnie lewym skrzydle. Zawiera to (mimowolna, jak sądzę) sugestię, że ktoś, kto uważa się za komunistę, powinien się z orientacją wymienionych środowisk solidaryzować i taką opinię o lewicowości może wyrobić sobie każdy, kto się do niej nie poczuwa. A przecież nieobojętne jest takie wyobrażenie o lewicy, ma przecież „niezaangażowany" obywatel, dla którego lewicowa ideologia jest bajką o żelaznym wilku.

Otóż moim zdaniem, jeśli za wyróżnik lewicowości uznać opowiadanie się po stronie socjalistycznych klasowych struktur państwa i za socjalistycznym modelem społeczno-gospodarczym to — zgoda. Nie sposób odmówić wymienionym ugrupowaniom (czy środowiskom) tego rodzaju poglądów przynajmniej w tym zakresie z jakim miałem możność się zapoznać. Jeśli się mylę, to tym gorzej dla lewicowości omawianych tu orientacji.

Ale klasowy punkt widzenia na sprawy społeczne, choć ma podstawowe znaczenie, to jeszcze, moim zdaniem, jako patent na lewicowość nie wystarcza. Według mojego poglądu (tak się składa, że zgodnego z marksizmem) nieodłącznym składnikiem klasowości jest ideologia internacjonalistyczna. A jak wynika choćby z przygodnych lektur publikowanych artykułów czy deklaracji nie jest to problematyka szczególnie bliska przedstawicielom wymienionych przez red. Tulkę „firm", przytłumia ją bowiem lub nawet pośrednio przekreśla fascynacja problematyka „narodowo-patriotyczna" i zagadnieniami „tożsamości narodowej". Na mnie osobiście problem „tożsamości" sprawia wrażenie psychozy, jakiejś irracjonalnej obsesji, że ktoś na ową „tożsamość" dybie, choć nie wiadomo dokładnie kto i — po co. Być może to taki straszak, żeby wymusić wewnątrzorganizacyjną konsolidację szeregów przed zagrożeniem ze strony jakiejś „rozmiekczającej" konkurencji. Lek wypływający z braku racjonalnych argumentów, który zawsze obcy był marksistom, ufnym w siłę rozumu.

Może zbyt pochopnie wrzucam do jednego worka trzy różniące się i bodaj nawet konkurujące ugrupowania, ale szukam wspólnego mianownika dla emocji i postaw „narodowo" zorientowanego socjalizmu, które, stymulując nacjonalistyczne odruchy niechęci wobec ludzi innych nacji, ras a niekiedy wyznań są nie do pogodzenia z międzynarodową solidarnością ludzi pracy, czyli po prostu z ich klasowym interesem. Większość poddaje się tym mitom, nieliczni nimi manipulują. Tak więc, jak mniemam, lewica, która daje sobie wmówić rzekomą sprzeczność pomiędzy internacjonalizmem a patriotyzmem sama podcina klasową gałąź, na której siedzi, popełnia ideowe i polityczne samobójstwo, na co nie brak przykładów w historii dawniejszej i najnowszej.

Kto nie czytał świetnego skądinąd artykułu Edmunda Tulki poświęconego w istocie sprawom tolerancji, mógłby teraz niesłusznie pomyśleć, że powołał się on na wspomniane przykłady w intencji pozytywnej. Przeciwnie, podał je dla wykazania szkodliwości nietolerancji. I w tej kwestii znów byliby śmy zgodni. Chodzi mi bowiem o to, że w pluralistycznym ze swej istoty społeczeństwie (a zwłaszcza w istniejących warunkach rozwarstwienia społecznego) utrzymywanie się dezorientacji w sprawie lewicowości źle służy marksistowskiej lewicy, której odpowiedzialność jest dziś u nas większa niż kiedykolwiek.

JERZY KWIECIŃSKI

Światła we mgle

Pierwsze w tym sezonie premiery teatralne pozwalają sądzić, że niemoc artystyczna łódzkich scen powoli mija i że pokonanie jej bliższe jest niż dalsze. Poprawna, choć niezbyt jeszcze błyskotliwa inscenizacja „Dam i huzarów" w Teatrze Nowym, interesujące przedstawienie „Szewców" na scenie Teatru Powszechnego, znakomity spektakl jakim jest „Zdziczenie obyczajów pośmiertnych" na Małej Scenie Teatru im. Jaracza, niemal nienagannie zrealizowana „Gałązka rozmarynu", której premiera odbyła się niedawno w tym samym teatrze, atrakcyjny „Cesarski słowik" w Arlekinie i „Panna Tutli-Putli" w Pinokio są ciekawymi jaskółkami nadchodzącej teatralnej wiosny. Teatr łódzki — obym tylko nie „zapeszyła" jego bliższej i dalszej przyszłości — zdaje się wychodzić z głębin tak ostro rysującego się w minionym sezonie kryzysu. Jeśli nawet nie stanął on jeszcze zbyt mocno na nogach, jeśli jego aktualna kondycja wciąż nie dorównuje wspomnianym ze łzą w oku „tłustym latom" naszych scen to przecież mamy już zapowiedzi powrotu do zdrowia łódzkiej Melpomeny, pierwsze nieśmiało rysujące się oznaki jej wejścia w okres rekonwalescencji.

Pełni troski o kondycję teatru winniśmy być oczywiście zawsze, do czego obliguje nas z jednej strony jego miejsce w kulturze, z drugiej zaś fakt, iż właśnie teatr jest szczególnie skłonny do wszelkich niedyspozycji i nader często zapada na rozmaite choroby: bo to albo współczesnej dramaturgii mu brakuje, a to znów z częstotliwością i jakością inscenizacji klasyki nie jest w nim najlepiej, zapomina on też często o niezbędnym dla jego zdrowia obowiązku kontynuowania wielkich i pięknych tradycji i nie zawsze pamięta o konieczności stałego podnoszenia jakości działań wszystkich swych twórców. Myślę jednak, że bardzo potrzebna jest mu nasza wiara w sens tych wysiłków, które podejmuje on sam z myślą o sobie i o nas. Myślę też, że ta jego własna inicjatywa jest najważniejsza i żadnymi innymi zastąpić się jej nie da. Te inne, rodzące się obok teatru, mogą jedynie wspierać go i wspomagać w realizacji zamierzonych przedsięwzięć.

Nie twierdzę, że bliski wydaje mi się dzień, w którym ponownie szczycić się będziemy prawdziwą tężyzną działających w Łodzi teatrów dramatycznych, ale też w niezbyt odległej perspektywie jawi mi się chwila, w której na tyle podniesie się on ze swej niedawnej niemocy byśmy mogli spuścić na nią zasłonę niepamięci i z podniesionym czołem stanąć w szranki z innymi ośrodkami teatralnymi. Bieżący sezon teatralny dopiero niedawno się zaczął, każda ze scen zaprezentowała po jednym spektaklu, więc mój dzisiejszy naprawdę bardzo ostrożny optymizm jest być może przedwczesny. Jakieś zawsze przecież możliwe teatralne klęski — jeśli na dodatek miałyby liczebną przewagę nad równie możliwymi zwycięstwami — mogą zachwiać nim i raz na zawsze nakazać widzenie wszystkiego w mglistej perspektywie. Dziś jednak wydaje mi się ona jaśniejsza i dla mnie nieco wyraziściej rysuje się w niej przyszłość teatralnej Łodzi niż widzi ją Jerzy Panasewicz.

Podobnie jak mój wielce przeze mnie ceniony kolega pełna jestem troski o artystyczne oblicze działających w Łodzi teatrów dramatycznych. Towarzyszy mi również świadomość społecznego charakteru sztuki teatralnej, podzielam też jego pogląd, iż swą pełnię sztuka ta uzyskuje dopiero w kontakcie z widzami, a bez nich po prostu nie istnieje. Czy jednak winna ona aż tak dalece jak sugeruje to Jerzy Panasewicz poddawać się presji — niewyrobionych gustów części publiczności i rezygnować zarówno z własnych ambicji artystycznych jak i z wyraźnego zamiaru sublimowania tych upodobań, czy — nawet w dobie wprowadzania reformy gospodarczej — musi kierować się głównie względami ekonomicznymi i za jedyny swój obowiązek uznać wypełnianie teatralnych sal, tego nie jestem pewna, podobnie jak nie wydaje mi się, by z faktu, iż publiczność łódzka nie „głosowała nogami" na ambitne i dobrze zrobione przedstwienia takie choćby jak zaprezentowane w ubiegłym sezonie „Wielkanoc" Strindberga wolno było czynić zarzut teatrowi. Teatr nasz obarczony wieloma obowiązkami wobec widza ma bowiem również prawo oczekiwać, że widz świadom jest swoich obowiązków wobec teatru, ma prawo liczyć na aktywność intelektualną odbiorców swej sztuki, na gotowość emocjonalnego współudziału w tworzeniu swej sztuki tych, którzy mienią się być jego partnerami i współtwórcami.

Propozycja utrzymywania w repertuarze łódzkich teatrów ambitnych przedstawień jedynie dla „honoru domu" zawiera w sobie niebezpieczną sugestię ograniczania się na codzień do realizacji mniej ambitnych i będąc jednoznaczną z sugestią rezygnacji z przedsięwzięć trudniejszych w odbiorze, wskazuje pójście na łatwiznę.

Sztucznie z niewiadomych powodów podtrzymywanym złym mitem jest twierdzenie jakoby widz łódzki zdecydowanie i niekorzystnie odróżniał się od widza w innych ośrodkach teatralnych. Sąd taki obraża jego wrażliwość, której dowody dawał on wielokrotnie. Repertuar rozrywkowy lubi publiczność całej Polski, „Motor" wszędzie rozchodzi się szybko, a „Przyjaciółki" równie chętnie czytywanej w innych miastach, Łódź najwięcej otrzymuje z tego zapewne powodu, iż jest miastem o najwyższym procencie pracujących kobiet. O wrażliwości łódzkiego widza mówią wyniki plebiscytów i konkursów. Jeśli najpopularniejszym w Łodzi spektaklem (a zatem najwyżej ocenionym przez naszą publiczność) okazał się ongiś zaiste wysmakowany „Lekarz mimo woli", jeśli do ostatniego dnia eksploatacji „Vatzlava" wypełniała się widownia Teatru Nowego, jeśli dziś jeszcze teatr ten zasypywany jest pytaniami o „Uciechy staropolskie", jeśli gromkimi brawami nagradzano każde przedstawienie „Pamiątek Soplicy" i „Tranatlantyku" to widzowi łódzkiemu należy pogratulować gustu.

Fakt, że publiczność łódzka płakała na „Betlejem polskim" dowodzi przede wszystkim świeżości i prostoty jej uczuć, ale prostota nie oznacza prostactwa, a wobec takich powszechnie przecież znanych dowodów, jeśli nawet nie wyrobienia artystycznego to wrażliwości i intuicji dziwi mnie Jerzego Panasewicza wołanie o rezygnację z lotów górnych i poruszanie się w niższych warstwach dramaturgii i inscenizacji.

Każdemu wydać się musi słusznym postulat pracy od podstaw. Wielce racjonalne i potwierdzone przez historię jest przekonanie, że piramidę buduje się od dołu. Podzieliłabym je w pełni, gdyby nie to, że kołacze się we mnie myśl, iż być może w sztuce (tak zwłaszcza ulotnej jaką jest teatr) można też „zacząć od dymu z komina". Myśl tę gotowa jestem zagłuszyć bo najzupełniej przekonuje mnie idea edukacji teatralnej naszego widza. Tę istotnie należy prowadzić zawsze. Najprościej i najłatwiej obowiązkiem skonstruowania takiego repertuaru, który byłby programem kursu wiedzy o teatrze i dramacie byłoby obarczyć (choćby w drodze administracyjnego nakazu) jeden teatr. Najtrudniej byłoby nakłonić „niewyrobionych" widzów, by na kurs taki chodzili regularnie rezygnując „póki co" z bywania w innych teatrach, ale widzowie mają święte i jak to się dziś mówi „niezbywalne" prawo chodzenia gdzie chcą, na co chcą i kiedy chcą. Rzeczywiście konieczna edukacja widza jest zadaniem bardzo trudnym. Każdy łódzki teatr realizuje je na swój sposób. Większość świadoma odwrotnych niż zamierzone skutków zbyt natrętnego dydaktyzmu, czyni to dyskretnie, jeden we wszystkim „idzie na całość", ale całość jego dokonań wielkim głosem woła o pomstę do nieba. Mam na myśli Teatr im. Tuwima. Nie podzielam niestety poglądu Jerzego Panasewicza, że rok działalności kierownika artystycznego przy zastrzeżeniu niedokonywania zmian w zespole nie pozwala na rzetelną ocenę poczynań teatru, ani też opinii, iż „w ciągu roku podobnie ambitnych zamierzeń nie zdołałby zrealizować nikt, nawet niezłomny ksiądz Kordecki". Znam bowiem dyrektora (przez kilka niedawnych sezonów mieliśmy go w Łodzi, nie jest księdzem Kordeckim, nazwisko z sześciu liter), który dokładnie w tym samym czasie zrealizował co najmniej równie ambitne zamierzenia w niedobrym przed jego przyjściem teatrze i który podobnie jak dyrektor Teatru im. Tuwima w owym pierwszym sezonie jedynie uzupełnił zespół. Porównanie to jest może pozbawione sensu, ale samo wcisnęło mi się pod sprowokowane pióro.

Jerzy Panasewicz Teatrowi im. Jaracza czyni zarzut z faktu, iż publiczność nie chodzi na Strindberga. Teatr Powszechny niezbyt mile zdumiewa go sięgnięciem po „Wesele" i „Szewców" i scenie tej radzi by „zdecydowała się na określony krąg publiczności", a zatem na wybór widza, choć wie, że to widz dokonuje wyboru i na ogół wybiera sztukę, a nie teatr. „Mgliste perspektywy..." sugerują czytelnikowi, iż na tle bezradnych i niekompetentnych w tworzeniu repertuaru i w jego realizacji oraz w edukacji widza jedynie Teatr im. Tuwima zasługuje na miano ambitnego, adekwatnego i kompetentnego. Upraszczam tu swoją interpretację pojedynczych sformułowań i całego tekstu, ale zarówno obecny kształt artystyczny tego teatru, jak i linia jego szlachetnej obrony jakiej podjął się Jerzy Panasewicz obronić się nie daje. W żaden niestety sposób.

Perspektywy teatralnej Łodzi wydają mi się mniej mgliste także i dlatego, że obok podejmowanych przez teatry samodzielnych działań zmierzających do wyjścia z kryzysu, więcej uwagi i troski poświęcają też łódzkiej Melpomenie władze naszego miasta. Przykład „pierwszy z brzegu": zapewne stosunkowo najłatwiej byłoby im podjąć decyzję o likwidacji tak ewidentnie i bezprzykładnie złego teatru jakim w powszechnym przekonaniu jest Teatr im. Tuwima. Łatwo byłoby uzasadnić taką decyzję względami artystycznymi i ekonomicznymi (nie procentują artystycznie inwestowane w ten teatr pieniądze). Ze zdumiewającą doprawdy cierpliwością, nadzieją, optymizmem i wiarą, że uda się uratować to, co niejednemu z nas wydaje się stracone, szukają one rozwiązania problemu tej sceny. Dyskutowana ostatnio nowa dla niej formuła „teatru impresaryjnego" to eksperyment niosący znaczny procent ryzyka. Ale w każdym eksperymencie, w tym także, kryją się szanse powodzenia, które przyrównać można do nikłego światełka we mgle.

Podobnych świateł w rozrzedzającej się już nieco mojm zdaniem mgle nad teatralną Łodzią widać więcej. Czy nie okażą się one mylące, czy łódź naszej Melpomeny znów nie osiądzie na mieliźnie pokaże — jak zwykle — czas. Fakt, iż ku stałemu lądowi zmierza ona bardzo ostrożnie i rozważnie, pozwala żywić nadzieję...

EWA PANKIEWICZ

Tylko dla sympatyków Jana Serce!

Szambonurek czyli prawda o kanałach

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Tego jeszcze w naszych rodzimych serialach nie było: główny bohater nie jest ani sprytnym oficerem milicji, ani dziennikarzem zwiedzającym cały świat, ani architektem czy choćby zwykłym pracownikiem naukowym. Żeby było egzotycznie — „robi w kanałach" Sentymentalny dobroduszniak, życiowy niedorajda w kontaktach z płcią odmienną, do przesady prawy i szlachetny, z tych co to „do rany przyłóż". Ów Jan Serce (trzeba przyznać, jedna z lepszych ról Kazimierza Kaczora) to jest na ekranie taki dobry, ale już taki dobry, że płakać się chce I spora grupa pań zasiada zapewne z chusteczkami przed telewizorem w niedzielne wieczory. Tylko te kanały... Wieje z małego ekranu jakby brakiem autentyzmu, cała brygada z Sercem na czele traktuje swą robotę dosłownie śpiewająco, no taka to lekka i przyjemna praca, po prostu — palce lizać!

Zauważywszy niespodziewanie dwa barakowozy z napisami „PWiKOŁ" na drzwiach, zahamowałem ostro, aż z tyłu rozwały się klaksony zdezorientowanych kierowców. „Ano sprawdźmy jaka to sympatyczna robótka w tych kanałach" — pomyślałem i bez żenady wtargnąłem do pierwszego z brzegu baraku na kołach.

Gdy tylko zacząłem tłumaczyć cel swej wizyty, na twarzach kilku siedzących przy długim stole mężczyzn w „kufajkach" spostrzegłem kpiące uśmiechy.

— Kochany, toż te wszystkie niemal kanałowe sceny były u nas kręcone — nie wytrzymał pierwszy starszy majster Wojciech Stankiewicz. — Śmiesz nie to wygląda, choć telewidz nie ma pojęcia, ale właźą ci od Serca do kanału w Łodzi przy Milionowej, a wychodzą (na filmie) przy Pałacu Kultury w Warszawie...

— Byliśmy cały czas za kanałowych konsultantów — wtrąca brygadzista Tadeusz Piech, zresztą w wielu scenach, czego rzecz jasna na filmie nie widać — stoimy tam z tyłu, w głębi i podpowiadamy jak się zachować. Śmiechu było co niemiara, ten Kaczor martwił się czy ma dobry, znaczy się autentyczny ubiór, a Himilsbach tym swoim kapitalnym głosem tylko się pytał: — Gdzie ja mam kurwa, tą taczką jeździć?!

I sypią mi szczegółami, które uwadze laika uciekną, ale ich śmieszą i denerwują. Dogryzają potem znajomi z firmy: „— To co stary, śniadanka się w kanale jada"?. A przecież to fikcja, bzdura. Nikt nigdzie w podziemnych korytarzach stolików z serwetką i jedzonkiem nie rozstawia, grzałką elektryczną też wody na herbatę nie podgrzejesz, bo tam po prostu kontaktów nie ma.

Jak się już głównych bohaterów w taki zawód „ubiera", to nie można ich

„WPUSZCZAĆ W KANAŁ"

Moi rozmówcy tłumaczą mi poirytowani:

— Panie, są pewne podstawowe, niepodważalne zasady w tym fachu, których ze względów bezpieczeństwa zawsze się przestrzega. Serce z kompanami zawsze w czwórkę schodzą na dół, a to niemożliwe, zawsze drugie tyle musi być na górze. Czyli powinno prawidłowo dwóch pracować, a dwóch ich asekurować. A zejście pojedynczego pracownika w ogóle jest niedopuszczalne.

— Na to już nie mieliśmy żadnego wpływu, bo to nie przy nas kręcono, ale pamięta pan, jak Serce siedzi na krawędzi włazu, nogami fajta i papierosa ćmi. Toż to absurd. Wielu z nas kopci jak lokomotywy, ale regułą jest, że pali się w odległości minimum 6 metrów od włazu, przecież na dole może być gaz! Tu nie ma żartów i parę razy musieliśmy opieprzyć różnych facetów z ekipy filmowej, którzy w kanale zamierzali zakurzyć.

Witam się z kierownikiem wydziału kanalizacji PWiKOŁ — Bolesławem Płaskocińskim, który wpadł „na kontrol" i także dorzuca do filmowej kwestii swoje trzy grosze:

— Mój filmowy odpowiednik, czyli „pani kierownik" inaczej mówiąc — szefowa kanalarzy, też jest nieżyciowa, bowiem praktycznie nigdy tej roli nie może pełnić kobieta Po prostu kierownik często całymi godzinami w kanale siedzi, bo tego zawodu się za biurkiem nie uczy Wie pan to jakby szewc politechnikę skończył, mądry będzie aż strach, tylko butów nie będzie umiał robić Tu wieloletnia praktyka jest niezbędna.

— A z tą lampą górniczą to też bluff?

— Nie, nie, to się zgadza. Jak się już wodę z kanału spuści, przewietrzy, to zanim brygadzista zejdzie na dół, a zawsze schodzi jako pierwszy, to zapala tę lampę bezpieczeństwa, by sprawdzić czy jakiegoś gazu nie ma. Jeśli nawet jest, a różne związki tam docierają, ale niepalny — to zdusi płomień lampy, jak się płomyk rozwija — to może być groźne i wtedy się wycofujemy. Życie jest tylko jedno

— No dobra, rozumiem przypadki wyjątkowe, jakieś awarie, kiedy trzeba zejść „do podziemi", bo się choćby przewód zatka, ale tak na co dzień (pytanie z serii zupełnie laickich) to po cóż tam w ogóle schodzić. Nie przesada to czasem z tym myciem i sprzątaniem kanałów?

— Faktycznie, pytasz pan jak małe dziecko; jakbyś pan przez dwa lata w domu nie sprzątał to też nie można by się było pewnie poruszać, nie? I te, powiedzmy na okrągło — około 1000 kilometrów podziemnych korytarzy rozmaitych przekrojów pod miastem też trzeba czyścić i konserwować. Dochodzi jeszcze konserwacja czy wymiana wpustów ulicznych, naprawy żeliwnej armatury. Teoretycznie czyści się kanał raz na dwa lata, ale z doświadczenia wiadomo, które można nawet rzadziej, a gdzie trzeba wleźć 2-3 razy w ciągu roku. Kiedy jeszcze dla przykładu funkcjonowała Gazownia na Targowej to ich kanał błyskawicznie dosłownie zarastał jakimiś związkami asfaltu. I śmierdziało też niesamowicie...

— Wiecie rzecz jasna, w jakim kanale jakich zapachów się spodziewać?

— Wiem do czego pan zmierzasz: perfumy w kanałach wąchamy raczej rzadko, chyba że komuś flakon „Masumi" do ubikacji wpadnie. Kochany robota jest męska, to i w rozmowie nie zachowujmy się jak dziewice: śmierdzi niemal w każdym, za przeproszeniem gówna wierzchem płyną, to gdy się wodę spuści już ich nie ma, ale uważać trzeba by się na prezerwatywach nie pośliznąć. Albo skreśl pan to; będzie pewnie za ostro?...

— ...Jak ma być po męsku, to niech będzie. Ale nie brak tam szkodliwych dla zdrowia związków?

WIELKA CHEMIA

— No tak, niechętnie, przyznaję, schodzimy do kanałów, którymi płyną ścieki choćby z widzewskich zakładów „1 Maja", „Anilany", „Wifamy". Często i długie wietrzenie nie pomaga. A najgorsze są te połączenia, z których korzysta „Polfa". Tam trafia się nawet toluen, śmiertelnie trujący gaz. Kiedy już trzeba, to idziemy tam w niedzielę, gdy zakład nie funkcjonuje.

— Czy to prawda, że agresywne związki z łódzkiej „Anilany" niemal „zjadły" podziemny kanał?

— Prawda, to chyba było z 10 lat temu. Rzeczywiście były to tak agresywne ścieki, że rozpuszczały beton wiążący cegły w kanale. Ten ostatni nie był taki stary, wybudowano go chyba w 1942 roku, a trzeba dodać, że przeciętnie żywot kanału oblicza się na 200 lat. Ten „Anilany" był już tak zjedzony, że groził zawaleniem, już się ziemia do środka sypała przez sklepienie Nawet w maskach nie sposób było tam wejść; stężenie szkodliwych substancji dwustukrotnie przekraczało dopuszczalne normy Wreszcie, na szczęście, uruchomiono nowy kolektor, a ten zasypaliśmy. Co nam groziło, gdyby zapadł się w czasie eksploatacji? Praktycznie trzeba by odciąć odpływ ścieków z całej wschodniej części miasta. A stąd już krok do epidemii na wielką skalę...

— A wszystkie kanały zrzucają swą zawartość oczywiście do największego ścieku, czyli...

— Czy chodzi panu o Ner? Po drodze trafiają jeszcze do mechanicznej oczyszczalni na Lublinku. Gdyby tam pracował filmowy Serce to przed spotkaniem z dziewczyną rzeczywiście długo musiałby się szorować, praca jest szalenie ciężka i niewdzięczna.

— No, wasza też do przyjemnych nie należy. Ale chyba nie we wszystkich kanałach można sobie spokojnie spacerować i podśpiewując opukiwać ściany młoteczkiem?

— Jasne, tych gdzie się pan zmieścisz to będzie może ze 300 kilometrów, ale i tak jest co zwiedzać. A z tym młotkiem to żadna zabawa. Trzeba sprawdzić, czy cegły nie spękane, a przede wszystkim czy zaprawa nie puściła. Więc albo młotek, albo (co też pokazano w serialu) specjalnym pistoletem strzelającym strumieniem wody pod ciśnieniem 100 atmosfer. Trzeba krzepy, by człowiekiem taki wężyk nie zaczął po ścianach tłuc. Potem się ubytki uzupełnia, to co nie spłynie i na dnie pozostanie — wywozi. A już najgorsze są drzewa...

— Gdzie? W kanale?

— Jasne. Błoto, nawet jak do metra naniesie — to się usunie. W dużych kanałach to ostatnio na kontrole pontonem pływamy. Ale jak takie drzewo rośnie w pobliżu kolektora, to korzenie wciskają się do środka na styku wiązań, a potem rozrastają w błyskawicznym tempie. Pożywkę z tych ścieków mają idealną, a jak wyrośnie taki zator w kanale, nigdzie pan się nie wciśniesz.

— Pozostaje łagodna perswazja...

— Bez przesady. Wyrywa się korzenie specjalnym kołowrotem. Ale to syzyfowa praca, co pewien czas trzeba powtarzać taki zabieg. A ludzie jakby o tym nie wiedzieli. Na Retkini posadzono niedawno topole tuż nad naszym kanałem. A topola i wierzba są najgorsze. Za parę lat będą tam murowane awarie. Chyba, że się je na czas przesadzi.

POWOŁANIE!

Jak trafiają do tego zawodu? Czy spełnienie dziecięcych marzeń? Najczęściej przez przypadek, czasem wciąga ojciec syna czy kogoś z bliskiej rodziny. Bo też rodziny Kaźmierczaków, Kowalskich, Białików czy Majchrzaków znane są i cenione wśród łódzkich „kanalarzy". Ale ludzi do tej roboty wciąż brakuje. Podziemne korytarze czyści ich około 120, a przydałoby się jeszcze choć z osiemdziesięciu. Ale jak ktoś szukający pracy do nich trafi, to wiadomo, że wcześniej wszelkie możliwe firmy w mieście „obskoczył". A potem pokręci się zwykle jeden, dwa dni i szybko pryska. „— Ile tu można wyciągnąć?" — brzmi zwykle pierwsze pytanie. Marnym argumentem jest stwierdzenie że średnia płaca w wydziale kanalizacji wynosi 8700 złotych. Faktycznie średnia będzie obecnie jeszcze niższa, bo ostatnio odeszło z zawodu sporo fachowców z 30-letnim stażem pracy. I cóż z tego, że pracuje się tylko 6 godzin ze względu na uciążliwy charakter roboty, gdy forsy mało, a pod ziemią siedzieć trzeba. Toteż pryskają. Choć śmieją się moi rozmówcy, że zdarzają się i tacy, co wpadną w ten fach jak... w kanalizację. I zostają. Ale to mimo wszystko sporadyczne wypadki. Nie pomagają nawet legendy, mówiące jakoby...

— Znalazł ktoś kiedyś sporo dolarów w kanale?

— To prawda, chłopaki w oczyszczalni znaleźli. O, były i pierścionki, drobny bilon się często trafia, niekiedy jakaś obrączka. Wie pan, czego to ludzie nie gubią...

— Aha, ja trzy dni temu zegarek zgubiłem — wtrąca ze złością jeden z monterów. Przy włazie robiłem, odpiął się i — chlup. Szukaliśmy, pompowaliśmy, ale gdzie tam, poszedł z wodą...

— Jak pan widzi — straty też są. Ale faktem jest, że kanałami różne rzeczy płyną.

— W zeszłym roku choćby zboże...

— No, nawet w gazetach pisali. Ale to tak cwanie ktoś wpuścił, małymi partiami, że na Lublinku wypłynęło, a myśmy parę godzin później już nie mogli ustalić z jakiego kierunku dotarło. Ale zdarzają się i odpady z rzeźni, to już jest rzeczywiście obrzydliwe, były i ryby z Centrali Rybnej, była parkowa ławka...

— ???

— W tzw. burzowcu musieli dowcipasy wrzucić, jakimś cudem po drodze nigdzie się nie zablokowała i do oczyszczalni dopłynęła. Opony, spore beczki też podziemnymi ściekami kursowały. Będzie z osiem lat temu to i zwłoki znaleźliśmy. Pobili się, bodaj nożem zadźgali chłopaka i wrzucili do kanału. Ugrzązł w osadniku piasku i przypadkiem dopiero rok później, w czasie oczyszczania kanału go znaleźliśmy. Są i roboty „zlecone", czasem milicja nas prosi o odszukanie noża czy jakiegoś przedmiotu, który przestępca wrzuci do studzienki, a często zgłaszają się ludzie, którym przez nieuwagę jakiś wartościowy drobiazg do wpustu wpadnie. No to jedzie nasza „beczka" i się czyści, szuka. I zwykle znajduje.

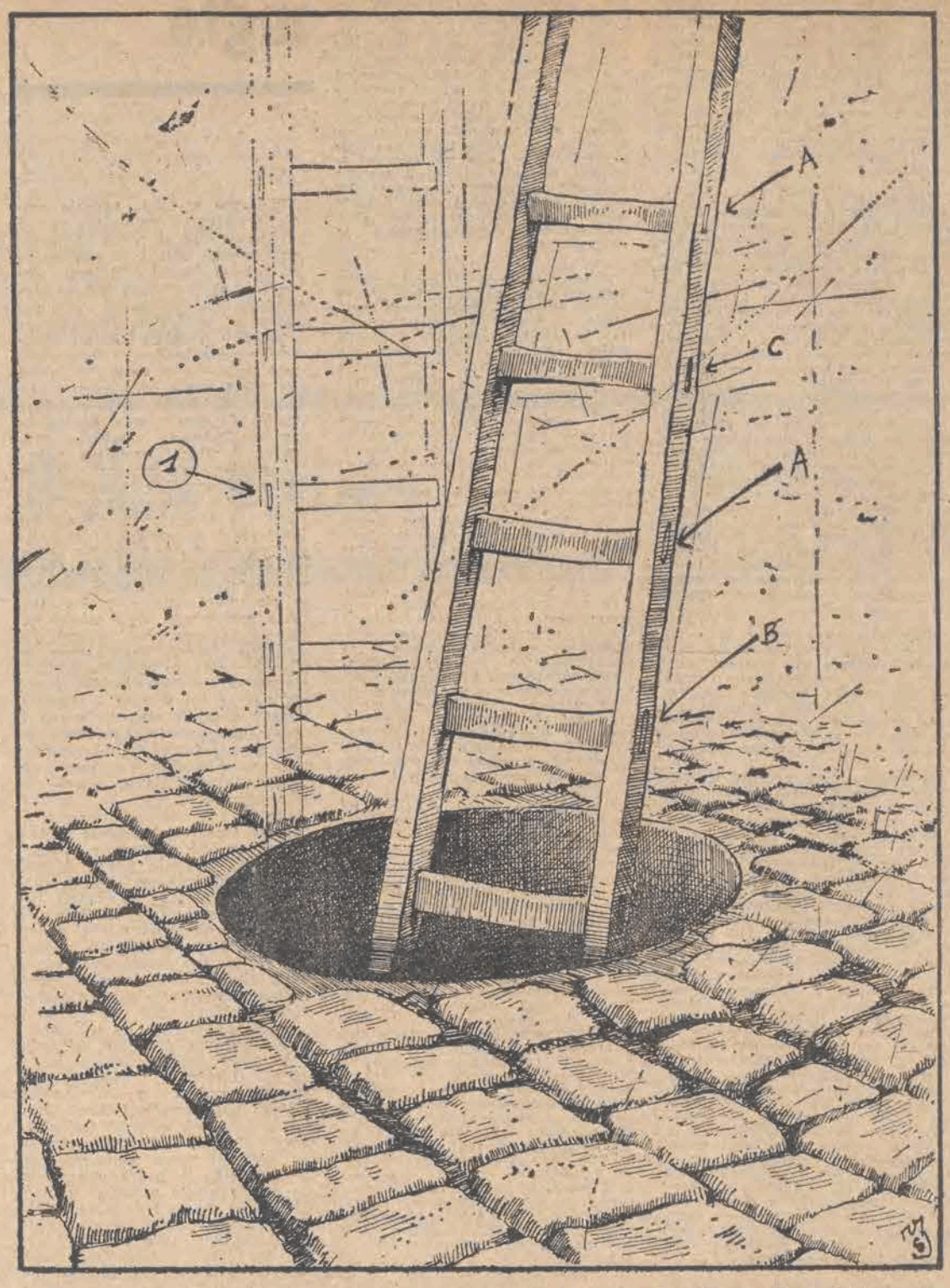

Rys. Janusz Szymański-Glanc

SĄ I „PŁYWACY"...

— Mieliśmy też w łódzkich kanałach „pływaków", którzy swej głupoty omal życiem nie przypłacili...

— A tak, to znana historia sprzed paru lat. Naszym utrapieniem są ludzie, którzy właźą do wspomnianych burzowców. Są tam nawet ciężkie kraty u wejścia, ale zamknąć ich na stałe nie można, bo jak woda po deszczu idzie, to krata musi się uchylić. No i właźą tam różne obiboki, bo to zawsze ciepło w środku, wódeczkę czy winko można w spokoju wypić. W jednym, pamiętam, to sobie nawet „kozetkę" wstawili, a w innym w czasie lustracji kanału nakryliśmy na harcach w słanku dwóch panów i panią...

— Ale tamte chłopaki rzeczywiście mieli więcej szczęścia jak rozumu. Popili pewnie i woda dwóch porwała. Panie, przewaliło ich nawet przez tzw. syfon, gdzie woda różnie jak w wodospadzie i przeżyli. Poobijało ich trochę, cud, że na żaden bal nie natrafili; jeden po drodze koło włazu stopnia się chwycił, drugi z pięć kilometrów pod ziemią przepłynął i prawie pod Lublinkiem go wyłowiliśmy. Bo na szczęście trzeci kompan głowy nie stracił i milicję zawiadomił, a my latališmy jak opętani i sprawdzaliśmy wszystkie włazy po kolei. Panie, ja prawie 30 lat pracuję, kanały znam po ciemku jak własną kieszeń, ale za milion złotych bym się w taką podróż nie wybrał...

— Szczurów się chyba nie boicie?

— Bo ich nie ma po prostu. Przyczyna jest zwykła. Łódź ma bodaj najmłodszą sieć kanalizacyjną, jej budowę rozpoczęto w 1922 roku (dla porównania warszawska liczy sobie już 90 lat). Większość kanałów ma duży spadek, woda ostro idzie, to i szczur nie ma gdzie gniazda założyć. W tych czynnych to ich na pewno nie ma. Może i są w tych starych, nie używanych, co to jeszcze łódzcy fabrykanci budowali, ale stamtąd nigdzie się nie wydostaną. A tak na marginesie, to jeszcze w pięćdziesiątym czwartym roku mieliśmy w Łodzi oddział konserwacji starych kanałów.

No, dosyć tych pogaduszek, brygadzista patrzy już dyskretnie, ale chyba po raz trzeci, na zegarek. Kanał, do którego za chwilę będą się zbierać już przewietrzył, więc nie ma co zwlekać z robotą. Wciągając robocze ciuchy podchodzi młody monter.

— I napisz pan, że ja się roboty w kanałach nie wstydzę, praca nietypowa, a i nie każdy z ulicy może tam na dół zejść. I dziewczynom mój zawód też nie przeszkadza, chociaż ten Serce to pewnie będzie miał kłopoty jeszcze z kilkanaście odcinków. Byle się z głupimi nie zadawać. A dobrym kanalarzem nie tak znów łatwo i szybko można zostać. Kiedyś mały chłopak przyglądał się jak do zejścia na dół się szykowaliśmy i pyta: „Będzie pan tam czegoś szukał?" A gdy potwierdziłem, dodał „— Aha, to pan jest taki... szambo-nurek!".

Brygadzista Piech, już uzbrojony w górniczą lampę, co to wszelki gaz wykrywa, odwrócił się jeszcze w drzwiach:

— Tak najbardziej realna to w tym filmie jest gorzałka. Tylko nie myśl pan, że my się tu codziennie po robocie „odkażamy". Wręcz przeciwnie, dyscyplina musi być, a jak który na „kacu" przyjdzie, to go też na dół nie puszczę. Ale na samo wspomnienie czasem się po południu bez kielicha nie obejdzie. Zresztą znasz pan jakiegoś Polonusa, co by za kołnierz wylewał?...

PS. Gwoli ścisłości dodać trzeba, że w rozmowie uczestniczyli oprócz wspomnianych: brygadzista Zdzisław Kowalewski, monterzy Marian Białik i Piotr Kaźmierczak. A filmowy Kieliszek, kreowany przez niezrównanego Jana Himilsbacha — istnieje naprawdę. Dziś już pewnie nie dojdziemy kto wpadł na pomysł wykorzystania w serialu tego nazwiska, ale realny Kieliszek pracuje od wielu lat w Miejskim Przedsiębiorstwie Robót Wodociągowych i Kanalizacyjnych w Łodzi...

Łąka

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Trawa, rozgrzana słońcem, wydawała z siebie jedyny w swoim rodzaju zapach jaki można poczuć tylko raz w roku. Zapach lata. Wszystkie parki i łąki zaroiły się opalonymi na brąz, rozkrzyczanymi dziećmi, goniącymi się bez przerwy, rzucającymi piłkami i gumowymi pająkami. Cały skwer przy Rodison Street pełen był ich wrzasku i śmiechu

Tylko siedmioletni Jim siedział na uboczu, na ławce, w cieniu rozłożystego kasztanowca Siedział i smutnym wzrokiem przyglądał się rozbawionym rówieśnikom i wylatującej co chwila ponad krzaki żółto-czerwonej piłce. Jego opiekunka siedziała obok, pochłonięta od dobrych kilku minut jakimś tanim romansem w barwnej okładce, do tego stopnia, że zapomniała zupełnie o Jimie i o całym świecie.

Piłka znowu wystrzeliła do góry przy akompaniamencie dochodzących zza krzaków dziecięcych śmiechów, tym razem jednak spadła nie tam, gdzie powinna i potoczyła się prawie do samych stóp Jima.

Jim miał wielką ochotę podnieść się z ławki i odrzucić piłkę. Kątem oka spojrzał na opiekunkę: czytała. Zsunął się z drewnianego siedzenia i wziął piłkę w ręce.

— Hej, chudeusz! Oddawaj to! — zza krzaków wyszedł jasnowłosy chłopiec w krótkich spodenkach

Jim spojrzał na niego nienawistnie. Nadal trzymał piłkę w ręku.

— Słyszysz, zdechlak? Rzuć to — poparł jasnowłosego drugi chłopak. Za nimi stanęło kilkoro innych dzieci

Jim położył piłkę na trawie, cofnął się kilka kroków i z całej siły kopnął ją z rozbiegu Poszybowała gdzieś w bok, obracając się wokół własnej osi i kozłując po ziemi.

Jasnowłosy chłopak zaczął się śmiać.

— Zde-chlak — zde-chlak! — wrzeszczał, trzymając się za brzuch — nawet piłki kopnąć nie umie!

Jim odwrócił się i podszedł do swojej ławki. Nagle poczuł silne uderzenie w plecy, aż uklęknął na trawie. Odwrócił się.

Jasnowłosy chłopak podbiegł właśnie, i zręcznie chwycił piłkę odbitą od pleców Jima Rzucił znowu i — bęc! — tym razem trafił Jima prosto w nos Dzieci śmiały się.

Łzy zakręciły się Jimowi w oczach. Podniósł się i zaciskając pięści rzucił się na jasnowłosego.

— Zdechlak mnie goni, zdechlak mnie goni! — wrzeszczał chłopak, grając mu na nosie

Jim zacisnął zęby, biegł, ktoś znowu rzucił w niego piłką, tym razem trafił go w rękę. Jim zmienił kierunek i pobiegł za nim. I znowu.

Nagle dobiegł go krzyk opiekunki, którą coraz głośniejsze śmiechy oderwały od lektury:

— Jim! O, Boże, Jim, zatrzymaj się natychmiast! Łobuzy! Wynoście się stąd!

Kątem oka dostrzegł biegnącą w jego kierunku pannę Teller. Niemal w tym samym momencie znowu został uderzony piłką w tył głowy, ale już prawie tego nie poczuł. Nagle zabrakło mu tchu, nogi zrobiły się miękkie jak z waty, przed oczyma zawirowały złote kręgi. Potworne kłucie w piersiach po lewej stronie pulsowanie w uszach...

— Jim! Jim!

Nogi ugięły się pod nim coraz niżej, coraz wolniej Świat rozpływa się powoli, ciemnieje — Twarzą na pachnącą, świeżo ściętą trawę i jeszcze tylko kilkanaście centymetrów...

Słońce pochylało się coraz niżej ku zachodowi oświetlając ciepłymi promieniami wielkie żółte kwiaty, pokryte rosą. Jim podniósł głowę z trawy. Był znowu na łące.

— Cześć, Jim — Will siedział pod drzewem jedząc ogromną poziomkę

Jim przeciągnął się Zerwał jeden z kwiatów i przez chwilę wypijał z niego rosę, która smakowała jak lemoniada w drugstorze pana Smitha

— Cześć Will

— Dziś jest trochę chłodniej — powiedział Will w zamyśleniu — Ale słońce jeszcze wysoko Będziesz jeszcze musiał tam wrócić. Co masz ochotę dziś robić?

— Na razie nic. Chciałbym leżeć i patrzeć na słońce

Zerwał sobie poziomkę i ugryzł ją.

— Powinniśmy dziś wpaść do Sowy — powiedział Will. — Chyba ma imieniny. Zapraszała cię.

Sowa mieszkała na drugim końcu zaczarowanego lasu i bardzo często miała imieniny Jim lubił, kiedy Sowa wydawała w swojej dziupli przyjęcia. Przychodził na nie Miś i wielki, mądry Sum a czasem przylatywały też ptaki, które uczyły Jima fruwać nad zaczarowanym lasem

Podniósł się.

— Idziemy do Sowy — powiedział do Willa. — Widzisz to drzewo? Kto drugi, ten frajer!

Rzucili się przed siebie, nie tratując wcale trawy ani kwiatów Jim przybiegł pierwszy Śmiali się, idąc przez las śpiewających drzew i pijąc rosę z kwiatów. Gdy wreszcie przyszli do Sowy okazało się, że właśnie zaczyna się imieninowe przyjęcie i Sowa rozdaje wszystkim prezenty. Potem jedli słodkie konfitury, słuchając opowieści Suma i trwało to wszystko długo, i Jim znowu był szczęśliwy jak nigdy.

— O Boże, o mój Boże, pani Teller, jak pani mogła.. O mój Boże, Jim... — jęczała matka Jima

— Ależ pani Hudson — usiłowała tłumaczyć się opiekunka

— Niech pani nic nie mówi, niech pani milczy, to wszystko przez panią!!! — wrzeszczała histerycznie matka — O mój Boże, mój biedny Jim!

— Cicho — syknął ktoś z pochylonych nad nim ludzi — niech pani wreszcie przestanie. Zdaje się, że wraca do przytomności.

Jim otworzył oczy i poruszył zsiniałymi wargami

— Jim... O Boże, Jim... — matka zaczęła płakać. Pochyliła się nad nim Jim z trudem uniósł głowę. Był jeszcze potwornie słaby. Tętnienie w uszach cichło bardzo powoli, wciąż jeszcze zagłuszając większość odgłosów świata. Przy krawężniku alejki zatrzymał się wezwany ambulans.

— Mają tempo — mruknął ktoś pod nosem, patrząc na zegarek. Od momentu utraty przez chłopca przytomności i wezwania karetki upłynęły niecałe dwie minuty.

Pierwszy raz zdarzyło się to, kiedy miał trzy lata. Jechał z mamą autobusem, gdy nagle poczuł tętnienie w uszach i osunął się na podłogę. Na łące słońce właśnie wschodziło, a Will i Sowa czekali na niego pod poziomkowym drzewem.

Rodzice pomyśleli wtedy, że po prostu za długo był na słońcu, albo za wiele biegał. Upłynęło chyba z pół roku, i dawno już zdążyli o tej sprawie zapomnieć, gdy Jim przeniósł się na łąkę po raz drugi, a potem trzeci i czwarty. Wtedy rodzice zaczęli się niepokoić. Zaprowadzili go do lekarza, który badał go bardzo długo i starannie. Potem poprosił do siebie rodziców, i długo coś im tłumaczył. Ojciec wyszedł z jego gabinetu blady jak ściana, a matka miała w oczach łzy. Przytuliła Jima do siebie w taki dziwny sposób i zaczęła płakać.

Potem Jim często przenosił się na łąkę i wiedział już, że któregoś dnia zostanie tam na zawsze, kiedy słońce schowa się za horyzont. Wystarczyło, żeby trochę pobiegał albo nawet długo chodził, zaczynało się to kłucie w piersiach i tętnienie w uszach i przewracał się na ziemię. Mama zabraniała mu wychodzenia na dwór, mógł tylko siedzieć w cieniu i patrzeć jak inne dzieci się bawią. Pomimo tego bywał na łące coraz częściej.

Często mama zabierała go daleko, do różnych doktorów, którzy najpierw oglądali go długo, przykładali mu do piersi i pleców różne zimne, metalowe płytki i kolorowe kable, podłączone do wielkich, białych maszyn, a potem rozkładali bezradnie ręce i mówili jakieś słowa, których Jim nie rozumiał.

Któregoś dnia, kiedy wracali od jednego z nich, zapytał w autobusie: „Mamo, kiedy ja wreszcie umrę?". Matka rozpłakała się na dobre i przez całą drogę powtarzała mu, żeby nie mówił głupstw Zupełnie nie wiedział, dlaczego płakała.

Tego dnia Jim długo nie spał. Leżał z zamkniętymi oczyma i rękami podłożonymi pod głowę, wsłuchując się w głosy rodziców dobiegające wraz ze smugą światła zza wpół domkniętych drzwi pokoju.

— John, sam wiesz, wiesz dobrze, że to jest już jedyna nadzieja — mówiła matka. W jej głosie chyba jeszcze nigdy Jim nie słyszał tyle zdecydowania i siły — To ostatnia szansa. Nie możemy jej zmarnować. Jeśli się nie zgodzisz, sama zbiorę te pieniądze.

— Ależ kochanie, trzeba się dobrze zastanowić. Może to jakiś zwykły szarlatan, wydrwigrosz?! Może całe to jego leczenie operacją tych... jak im tam, cholera, nieważne — może to tylko wielkie oszustwo mające mu przynieść bogactwo kosztem nas i Jima? Wiesz, że naukowcy...

— Och, John, przestań! Naukowcy już dawno skazali Jima na śmierć!

— Nie krzycz tak, on śpi.

— A poza tym — matka ściszyła głos — on nie jest szarlatanem. Jest przecież profesorem, pracował nad tym wiele lat Wiem, wiem, twoi naukowcy uważają go za szaleńca, braci Wright też uważano za wariatów. Ale szarlatani zawsze obiecują wszystko, czego zapragniesz, a on (szelest papierów) zobacz sam, nie ukrywa, że szanse są małe. Widzisz — około trzydziestu procent. Ale to są jedyne szanse Jima; rozumiesz, John?

— Nawet gdybyśmy sprzedali wszystko co mamy nie wystarczyłoby na tę operację. A jeżeli nawet, to powiedz mi, co zrobisz ze zdrowym Jimem bez domu, samochodu — wszystkiego? Co mu dasz jeść?

— Jakoś sobie damy radę. John, mam pomysł. Zdobędziemy te pieniądze choćby spod ziemi. A potem zaniesiemy je Stortsowi i on wyleczy Jima. Jestem pewna, że mu się to uda. Posłuchaj, John....

Głosy rodziców zniżyły się do szeptu i płynęły obok zasypiającego Jima, szeleszczącym strumieniem, w którym jak refren kołysanki powtarzały się słowa „Ludzie pomogą, John, pomogą..."

Najbliższe parę tygodni w domu ciągle trzaskały drzwi. Przez pokoje przewijały się dziesiątki ludzi, znajomych i nieznajomych, przynosili ze sobą błyskające białym światłem aparaty, zupełnie takie jak wujka Billego, albo podobne do nich podłużne przedmioty, które wydawały z siebie cichy terkot. Kilka razy widział siebie w telewizji, w swoim mieszkaniu, z mamą, która coś mówiła. Aż pewnego dnia wsiedli wszyscy do samochodu i jechali długo, prawie cały dzień.

Potem Jim już niewiele pamiętał. Jakieś długie, białe korytarze, jakaś wielka sala, dziwne, białe światło płynące zewsząd i oświetlające wszystko. Pamiętał, że ubrana na biało siostra przyłożyła mu do twarzy gumową maskę, i że zasnął.

— Obudził się!!! — Krzyknął wesoło ojciec, spojrzawszy nagle na Jima — Jim!

Trwający ułamek sekundy błysk. Jeszcze jeden, i następny, i znowu. Wokół jego łóżka pełno było ludzi.

— Jestem tak bardzo, tak bardzo szczęśliwa — mówiła uśmiechnięta matka do jakiegoś człowieka, który podsuwał jej pod nos podłużny przedmiot. Po jej policzkach płynęły łzy, ale nie były to te łzy, do których Jim już się przyzwyczaił. — Taka szczęśliwa...

— No oczywiście, spodziewam się teraz większej liczby pacjentów. Ceny zabiegów niestety nie mogę obniżyć — mówił do innego podłużnego przedmiotu siwy, łysiejący mężczyzna w białym fartuchu.

— Jim! Jim! Jesteś zdrowy, wiesz? Będziesz mógł teraz biegać, grać w piłkę...

— Jak nigdy... nigdy w życiu...

— ... jak wszystkie inne dzieci, Jim, nie cieszysz się?

— Oczywiście pewne trudności techniczne nadal będą...

— Jak nigdy...

— A co sądzi pani o...

— Co jednak nie powinno....

— ... Jim!

— Przecież on tego nie rozumie — zwrócił ktoś uwagę ojcu.

I wtedy właśnie Jim zrozumiał wszystko. Wtedy zrozumiał, że łąka przepadła już na zawsze, że nigdy nie zobaczy Willego ani Sowy, ani Suma, i nigdy już nie będzie jadł ogromnych poziomek w zaczarowanym lesie, a potem pomyślał o tych głupich dzieciach, dla których zawsze będzie Zdechlakiem, Chuderlakiem-Jimem, Niedołęgą Jimem, i o ich żółto-czerwonej piłce. I kiedy tak myślał o Willym i o łące, nagle spod jego powiek spłynęły po policzkach ogromne, gorące łzy. Ale wszyscy dokoła byli zbyt szczęśliwi, żeby je dostrzec.

Za otwartym oknem monotonnie szumiał świat. Tak bardzo dorosły i tak potwornie smutny.

Warszawa 8 marca 1982

Rys. Przemysław Ulatowski

Z przyczyn technicznych kolejny odcinek powieści Wiktora Kołupajewa „Huśtawka Pustelnika" ukaże się w numerze następnym.

kolumna ajencyjna

KOLUMNA DZIESIĄTA D
(ostatnia z cyklu)

KAŻDY, KTO DRUKOWANE TU TEKSTY TRAKTUJE SERIO — CZYNI TO NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ!

Roman Gorzelski

Fraszki

KUM DO KUMA PRZY GRZE W SZACHY

Mata
Mata

ŻYCIE PO JAPOŃSKU

Jako
Tako

OBDUKCJA LEKARSKA

Pękł
Kręg.

KOLARZ MARUDER

Tyle
W tyle!

LEKTURY PRZY JEDZENIU

POTRAWY NARODOWE

Swego czasu Daniel Passent w „Polityce" napisał felieton, który zatytułował „Móżdżek po polsku". Niedawno Jan Ul w „Barwach" napisał felieton, który zatytułował „Karp po żydowsku". Ponieważ jedna i druga potrawa należy do gatunku smacznych, poszukiwanych i... trudno dostępnych, Szef Kuchni polecił mi przypomnieć obie.

MÓŻDŻEK PO POLSKU

Zagotować litr wody, osolić, dodać octu. mózg opłukać, obrać z błon, włożyć do wrzącej wody odpowiednio osolonej, z octem i obgotować (3—5 minut). Wyjąć ostrożnie łyżką cedzakową, osączyć, schłodzić. Cebulę obrać, pokroić w drobną kostkę, zasmażyć na tłuszczu na jasnozłoty kolor. Ostudzony mózg pokroić w grubą kostkę, połączyć z cebulą, wbić dwa żółtka, wymieszać, osolić, dodać pieprz, posypać zieloną, siekaną pietruszką i przesmażyć.

KARP PO ŻYDOWSKU

Karpia do żydowsku można robić na dwa sposoby. Jeden — w galarecie, drugi mniej znany — w sosie. Podajemy przepis mniej znany.

Karpia sprawić, odciąć głowę, opłukać, pokroić w dzwonka szerokości 2—3 cm, osolić, oprószyć pieprzem, posypać tłuczonymi goździkami, skropić octem. Masło rozgrzać, włożyć obraną, pokrojoną w kostkę cebulę, zasmażyć nie rumieniąc, wlać piwo, ogrzać, włożyć rybę, dusić powoli pod przykryciem około 30 minut. Gdy ryba jest gotowa, wyjąć. Sos odparować, włożyć opłukane rodzynki i startą skórkę cytrynową, zagotować. Sosem oblać rybę na półmisku.

Oba przepisy według „Kuchni polskiej", Wydanie XIII — Warszawa 1968.

Szef Kuchni kazał jeszcze napisać, że gdyby panowie felietoniści życzyli sobie pomysłów do tytułów felietonów, to mam przedstawić ich bogaty zestaw, co niniejszym czynię. Gdyby panowie felietoniści lub Czytelnicy życzyli, to przepisy na niżej wymienione potrawy też możemy opublikować natychmiast po otrzymaniu listu. A oto ten spis:

Rostbef po angielsku, lin po węgiersku, pierogi ruskie, pierogi ruskie z ciasta drożdżowego pieczone, leszcz po żydowsku, kluski francuskie: na mleku, z grzybami, z kaszą manną, z wątrobą; knedle czeskie ze słoniną, kotlety cielęce po włosku, makaron włoski, karp w szarym sosie po polsku, kurczęta po polsku, kurczę nadziewane po algiersku, fasolka po bretońsku, wątroba wieprzowa po prowansalsku, rogout po bretońsku, kołduny po litewsku, sałatka serbska, sałatka macedońska, sos portugalski, sos grecki, sos węgierski, zapiekanka alzacka, zupa arabska, zając po bawarsku.

Czekamy na zamówienia.

STARSZY KUCHCIK

Rubryka do wynajęcia

*

T. mówił, że może spać w czasie sztormu, wśród padających bomb, wycia syren, na zabawie, przy najsilniejszym świetle elektrycznym, a nawet — wściekłe kundle — powiedział T. — Z krwią zawsze należy obchodzić się bardzo ostrożnie.

*

T. czuł lęk przed białą kartką. Mawiał:

Eugeniusz Iwanicki

Klasztor dla ateistów czyli rozważania pana T.

zdarzyło się! — zasnął w łóżku pełnym pluskiew.

— Niewiarygodne! Więc nie ma nic, co by zmusiło pana do czuwania?

— Ależ tak: moje myśli.

*

Malarz, kiedy zabrakło mu farby, własną krwią dokończył obraz przedstawiający sforę psów pędzących przez zagony.

— Nie przypuszczałem, że tak wyglądają

— Nigdy nie wiem co taka ze mnie wyciągnie.

*

— Dlaczego adoruje pan (tu wymieniono pewną dziewczynę), a nie zwraca pan uwagi na (tu też imię), która ukończyła dwa fakultety i posiada dużo wrodzonej skromności?

— Nie przeczę — przyznał T. — Ale ta pierwsza ma więcej elegancji w noszeniu na sobie coraz to mniej ubrania.

POTWORKI Jarosława Szymańskiego

☆

„Na każdego kosmostworka mamy własnego potworka" — zrymowaliśmy szybko i zręcznie zobaczywszy nową serię rysunków Jarosława Szymańskiego. No i rzeczywiście — po co straszyć (patrz kolumny „W kręgu fantastyki") kosmoludami z kosmosu, gdy na poczciwej Ziemi mamy wcale nie gorsze paskudy...

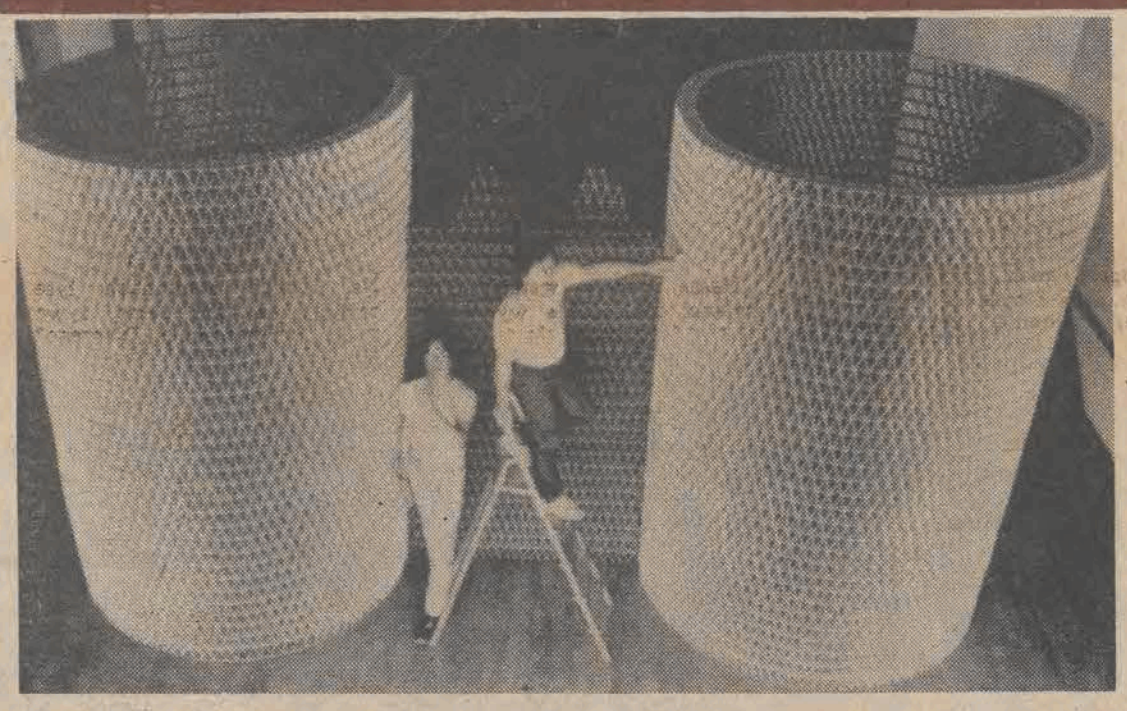

„Dwaj młodzi ludzie ze Szwajcarii — głosił podpis pod tym zdjęciem — **zbudowali to coś z 21918 podstawek do kufli na piwo. Praca ta zajęła im 2 tygodnie i 33 godziny".**

No dobrze, ale na tych podstawkach stały przedtem kufle, w tych kuflach było

Kto wypił to piwo?

zapewne piwo, cieszac się więc, iż sympatyczni Szwajcarzy nie mają nic lepszego do roboty zapytujemy wielkim głosem: kto, do diabła ciężkiego wypił to piwo? I dlaczego dla nas nie zostawił ani odrobinki?!

W „Spatifie" straszy!

Z czasów, kiedy robiliśmy w gastronomii pozostało nam sporo znajomości. Przyjaźniliśmy się np. bardzo z ajencja pt. Stowarzyszenie Twórców Kultury. Mało kto wie co to takiego, prawie każdy za to zna „Spatif" na Kościuszki w Łodzi. Przyjaźnimy sie więc ze Spatifem głównie ze względu na szaszłyki baranie z tamtejszej kuchni.

Ostatnio byliśmy na wyżej wzmiankowanym szaszłyku. Ponieważ wypadło to w poniedziałek nie było szaszłyku, tylko pierogi. Zdegustowani weszliśmy przypadkowo do salki, gdzie amtejszy ajent robiący jak wiatać bokami, zainstalował kabaret. Jako, że w zasadzie nic przeciw kabaretowi nie mamy bynajmniej, a także interesują nas różne formy zarabiania w branży kulturalnej (Ajencja w „Odgłosach" nie okazała się złotą żyłą, niestety) z zainteresowaniem obejrzeliśmy tzw. produkcję.

Już wstępne efekty akustyczne uświadomiły nam — jako ludziom inteligentnym poniekąd — że mamy do czynienia z tzw. horrorem czyli że zamierzają nas straszyć. Wprawdzie ajenta, co już niejedną przeżył kontrolę, nawet PIH-em i NIK-iem przestraszyć trudno niemniej lubimy być straszeni już od dziecka i chętnie przystaliśmy.

Przez około trzy kwadranse straszyło nas kilka osób — bezskutecznie raczej, z wyjątkiem jednego takiego w masce na twarzy, zrobionej z pończochy. Maskę miał z pończochy, a nie twarz, co nas zastanowiło głównie z powodu gdzie on dostał pończochy damskie, a po drugie z powodów politycznych zgoła. Był początek listopada dziesiąty przed nami, nie wiadomo czym i kto nas tu postraszy naprawdę. Gdyby pokazał rogi z dwóch palców pierzchnęlibyśmy niechybnie. Nie pokazał.

Potem była przerwa, którą chcieliśmy wykorzystać na eleganckie wycofanie się z całego horroru via szatnia. W szatni niestety natknęliśmy się na współautora i reżysera, pana Wolskiego Marcina. Osobiście pana Wolskiego nie znamy, tylko z radia, ale głupio jakoś. Publiczność się nie boi, my się nie boimy i jeszcze chcemy wyjść. A Wolski Marcin przestraszony jakiś... Zostaliśmy przez delikatność.

W drugiej części już więcej strachu było. Głównie bali się na scenie. Potem jeszcze jedna pani przyszła rozebrana aż strach. Chociaż ładna i zrabna skądinąd. Zwłaszcza skądinąd. Publiczność się ożywiła. Nie wiemy czy pan Wolski Marcin też, bo siedzieliśmy daleko i nie widzieliśmy. Zresztą uczciwie powiedziawszy, kiedy ta pani przyszła, jakby uważniej przyglądaliśmy się scenie.

Ogólnie biorąc podobało nam się....

MLECZNI BRACIA AJENTA

PS. Natomiast balet (patrz zdjęcie) straszył przede wszystkim swoją absolutną nieobecnością, niestety...

Tytuł jest ordynarnie ściągnięty wprost od Lema, jako że przedrukiem jego „Autowywiadu" rozpoczęły „Odgłosy" swoją działalność na niwie fantastyki. Jeżeli już jednak kraść, to nie od byle kogo, a że przyznaliśmy się przed rozpoczęciem śledztwa — obejmuje nas amnestia.

To po pierwsze. Po wtóre zaś sytuacja jest taka, że spotykają nas przemiennie to rzeczy przyjemne, to znów nieprzyjemne. Do przyjemnych zaliczylibyśmy dostawę nowych fraszek Romana Gorzelskiego (w tym szachowej!) i rysunków Jarosława Szymańskiego. Do nieprzyjemnych, że nikt — podobnie jak ongiś z Lemem — nie chce z nami rozmawiać i o najmarniejszy choćby wywiad poprosić. Człowiek, z którym nie przeprowadza się wywiadów nie liczy się wprost w towarzystwie, wpędza to nas przeto w kompleksy, zniechęca do roboty i kto wie nawet, czy nie zabierzemy swoich zabawek i nie przeniesiemy na jakieś inne podwórko...

Tak, siak czy owak postanowiliśmy przedtem zaprezentować swoje poglądy na temat znajomych ludzkości, a nawet całej galaktyki. Sami zdecydowaliśmy się robić za wywiadowcę, z braku wprawy tekst wyszedł nam jednak nazbyt długi, drukujemy go tedy w odcinkach.

AUTOWYWIAD

WYWIADOWCA: Czy będziecie mówić prawdę całą prawdę i tylko prawdę?

AJENT: Nie jesteśmy w kinie. Powiemy akurat tyle prawdy ile nam się spodoba.

WYWIADOWCA: Nie ze mną te kawały, Ajent! A tak nawiasem: dlaczego stale mówicie nam "? Nam to znaczy komu?

AJENT: Nam ajentowi. Jest to tzw. pluralis modestiae dosłownie liczba mnoga skromności, a nie pluralis majestatis używany na przykład przez monarchów. Jak zapewne zauważyliście nie nosimy korony choć byłoby nam nawet do twarzy.

WYWIADOWCA: Powiedzmy. Skąd jednak u prostego ajenta takie uczone zwroty?

AJENT: Ze Słownika Wyrazów Obcych rzecz jasna. Nie lepiej to jednak byłoby nas zapytać o trudne dzieciństwo?

WYWIADOWCA: Nie lepiej, bo trudne dzieciństwo nic dziś nikogo nie obchodzi. Co jednak wam najbardziej doskwierało w tym dzieciństwie?

AJENT: Nareszcie jakieś sympatyczne pytanie. Otóż najbardziej doskwierał nam nadmiar zainteresowań i rozlicznych talentów.

WYWIADOWCA: Ejże! Mieć dużo zainteresowań i talentów to chyba dobrze...

AJENT: Wręcz przeciwnie — niedobrze! Człowiek przebiera w tych swoich talentach przebiera, aż wreszcie decyduje się rozwijać taki który za cholerę potem nie rozkwita. I dobnie z zainteresowaniami: nie można na przykład być równocześnie alpinista i nudystą.

WYWIADOWCA: A to niby dlaczego?

AJENT: Wieżcie, dobry człowieku, na Mount Everest na golasa, to się przekonacie.

c.d.n.

1 Zdarzenia i zwierzenia

Ma—jaczenia

W jednej z pamiętnikarskich książek z drugiej wojny światowej jest anegdota o nieżyjącym już pisarzu Józefie Prutkowskim. Był on w czasie wojny aktorem dywizyjnego teatru występującego dla jednostek frontowych i w czasie jednej z takich eskapad zaplątał się na pierwszą linię — w stanie wskazującym na zażycie sporej dawki środków na odwagę.

Kiedy żołnierze zwrócili mu uwagę, aby był ostrożny, bowiem niedaleko w okopach siedzą faszyści, Prutkowski zawołał: „To ja zaraz tam pójdę i ich wszystkich wystrzelam"! — „Człowieku — perswadowali żołnierze — ledwo wychylisz głowę to oni ciebie zabiją".

— Mnie? — zdziwił się Prutkowski — a za co?

Często przypomina mi się ta anegdota, a niedawno przeczytałem podobną. Otóż felietonjsta pewnego tygodnika opisuje scenę w kolejce, gdzie — co raczej normalne — wszyscy pomstują na wszystkich. W końcu jedna z pań wygłasza monolog mniej więcej tej treści: „Niech się to wszystko rozwali, nie ma sensu tak się męczyć, już lepiej do piachu, niech się wreszcie coś zacznie, do diabła z takim życiem...".

Zapadła cisza, którą przerwał starszy mężczyzna. Powiedział spokojnie: „Nie żal pani dzieci i rodziny — tak szybko chce ich pani zobaczyć w trumnie?". Elokwentną panią aż zatrzęsło: „A co to ma do moich dzieci, co mi pan tu opowiada!".

No tak. Niech się wszystko rozwali, niech cała Polska spłonie, ale mnie przecież to nie ma prawa dotknąć Typowe. Już Wyspiański pisał: „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna...".

Mógłbym przypuszczać, że zręczny felietonista wymyślił tę całą historię na użytek tezy o emocjach idących w parze z bezmyślnością. Ale to chyba nie tak.

Otóż niedawno sam byłem świadkiem i uczestnikiem podobnej rozmowy. Jechałem mianowicie taksówką — był to nowiutki mercedes, wart, lekko licząc około dwóch milionów. Kierowca miał na sobie półkożuszek, wart, lekko biorąc ok. 50 tys zł. Przepraszam za te wyceny, ale mają tu one znaczenie. Oto kierowca prowadził monolog mniej więcej w tym samym guście co owa pani z kolejki.. Że niech się to wszystko sfajczy że trzeba to wszystko rozwalić żeby kamień na kamieniu nie pozostał.

Nie podejmowałem rozmowy bo nie lubię idiotycznych dyskusji, ale w końcu powiedziałem, wskazując na piękny samochód i elegancki kożuszek: „To warte tyle forsy i nie szkoda tego panu zniszczyć?".

Kierowcę aż zatrzęsło. „A odpieprz się pan od mojego samochodu, co to ma do rzeczy"! — zawołał.

No i znów to samo Wszystko ma się sfajczyć kamień na kamieniu ma nie zostać po naszym życiu, ale mercedes mojego rozmówcy będzie sobie jeździł po gruzach Polski i jego to wszystko nie dotknie.

Rozumiem stan emocji, rozumiem nerwy i irytacje ale tego rodzaju głupota graniczy ze zbrodnią. Bywa, że władza popełnia błędy — bywa, że niektórzy jej przedstawiciele wygłaszają opinie denerwujące, ale wszystko to jednak ma coś wspólnego z racjonalizmem. Natomiast owe brednie — głupie i pozbawione elementarnej wyobraźni — można zakwalifikować jedynie jako chore majaki.

Niedawno wybitny aktor i reżyser prof. K., był łaskaw powiedzieć, że on jako szlachcic był równy królowi, bowiem obaj mieli szable, a dziś tylko władza ma pistolety. Jest to stwierdzenie z tego samego kręgu chorych majaczeń, bowiem szlachcic K. mógł sobie szabelką co najwyżej pomachać, a król i tak robił co chciał, a kiedy w końcu zrobił to co chciała szlachta to się skończyła Polska. Nie wspomnę już o tym, że Polska nie składała się z samej szlachty.

Ale czy mogę się dziwić pani z kolejki i panu z mercedesa, że plotą androny — skoro podobne majaczenia padają z ust przedstawicieli polskich intelektualistów?

JERZY WILMAŃSKI ■

2 Nagle zastępstwo

Pogoda dla optymistów

Pogodę mieliśmy w listopadzie niezłą — ciepło, opadów mało, tv donosiła, że w niektórych rejonach kraju rolnicy kontynuowali prace polowe. Grudzień także w prognozach zapowiada się nie najgorzej — płyną skądś tam owoce cytrusowe na święta, karpie w pysznych humorach — jeszcze nigdy nie były tak wysoko cenione—280 zł za kilogram! Święta, jak to w czasie kryzysu, wypadają w niedzielę, nie tracimy zatem roboczodniówek.

Coś tam nawet produkujemy, coś — słowo daję! — eksportujemy, coś nawet zarabiamy i trochę spłacamy. Jest nieźle i coraz niezlej. Kartki na buty mamy, chodzą słuchy, że nawet będą buty na kartki. Moim zdaniem jest to nieco wybujały optymizm, ale może jestem zbyt sceptyczny?

Póki co butów brak. W sklepach sportowych daje się także zauważyć w okresie przedgwiazdkowym brak łyżew. Nic to, bowiem tu i ówdzie pokazują się buty z łyżwami.

Podpowiadam Czytelnikom: łyżwy łatwo dają się oddzielić od butów.. Reszta jest jasna: znajomy szewc dorabia do butów zelówki ze starych opon samochodowych, buty spieniężamy po cenie spekulacyjnej, a łyżwy dajemy w prezencie gwiazdkowym smarkaczowi z zaprzyjaźnionej rodziny. Że nie można ich przykręcić do normalnych butów? A co to nas obchodzi mniej więcej? Przecież daliśmy łyżwy cudzemu dziecku a nie własnemu. Niech się rodzice martwią... Jedno jest pewne — u zaprzyjaźnionego smarkacza robimy za dobrego wujka, cała gorycz spada na rodziców. Tracimy w ten sposób — być może — przyjaciół, ale kogo dziś stać na prawdziwych przyjaciół?

Chodzą słuchy że ostatni fałszerz pieniędzy w Rzeczypospolitej oddał się dobrowolnie w ręce milicji. Przekazał na skarb państwa drogą, zagraniczną aparaturę do druków kolorowych, resztki farb i papieru. Wyznał — szlochając — dyżurnemu oficerowi, że zadłużył się na surowce fałszywe tysiączłotówki okazują się towarem deficytowym. Po prostu i zwyczajnie spłatował, przed dłużnikami szuka schronienia w zakładzie karnym.

Już w areszcie otrzymał depeszę z wyrazami współczucia od byłego ministra finansów Krzaka. Minister pisze, że rozumie jego ból, właściwie jego dymisja była spowodowana podobną sytuacją — nie wiązał końca z końcem..

Natomiast minister Zdzisław Krasiński trzyma się dzielnie. Wprawdzie w ostatnich wywiadach skarżył się, że ma ręce skrępowane względami ogólnopolitycznej natury i podwyżki jeszcze nie następują w takim tempie i wysokości jak to sobie (i nam, niestety...) obiecywał, to liczy na lepszą koniunkturę (sic!) w przyszłym roku i przywali nam tu i ówdzie.

Reforma gospodarcza też postępuje. Coraz to czytam w gazecie, że kolejny zakład samofinansuje się skutecznie, samorządzi i co najważniejsze, samoocenia bardzo pozytywnie, co znajduje wyraz w bajońskich cenach na jego wyroby. Co zresztą żadnego związku nie ma z jakością tych wyrobów. I pięknie, ciekaw tylko jestem — jeśli Polska gospodarcza składa się z przedsiębiorstw — to czy w dniu, w którym wszystkie już przedsiębiorstwa będą się samofinansować automatycznie kraj nasz będzie samofinansującym się? Kiedy ten piękny dzień nastąpi złośliwie sprzedamy Brytyjczykom licencję na Ursusa, Francuzom na Jelcza, Włochom na Syrenę a Reagana załatwimy przy pomocy sankcji...

W dziedzinie kultury widzę też wiele powodów do optymizmu. Teatr im. Juliana Tuwima w Łodzi ma ulec likwidacji, zato powstał w naszym mieście Teatro Kabaret Grozy. Skoro podziemie już nas nie straszy a ZOMO przestało straszyć podziemie, to może nas przestraszą w teatrze? Tylko czym? Czym nas jeszcze można przestraszyć? Audycjami Wolnej Europy albo cenami umownymi?

Telewizja prezentuje coraz zmyślniejsze sposoby reklamowania dóbr kulturalnych. Oto na spotkaniu Prezydium Rządu i Grupy Inicjującej PRON pan Jan Dobraczyński powiada o filmie „Dolina Issy", że jest on „przesiąknięty pornografią". Telewzja tę wypowiedź daje po głównym dzienniku i oto film Konwickiego, cieszący się dotąd mierną raczej frekwencją, wraca triumfalnie na ekrany.

W dziedzinie obronności także postęp — jeśli ziszczą się marzenia Janusza Przymanowskiego nasze wojsko wzbogaci się o jeszcze jeden rodzaj broni — kawalerię! Rzecz jasna w rogatywkach. Póki co zainteresowanie wojskiem wzrosło do tego stopnia, że rezerwiści przypominają sobie dawno uzyskane stopnie wojskowe. Nawet pewien były działacz związkowy przypomniał sobie, że zakończył służbę zasadniczą w stopniu młodszego podoficera i tym chlubnym tytułem opatruje swój podpis pod listami...

Ja jednak podpisuję się nadal bez stopnia wojskowego.

ANDRZEJ KAROL ■

3 Lewym okiem

Notatki z lektur

Posłuchajcie dzisiaj paru migawek historycznych. Drobne to i bez wielkiej siły przebicia, ale i tak kto chce doszuka się w takich drobiazgach przesłania do rzeczywistości dzisiejszej, a może i znajdzie zachętę do pomyślenia „o rzeczach wszystkich i niektórych innych". Ot — takie sobie notatki z lektur, co już nieraz na tym miejscu wykorzystywałem.

Chrześcijaństwo stało się w Rzymie religią panującą w roku 313, a więc w trzysta lat od powstania pierwszych grup wyznawców w ówczesnej Judei. Trzeba było aż trzech wieków na to, aby nowa nauka utorowała sobie drogę do umysłów na tyle szeroką, że nie można już było dłużej trzymać sprawy w regionach nielegalności. Cesarz Konstantyn ulegalnił więc chrześcijaństwo i ogłosił je główną religią swego państwa. Ale cesarz był mądry. Kazał dowódcom wojskowym zbierać co tydzień żołnierzy w polu, za miastem, i tam bez żadnych kapłanów, ołtarzy, obrzędów wszyscy głośno odmawiali uniwersalną modlitwę. Po prostu prosili Bóstwo, nie nazywając wcale, o opiekę nad cesarzem, państwem, wojskiem i rodziną. Każdy z żołnierzy podkładał sobie w myśli imię tego Boga, którego wyznawał i wszystko pasowało: mógł takiej modlitwy słuchać Jehowa, razem z Jowiszem, Matka Boska razem z Junoną i setkami bóstw pomniejszych. Czyż to nie był najprawdziwszy pluralizm, objęty najpowszechniejszym marzeniem: o pomyślność państwa i najbliższych?

Trzeba było dalszych pięciuset lat (!), żeby wpoić ludziom —a ściślej chrześcijanom — przekonanie o nierozerwalności małżeństwa. Dopiero w końcu VIII wieku Kościół wykorzenił nader częstą przedtem praktykę rozwodów i zabezpieczył sobie wpływ na świeckie ustawodawstwo małżeńskie. Przez osiemset lat ludzie wprawdzie wierzyli w nauki Kościoła, ale co do rozwodów sięgali po prawo świeckie, które im tej przysługi nie odmawiało. Całkowite objęcie spraw małżeńskich jurysdykcją kościelną nastąpiło jeszcze w dwieście lat później, a celibat księży uznano za obowiązujący dopiero w wieku jedenastym. Teraz to się łatwo tymi stuleciami żongluje, teraz wielu katolików jest przekonanych o tym, że jak ksiądz — to musi być bezżenny i że zawsze tak było. A proszę: przez tysiąc sto lat wcale tak nie było! Młyny Boże wolno mielą. Historia obraca się powoli i ociężale. Lepiej nie uznawać niczego za ustalone raz na zawsze, za odwieczne, nieuniknione, absolutne i niezmienne jak skała.

Nasze babcie wstępując w związki małżeńskie wymawiały przed ołtarzem słowa ślubowania: „posłuszeństwo bez granic". Babcie były święcie przekonane, że tak chce Bóg, że tak było zawsze, że muszą być bez granic posłuszne małżonkowi. A tę formułę wprowadził Kościół dopiero w 1631 r., a więc zaledwie trzysta lat temu. Przedtem — przez tysiąc sześćset lat! — nie było mowy o posłuszeństwie, małżonkowie przysięgali sobie miłość i wierność; od 1929 roku przywrócono tę zasadę, ślubowania obojga małżonków są znów identyczne, ponure widmo posłuszeństwa bez granic przestało czuć za sobą cały potężny autorytet Kościoła, religii, ba — samego Boga.

Samochód w roku 1929 bywał jeszcze rzadkością na mniej uczęszczanych szosach, a położone na uboczu wsie w ogóle go u siebie nie widziały. W Polsce południowej zaprzęgano od wieków konia po lewej stronie dyszla, więc biedne konisko widząc pędzącego naprzeciw mechanicznego potwora było pewne, że celuje ono prosto w niego. Żeby uniknąć panicznego płoszenia się koni i możliwych przy tym wypadków, władze poleciły zaprzęgać się pociągową w prawo od dyszla, przeciw czemu zaprotestował jednak gorąco w Sejmie poseł Stronnictwa Ludowego „Piast". „Zawsze było po lewej — przemawiał poseł. — Konie nie chcą inaczej ciągnąć wozu, wierzgają i kwiczą".

Okazuje się więc, że każda nowość powoduje kwik i wierzganie, choćby nawet usiłowano ją wprowadzić naprawdę w interesie delikwenta.

Gdy Pitagorasowi udało się odkryć i sformułować słynne prawo o bokach trójkąta, kazał z radości zarżnąć sto wołów. Może to dlatego — ze strachu i ku pamięci pomordowanych przodków — ryczą potężnie woły przy każdym większym odkryciu?...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK) ■

Powyższy tekst jest osiemsetnym felietonem Włodzimierza Krzemińskiego (Ćwieka), który ukazuje się na łamach „Odgłosów".

Najwytrwalszemu z naszych współpracowników gratulujemy, czekamy na felieton tysięczny....

Redakcja

4 Sport

Sensacja jesiennej rundy

Zakończył się jesienny sezon rozgrywek ligowych w piłce nożnej. Zakończył się sensacyjnie. Ale autorami tej sensacji nie byli — niestety — piłkarze. Nim zdradzę autora, chcę najpierw zająć się piłkarzami.

Proszę porównać dwa mecze: mecz ligowy u nas, rozgrywający się w niedzielne południe i mecz ligowy rozgrywający się na którymś z angielskich, holenderskich lub innym stadionie. Nie chodzi mi o przebieg gry. Porównania zresztą możemy dokonać oglądając zaledwie telewizyjne migawki, więc byłoby ono mylące i niepełne. Chodzi mi o widownię. Na naszych stadionach łyse trybuny, a tam pełna, żywo reagująca widownia. Dlaczego? Skąd taka różnica? Czy tylko dlatego, że tam grają gwiazdy europejskiego futbolu? Kilka z tych gwiazd pochodzi przypadkowo z Polski i niedawno grało w polskich drużynach. I jakoś nikt z tego powodu nie pędził na stadion. A tam pędzą. W czym tkwi różnica?

Michał Tomaczak w „Rzeczpospolitej" twierdzi, że w atmosferze. Tam mecze odbywają się najczęściej późnym wieczorem, przy sztucznym świetle, u nas w niedzielne południe, kiedy człowiek pracy ma okazję dobrze się wyspać i nie bardzo chce mu się iść na stadion. Tam stadiony są przystosowane do piłki nożnej, mają wysokie trybuny, nie mają bieżni oddzielającej płytę stadionu od widowni, mają sztuczne oświetlenie. To wszystko razem tworzy atmosferę widowiska, podnieca widownię, ta wpływa odpowiednio na graczy i następuje sprzężenie zwrotne. Zobaczcie, jak piłkarze na zagranicznych boiskach reagują po zdobyciu gola. Też skaczą do góry, podnoszą ręce, ale robią to w stronę widowni, do której mają blisko. Często tę widownię oddziela od zawodnika tylko druciana siatka.

Nowych stadionów wprawdzie szybko nie wybudujemy. Nie wiem, czy wybudujemy w ogóle, ale coś z tym fantem trzeba zrobić. Żal patrzeć, jak piłkarze grają przy pustych trybunach. Dla kogo oni grają?

Ważne jest bowiem, jak grają. Jeśli widowisko jest nudne, to ludzie na nie nie będą przychodzili. Tu niewiele pomoże reklama, tu na nic zdadzą się apele, tu musi się zmienić jakość widowiska na stadionach, a wtedy ludzie zaczną o meczach rozmawiać następnego dnia w tramwaju, jadąc do pracy, w czasie przerwy śniadaniowej i u kumpla na imieninach. Tak, jak do tej pory rozmawiają o sensacji, która nie zdarzyła się na boisku.

Autorem tej sensacji jest Kazimierz Górski. Tak. Ten sam, który doprowadził polską reprezentację do zdobycia złotego medalu na Olimpiadzie w Monachium w 1972 roku i trzeciego miejsca w mistrzostwach świata też w Monachium w 1974 roku oraz srebrnego medalu na Olimpiadzie w Montrealu w 1976 roku. Ten sam, który później wyjechał, aby trenować greckie drużyny piłkarskie i odnosić tam sukcesy. Ten sam, który ostatnio trenował warszawską Legię i w czasie Mundialu 82 komentował przebieg gry z warszawskiego studia TvP. I otóż ten pan, którego szanują i poważają polscy kibice, i zapewne również piłkarze, a który pierwszy wyprowadził polskie piłkarstwo na światowe stadiony, co jest jego bezsprzeczną zasługą, tenże pan, który — jak twierdzi — bez piłki nożnej nie może żyć, został dokooptowany do Zarządu Automobilklubu Warszawskiego. Andrzej Martynkin w „Sztandarze Młodych" napisał: „Pan Kazimierz zrobił niezły kawał...". Dla mnie jest to co najmniej nieporozumienie, żeby nie powiedzieć, że jest w tym coś nienormalnego.

Szanuję i poważam Kazimierza Górskiego. Wypowiadałam się o pewnym okresie jego działalności krytycznie, ale działalność Kazimierza Górskiego, jak każda działalność publiczna, podlega krytyce, czy to się mu podoba, czy nie. Uważam, że miałam rację. Ale to dawne sprawy.

Teraz Kazimierz Górski postanowił odejść na emeryturę. Ma prawo. W Polsce tysiące ludzi odchodzi na emeryturę. Nie jest to łatwa decyzja, Nikt jednak z tego faktu nie robi demonstracji. Na przykład Edward Budny, mężczyzna lat 42, trener Józefa Łuszczka, doszedł do wniosku, że już nic nie zrobi w narciarstwie wyczynowym i postanowił założyć prywatną szkółkę narciarską. Kazimierz Górski natomiast się obraził, czego zresztą nie ukrywa.

Zaproponowano mu, aby pojechał na Mundial do Hiszpanii jako turysta, bo jeśli pojedzie jako członek ekipy, to może przyczynić się do złej atmosfery w zespole. Kazimierz Górski jest niewątpliwie wielkim polskim trenerem, wielkim fachowcem od spraw piłki nożnej. Ale Antoni Piechniczek musi mieć pełne zaufanie zespołu i pełen posłuch. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: po odprawie zespołu zawodnicy siadają na ławce przed hotelem i pytają, obecnego tam, Starego Trenera: a co by pan zrobił na miejscu Piechniczka? A on w dobrej wierze zaczyna kwestionować decyzje aktualnego trenera, bo miał swoje metody, które sprawdziły się w 1972, 1974 i nie bardzo w 1976, a już zupełnie nie sprawdziły się później w Legii, ale ma te metody i jemu się nowinkarstwo Antoniego Piechniczka jakoś nie podoba. Czy to pomogłoby zespołowi?

Być może tak nie musiało być. Ale w studio telewizyjnym, podczas Mundialu 82 Kazimierz Górski nie mógł ukryć swej niechęci do poczynań Antoniego Piechniczka, a jego gratulacje z odnoszonych sukcesów nie brzmiały nazbyt szczerze. Myślę, że doświadczony trener powinien był zrozumieć skomplikowaną sytuację i nie obrażać się, jeśli mu wprost powiedziano, że jego obecność w zespole może źle wpływać na atmosferę.

Ale się obraził. I został automobilistą!

BOGDA MADEJ ■

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorołyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karpiński** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji), **Igor Sikiryński** (kier. działu literackiego), **Karol Stryjski, Janusz Szymański, Glanc** („grafik"), **Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stali współpracownicy: **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicysti 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2546. F-5.

Mitologia świata Beatlesów

ANDRZEJ JÓŹWIAK

Mark kupił za 169 dolarów rewolwer Charter Arms Pięciostrzałowy. Nie poszedł już, jak to wcześniej planował, na plażę Waikiki (rzecz dzieje się w Honolulu) tylko wsiadł w samolot i przyleciał do Nowego Jorku.

Była to sobota, szóstego grudnia 1980 roku. Dwa dni później Mark kręcił się w Greenwich Village koło Dakota House. Był tam również przed godziną jedenastą w nocy kiedy to przy Dakota House zatrzymał się samochód. Wysiadła z niego kobieta, a zaraz za nią mężczyzna. Kiedy mężczyzna przekraczał bramę — Mark zawołał na niego. Mężczyzna odwrócił się. Mark klęczał i w obu dłoniach trzymał rewolwer Charter Arms. Pięciostrzałowy.

Mężczyzna dostał cztery kule w plecy i jedną w ramię. Zanim stracił przytomność krzyknął „I'm shot" (zastrzelono mnie) Później wieziono go do szpitala, w którym po trzydziestu minutach bezowocnej, rozpaczliwej reanimacji zmarł nie odzyskując przytomności.

Mark zaś spokojnie czekał na przyjazd policji.

Działo się to około godziny jedenastej w Nowym Jorku, w poniedziałkową noc, ósmego grudnia 1980 roku.

Na pytanie policjantów „czy wiesz co zrobiłeś?" — Mark Chapman odpowiedział: „Zastrzeliłem Johna Lennona".

BEATLOMANIA

Wszystkie ulice wokół teatru Palladium obstawione przez londyńskich „Bobbies" Sam budynek teatru otoczony kordonem policji, stoją karetki pogotowia ratunkowego, samochody strażackie, przygotowane są pożarnicze bosaki dla odpędzenia falującego tłumu. Dziesiątki tysięcy młodych ludzi na ulicach, a olbrzymia sala „Palladium" wypełniona po brzegi szczęśliwcami, którym udało się nabyć bilet na show transmitowane również dla piętnastu milionów telewidzów. Ścisk, wrzask, na piersiach dziewcząt emblematy „we love the Beatles, they are fabulous". Na zewnątrz sali reflektory zostają skierowane na wiszące na frontonie teatru olbrzymie portrety: Johna, Paula, George'a i Ringo. Paroksyzm tłumu, przy Oxford Street pękają kordony. Jadą Beatlesi Bosaki pożarnicze idą w ruch Pierwsza karetka pogotowia na włączonym sygnale przedziera się przez Oxford Street...

Nowy Jork. Pięć milionów afiszów krzyczy z murów: Beatlesi przybywają Radio wytwarza nastrój niepewności i oczekiwania, komentując godzina po godzinie podróż grupy przez Atlantyk. Na lotnisku Kennedy'ego tysiące rozgorączkowanych, niecierpliwych fanów...

USA: dziewięć miast, szesnaście koncertów, ponad pół miliona widzów, a kiedy helikopter z Beatlesami ląduje na nowojorskim stadionie Shea oczekuje na nich 60 tysięcy publiczności. Wszystkie rekordy jednak zostają pobite, gdy ponad siedemdziesiąt milionów telewidzów ogląda ich występ w programie „Ed Sullivan Show"...

26 października 1965 roku królowa Elżbieta II dekoruje ich w pałacu Buckingham Orderem Imperium Brytyjskiego. Jest to dowód uznania za zasługi położone dla Wielkiej Brytanii, czyli mówiąc otwarcie za owe miliony funtów szterlingów leżących dzięki Beatlesom w kasie państwowej Zresztą kilka lat później Beatlesi zwrócą swe odznaczenia protestując przeciwko wojnie w Wietnamie i uciskowi kolonialnemu.

Płyty, filmy, koncerty.. Są na wyżynach sławy... To właśnie wtedy powiedział John Lennon:

„JESTEŚMY BARDZIEJ POPULARNI OD CHRYSTUSA"

chociaż prawdopodobnie on miał rację" Chyba jednak John miał rację, gdyż popularność Beatlesów była przede wszystkim opłacalna. Czwórka młodych chłopców z angielskich nizin społecznych w ciągu kilku lat staje się milionerami i najpopularniejszymi ludźmi na świecie.

John Lennon w wywiadzie prasowym „tłumaczy" się ze swego nadmiernego bogactwa: mnie pieniądze nie są potrzebne. Chcę je tylko po to aby być bogatym

W jednym z monachijskich dzienników ukazuje się reportaż w którym dziennikarz zapytał czy Beatlesi nie czują się skrępowani swymi nietypowymi, wręcz cyrkowymi strojami jarmarcznymi, kostiumami i długimi włosami. Beatlesi odpowiadają krótko: chłopcze, gdybyś posiadał takie konto i nkowe jak my — z pewnością pytania takiego byś nie postawił

Twórczość Lennona porównuje się do twórczości Lewisa Carrola i Spike'a Milligana. John ukazuje się w Rolls Royce'u wyposażonym w składane łóżko i wymalowanym we wszystkie kolory tęczy Paul jak zawsze elegancki uroczy i — jak pisze Reisner — jego dobre maniery pozwalały każdej teściowej widzieć w nim idealnego zięcia" George ubiera się ekstrawagancko i hippie natychmiast go naśladują. A Ringo kiedy Ringo poddaje się operacji usunięcia migdałków radio podaje regularnie dokładny biuletyn lekarski o stanie jego zdrowia

Kiedy Beatlesi się żenili — dziewczyny na całym świecie płakały

Tworzyli własne mitologie Byli w rzeczywistości przedłużeniem wielkich mitów które są potrzebne każdej nowej generacji Bożyszcza płyt zastąpiły gwiazdy kina Każdy z Beatlesów pozostaje w kontraście z pozostałymi czterema podkreślając przez to ich wartość. Cała grupa gra nieustanną „komedię dell'arte" aby usatysfakcjonować wszystkie gusta publiczności

BYŁO NAS CZTERECH FACETÓW

John Lennon, Paul McCartney, George Harrison Ringo Starr Dwudziestego dziewiątego sierpnia 1966 roku na koncercie w Candlestick Park w San Francisco w wywiadzie przed kamerami telewizji zgodnie oświadczają, że nigdy już nie będą... występować publicznie. Odtąd mają się wyłącznie poświęcić nagraniom płytowym.

Okazało się to tragedią dla ich odkrywcy, nieprzeciętnego talentu managera, Briana Epsteina Równo rok później (to jest rok od ostatniego koncertu) Brian Epstein umiera Mówi się nawet o samobójstwie, ponieważ Brian stał się Beatlesom niepotrzebny, a odkąd jego chłopcy zakończyli występy publiczne szukał schronienia w narkotykach i środkach uspokajających.

Ale już wtedy inna przygoda pociągała Beatlesów LSD narkotyk Ich płyty „Revolver", a zwłaszcza „Sergeant Pepper's Lonely Hearts Club Band' poświęcone były surrealistycznym wizjom, poszukiwaniom ukrytego zmysłu, czy też tajnemu posłannictwu...

Minęło więc zaledwie kilka lat od czasu, kiedy to Brian Epstein wprowadził Beatlesów do studia EMI, jedynej wytwórni płyt która okazała zaufanie nikomu wówczas nie znanemu zespołowi Minęło też kilka lat od nagrania ich pierwszego przeboju „Love me do" oraz od sukcesu drugiej piosenki „Please, please me", która zajęła niekwestionowane pierwsze miejsce na listach przebojów. W międzyczasie stali się idolami współczesnej muzyki rozrywkowej, legendą swego pokolenia, częścią zmitologizowanego świata współczesnej kultury epoki cywilizacji industrialnej I zbliżył się dzień, kiedy Lennon podsumowując ich działalność powie: „było nas czterech facetów. Założyliśmy zespół, który zdobył sukces, stał się sławnym i już nigdy więcej nie zrobił żadnych postępów".

ODCHODZĘ...

Pragnąc skończyć z monopolem recenzentów zakładają własną wytwórnię płytową „Apple" — pomyślaną w założeniach, jako gigantyczny kompleks artystyczny i handlowy w celu lansowania wszelkich znanych i nieznanych talentów, obejmujący rozmaite dziedziny: płyty, literaturę, sztukę, dekoracyjną, wynalazki itd. itp.

Jest to okres fascynacji muzyką Wschodu, kontemplacji w klasztorze Rishikash nad Gangesem, okres nowych poszukiwań mających wzmocnić blednącą gwiazdę Beatlesów Natomiast oni sami są już trochę zrezygnowani.

Myślę, że wydana we wrześniu 1968 roku płyta „Abbey Road" kończy okres szczytowej prosperity zespołu.

Lennon znalazł sobie towarzyszkę życia w starszej od niego o lat siedem japońskiej malarce Yoko Ono. Wydają razem płytę „Two Virgins" (Dwie dziewice), której okładkę zdobi zdjęcie Johna i Yoko nago Decydują się oboje na tzw. „bed in" zapraszając prasę i deklarując, że nigdy nie opuszczą swego łóżka Jest to początek ich ekstrawaganckich wyczynów.

Jak było do przewidzenia John pierwszy odchodzi z zespołu. Na gorące prośby pozostałych kolegów wraca, a kryzys zostaje zażegnany i utrzymany w tajemnicy.

Lennon tak to później opisuje: „błagano mnie, żeby nikomu o tym nie mówić. Obiecałem, a Paul powiedział: jeszcze nic straconego, jeśli będziesz trzymał język za zębami. Pół roku później sam puścił farbę piosenką ‚Odchodzę". Posłużył się tym, żeby sprzedać jeszcze jedną płytę"... 10 kwietnia 1970 roku Paul McCartney ogłasza rozwiązanie Beatlesów. Faktem jest, że zrobił to Paul, chociaż stało się to za sprawą Johna.

The Beatles oficjalnie przestają istnieć.

NIKT W TO NIE WIERZYŁ...

Informacja o rozejściu się Beatlesów została rozkolportowana przez środki masowego przekazu całego świata. Nikt w to nie uwierzył. Melomani i prasa odcyfrowała tę informację jako pretekst do jeszcze jednej szalonej zabawy, jeszcze jednej formy reklamy, publicity. Pamiętam długi wieczór przechodzący już w noc, kiedy siedzieliśmy w mojej, ciasnej mansardzie i słuchaliśmy nagrań „Bitli". Byliśmy młodzi, rozdyskutowani, gniewni, wierzący we wszystko i we wszystko grający. O ile dobrze pamiętam byli to: Roman Gorzelski, który kończył wówczas wystrzałową sztukę — jak to się później okazało — „Łeztern" a wtedy czytał nam w oryginale ‚In his own write" poezje Johna Lennona prowokujący wybitny poeta — gość z Wrocławia — Rafał Wojaczek (uparcie nam wmawiał, że Beatlesi są kobietami, a reszta jest reklamowym sztafażem); Janusz Gust, dziś aktor estradowy, ongiś człowiek posiadający najbogatszą kolekcję beatlesowskich płyt w Łodzi młody angielski historyk kultury Dudley Hudson (dziś jeden z dyrektorów Instytutu Sztuki Teatralnej w Melbourne) wraz ze swą piękną przyjaciółką aktorką Madge Glover; Bogusła Sikorski wówczas obiecujący młody poeta o wyjątkowej wrażliwości muzycznej.

Na patefonie kręcił się czarny krążek z „Yellow Submarine", a my oblewaliśmy albańskim koniakiem ‚Skenderbeu" przyznaną mi przez Europejską Federację Jazzową trzecią nagrodę w kategorii recenzji

Janusz Gust trzymał okładkę płyty „Abbey Road" i waląc ręką w moje wysłużone pianino pokazywał: „...o tu, spójrzcie przy krawężniku stoi jasny Volkswagen z numerami 28 IF...".

Romek wspomagał go: ...rozumiecie „If living-28". Jeśliby żył miałby 28 lat...

Przypominam, że w owym czasie Paul McCartney kończył 28 lat i zdjęcie na okładce miało sugerować, jakoby już nie żył, a Beatlesi zataili jego śmierć. Takie przynajmniej były spekulacje na ten temat. Dla Janusza i Romka był to dowód, że w swoistym świecie „Bitli" wszystko jest możliwe, toteż informacja o rozwiązaniu zespołu jest — podobnie jak wcześniejszy „dowcip" i powszechne domniemania na temat śmierci Paula — jeszcze jedną próbą zbulwersowania muzycznego świata.

DLACZEGO!

Jednakże rozpad Beatlesów był faktem, a melomani zadawali pytanie: dlaczego?

John Lennon w wywiadzie dla magazynu „Rolling Stone" ostatecznie odcina się od pozostałej trójki przyjaciół mówiąc: „Wybrałem Yoko Ono i miałem rację. Nie znosili jej. Wciąż miałem nadzieję, że się to ułoży. Ale nie! Zasiadali tu razem ze swymi żonami, jak jakieś plugawe jury i oceniali nas. Nigdy im tego nie wybaczę"

Przyczyny konfliktu definiuje również Paul McCartney: „Różnice osobiste, różnice w interesach, różnice muzyczne Najważniejszym jednak jest fakt, że wolę spędzać czas z moją rodziną".

George Harrison i Ringo Starr unikają konkretnych odpowiedzi, tak jakby pamiętali zamęt i koniec świata Beatlesów przypieczętowany ostrą wypowiedzią Paula: „...chcę zerwać kontrakt, ponieważ sądzę, że zespół jest skończony"

Chyba najbliżej sedna sprawy był John Barnes (rzecznik prasowy „Apple") określający następująco źródło konfliktu: „Łatwiej było być razem czterem chłopcom, niż czterem dorosłym mężczyznom z żonami. Chyba już nie potrzebują siebie nawzajem tak jak potrzebowali przedtem".

Dominowali przez lat dziesięć. Byli fenomenami muzyki pokolenia, jej prorokami i żywymi symbolami Byli socjologicznym zjawiskiem, które zawładnęło wyobraźnią milionów. A poza tym posiadali te wdzięczne, urokliwe temperamenty, rozległe poczucie humoru i pewność siebie. Mówili impertynencje, które trafiały w sedno...

— Paul, co myślisz o Beethovenie?
— Uwielbiam go! To świetny poeta.
— Wasza ulubiona aktorka?
— Królowa Anglii.
— Największą korzyścią z Orderu Imperium Brytyjskiego jest to, że można pójść do katedry Świętego Pawła i nie zapłacić sześciu pensów za wstęp na galerię!

CO DALEJ!

Tak więc członkowie The Beatles stali się niezależni. Nadszedł czas, że każdy z nich już sam decydował o swoim losie. Okazało się, że są jakby stworzeni do tego, aby występować solistycznie George i Ringo, dwaj pozostali Beatlesi którzy zawsze żyli w cieniu Johna i Paula, zaszokowali muzyczny świat. Za piosenkę It Don't Come Easy (Nie przychodzi to łatwo) Ringo otrzymuje w Stanach Zjednoczonych złotą płytę, zaś nowy album George'a pt. All Things Must Pass (Wszystko musi przejść) okazał się swego rodzaju maj tersztykiem muzyki rockowej początku lat siedemdziesiątych...

Następne dziesięć lat indywidualnej działalności czterech chłopców z Liverpoolu może być już tylko tematem odrębnego artykułu. Powrócę do tego tematu

Przez następne dziesięć lat Beatlesi nadal sprawiają niespodzianki, a jedyną rzeczą, która skończyła się na zawsze były klasyczne piosenki pisane przez parę autorów Johna Lennona i Paula McCartneya. I tak było do dnia ósmego grudnia 1980 roku

Elvis Presley, James Dean, Marylin Monroe, Jimi Hendrix, Janis Joplin, Humprey Bogart... wielkie legendy współczesnego kina i współczesnej muzyki rockowej nie zmarły naturalną śmiercią. James Dean, Elvis Presley... John Lennon...

DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ.

Zgodnie z wolą Yoko Ono nie było uroczystego pogrzebu.

Niedziela, czternastego grudnia, godzina czternasta. Setki tysięcy fanów w Londynie, Liverpoolu, w Nowym Yorku i innych miastach na prośbę Yoko uczciło pamięć Lennona dziesięcioma minutami ciszy. A później śpiewano jego przebój „Give Peace a Chance" (Dajcie szansę pokojowi).

★
☆ ☆

...Minęło dwadzieścia lat od dnia, kiedy to Brian Epstein jesienią 1962 roku wprowadził czterech dwudziestolatków z Liverpoolu do nagraniowego studia

A jak na nich trafił?

Po prostu ktoś zwrócił się do Briana prowadzącego sklep płytowy z zapytaniem: „Czy masz jakąś płytę Beatlesów"?

■